

David

AORRELL

Infiltratorzy

Z angielskiego przełożył ANDRZEJ SZULC

„KB”

21.00

1

INFILTRATORZY

Tak właśnie się nazwali i można by o nich opowiedzieć ciekawą historię, pomyślał Balenger. To wyjaśniało, dlaczego spotkał się z nimi w tym zakichanym motelu, w wymarłym, liczącym siedemnaście tysięcy mieszkańców miasteczku w stanie New Jersey. Jeszcze kilka miesięcy później nie mógł wytrzymać w zamkniętym pokoju. Wpadająca w nozdrza woń pleśni nadal przywoływała echo krzyków. Na widok snopu światła z latarki niezmiennie oblewał się potem.

Później, kiedy wracał do zdrowia, środki uspokajające poluzowały stalowe bariery, które nałożył na swoją pamięć, i uwolniły straszne dźwięki i obrazy. Była sobota, chłodny październikowy wieczór. Kilka minut po dziewiątej. Mógł jeszcze wówczas zawrócić i uniknąć koszmaru następnych ośmiu godzin. Patrząc teraz wstecz, zdał sobie sprawę, że choć ocalał, z całą

pewnością nie wyszedł z tego cało. Wyrzucał sobie, że nie wyczuł panującego wokół napięcia. Kiedy zbliżał się do motelu, dobiegający z plaży dwie przecznice dalej łoskot fal był nienormalnie głośny. Wiatr smagał piaskiem próchniejące deski promenady. Zeschnięte liście sunęły po popękanych płytach chodnika.

Ale dźwiękiem, który najmocniej utkwiał Balengerowi w pamięci, tym, który, jak sobie powtarzał, powinien go skłonić do odwrotu, było żałosne rytmiczne *klang klang klang*, niosące się opustoszałymi ulicami. Dźwięk był ostry, zupełnie jak bicie pękniętego dzwonu, lecz wkrótce miał poznać jego prawdziwe źródło, przekonać się, jak dobrze pasuje do beznadziejnej sytuacji, w której się znalazł.

Klang.

Tak mógł brzmieć ostrzegawczy sygnał dla statków, żeby trzymały się z daleka i uniknęły katastrofy.

Klang.

Albo dzwon wzywający na pogrzeb.

Klang.

Tak mogło dawać o sobie znać fatum.

Motel miał dwanaście pokoi. Zajęty był tylko ten z numerem czwartym. Przez cienkie zasłony sączyło się bladożółte światło. Budynek był zaniedbany i podobnie jak wszystkie inne w tej okolicy wymagał remontu. Balenger zastanawiał się, dlaczego grupa wybrała akurat ten motel. Miejscowość przeżywała ciężkie czasy, ale nadal było tu kilka porządných miejsc, gdzie mogli się zatrzymać.

Chłodny wiatr sprawił, że zapiął wiatrówkę pod samą szyję. Miał trzydzieści pięć lat, szerokie bary, rudawe krótkie włosy i porytą zmarszczkami twarz, która świadczyła o tym, że wiele w życiu przeszedł, i podobała się kobietom. Przez całe życie zależało mu tylko na jednej kobiecie. Przystanął przed cienkimi drzwiami, pragnąc zebrać myśli i przygotować się emocjonalnie do roli, którą musiał odegrać.

—Facet się spóźnia - usłyszał młodo brzmiący męski głos.

—Może w ogóle nie przyjdzie - odpowiedział również młody kobiecie głos.

—Kiedy się ze mną kontaktował, odniósł się bardzo entuzjastycznie do naszego przedsięwzięcia - rzekł drugi mężczyzna, o wiele starszy.

—Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - odezwał się trzeci mężczyzna, młody, podobnie jak pierwszy. - Wcześniej

nigdy nie braliśmy ze sobą obcych. Będzie nam przeszkadzał. Nie powinniśmy się godzić.

Balenger nie chciał, żeby rozmowa potoczyła się dalej w tym kierunku. Uznał, że jest już wystarczająco skoncentrowany i zapukał do drzwi.

W pokoju zapadła cisza. Po chwili ktoś przekręcił zamek i drzwi uchyliły się na szerokość łańcucha. Wyjrzała zza nich brodata twarz.

—Profesor Conklin? Brodacz kiwnął głową.

—Nazywam się Frank Balenger.

Drzwi zamknęły się i po spuszczeniu łańcucha otworzyły ponownie, ukazując stojącego za nimi otyłego mężczyznę koło sześćdziesiątki.

Balenger znał jego wiek: zdążył już o nim zebrać dokładne informacje. Robert Conklin. Profesor historii na uniwersytecie stanowym w Buffalo. W studenckich latach aktywny przeciwnik wojny w Wietnamie. Trzykrotnie zatrzymany w trakcie różnych politycznych manifestacji, w tym podczas marszu na Pentagon w 1967 roku. Aresztowany za posiadanie marihuany, zarzut wycofano z powodu niewystarczających dowodów. Żonaty od 1970. Wdowiec od 1992. Rok później został infiltratorem.

- Minęła dziewiąta. Myśleliśmy już, że pan nie przyjdzie.

Profesor miał siwą czuprynę i brodę, małe okulary i obwisłe

policzki. Wyjrzał uważnie na zewnątrz, po czym zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

—Nie zdążyłem na wcześniejszy pociąg z Nowego Jorku. Przepraszam, że kazałem wam czekać - powiedział Balenger.

—Nic nie szkodzi. Vinnie też się spóźnił. Właśnie się przygotowuj emy.

Profesor, który wyglądał trochę dziwnie w

dżinsach, swetrze i wiatrówce, wskazał wzrokiem dwudziestoczteroletniego mężczyznę, również w dżinsach, swetrze i wiatrówce. Tak samo ubrani byli pozostali młodzi ludzie. A także Balenger, który

zastosował się do przekazanych instrukcji, łącznie ze wskazówką, by strój był ciemny.

Vincent Vanelli. Licencjat historii na uniwersytecie stanowym w Buffalo w 2002 roku. Nauczyciel szkoły średniej w Syracuse w stanie Nowy Jork. Kawaler. Matka zmarła. Ojciec niezdolny do pracy wskutek rozedmy płuc, której nabawił się jako nałogowy palacz.

Conklin odwrócił się do pozostałej dwójki, mężczyzny i kobiety. Balenger wiedział, że oboje mają również po dwadzieścia cztery lata. Kobieta miała rudy kucyk, zmysłowe usta, od których mężczyznom naprawdę niełatwo jest oderwać wzrok, oraz atrakcyjne kształty, których nie mogły zamaskować sweter i wiatrówka. Obok niej stał przystojny mężczyzna o brązowych włosach i potężnej posturze. Balenger zgadłby, że lubi ćwiczyć na siłowni, nawet gdyby go dokładnie nie prześwietlił.

- Jestem Córa - oznajmiła kobieta miłym głębokim głosem - a to jest Rick.

Podziała tylko imiona, ale Balenger wiedział, że ich nazwisko brzmi Magill. Mieli licencjaty z historii uzyskane na uniwersytecie stanowym w Buffalo w roku 2002 i kończyli teraz studia magisterskie na Uniwersytecie Massachusetts. Poznali się w 2001 roku, wzięli ślub w 2002.

- Miło was poznać - oznajmił Balenger, wymieniając ze wszystkimi uścisk dłoni. Przez chwilę trwało niezręczne milczenie, które przerwał, wskazując przedmioty leżące na sfatygowanej narzucie na łóżku. - A więc tak wygląda wasze wyposażenie? - zapytał.

Vinnie zachichotał.

- Gdyby wszedł tu ktoś z ulicy, nabrałby chyba poważnych podejrzeń.

Był to rzeczywiście zdumiewający zestaw:

kaski z lampami górniczymi na baterie, latarki, świeczki, zapalaki, zapasowe baterie, robocze rękawice, noże, plecaki, taśma samoprzylepna, butelki z wodą, młotki, łom, cyfrowe aparaty fotograficzne, krótkofalówki, energetyczne batoniki, torebki rodzynek i orzesz-

ków oraz kilka małych elektronicznych gadżetów, których Balenger nie potrafił rozpoznać. Składające się z kombinerek, nożyc do drutu i różnych śrubokrętów wielofunkcyjne narzędzie leżało obok czerwonej nylonowej apteczki, opatrzonej nalepką ProMed i nieróżniącej się specjalnie - z tego, co wiedział Balenger - od zestawu, w który wyposażeni byli antyterroryści i oddziały specjalne.

—Spodziewacie się jakichś problemów? - zapytał. - Takiego sprzętu używa się podczas włamań.

—Nic nie jest nam bardziej obce - odparł profesor Conklin. - Zresztą nie ma tam co kraść.

—Z tego, co wiemy - dodała Córa. - Zresztą to i tak bez znaczenia. Oglądamy, ale nie dotykamy. Oczywiście nie zawsze jest to możliwe, ale takie przyjęliśmy ogólne założenie.

—Żeby zacytować Sierra Club, „nie róbcie niczego poza zdjęciami, nie zostawiajcie niczego poza odciskami stóp” - powiedział Rick.

Balenger wyjął notes i długopis z kieszeni wiatrówki.

—Od jak dawna jesteście skrytołazami?

—Mam nadzieję, że nie użyje pan tego słowa w swoim artykule - zaprotestował Vinnie.

—Należy przecież do slangu, prawda? „Krety” to funkcjonariusze prawa, zgadza się? „Zgniatacze jaj” to wielkie rury, na których musicie siadać okrakiem. „Pyrkacze” to łomy, którymi podważacie pokrywy studzienek kanalizacyjnych. A „skrytołazi” to...

—„Infiltratorzy” to podobnie dramatyczne określenie, ale pozbawione nieprzyjemnych konotacji, chociaż może sugerować, że

naruszamy prawo - przyznał profesor Conklin. -
Co w gruncie rzeczy robimy.

—Dlaczego nie nazwać nas miejskimi
eksploratorami albo miejskimi poszukiwaczami
przygód? - zaproponował Vinnie,
Balenger wszystko to zapisał.

—Albo miejskimi speleologami - dodał
profesor. - Zapuszczającymi się w przeszłość
badaczami metaforycznych jaskiń.

—Ustalmy lepiej pewne zasady - oznajmił nagle
Rick. - Pracuje pan dla...

—„New York Times Sunday Magazine”.
Zaangażowali mnie, żebym pisał o
interesujących trendach kulturowych. Grupach,
które sytuują się na marginesie.

—Margines to jest dokładnie to miejsce, gdzie
chcielibyśmy pozostać - powiedziała Córa. - Nie
może nas pan zdemaskować w swoim artykule.

—Znam tylko wasze imiona - skłamał Balenger.

—Nieważne. To szczególnie istotne dla
profesora. Ma stały etat, ale to wcale nie
oznacza, że nie będą mu go próbowali odebrać,
jeśli na uczelni dowiedzą się, czym się zajmuje.

Balenger wzruszył ramionami.

- W tym punkcie nasze intencje są zbieżne. Nie
mam zamiaru wymieniać waszych imion ani podawać
szczegółów, które pozwoliłyby was zidentyfikować.
Przedstawienie was jako członków jakiejś tajnej grupy
mogłoby sugerować, że wystawiacie się na autentyczne
niebezpieczeństwo.

Vinnie pochylił się do przodu.

—Zagrożenia, z którymi spotykamy się w
naszej działalności, nie są wymyślone.
Niektórzy skrytołazi odnieśli poważne rany.
Kilku nawet zginęło.

—Jeśli pan nas zidentyfikuje - rzekł z naciskiem Rick - możemy trafić do więzienia i zapłacić wysokie grzywny. Czy mamy pańskie słowo, że nas pan nie zdemaskuje?

—Gwarantuję, że żadne z was nie ucierpi w wyniku tego, co napiszę.

Członkowie grupy popatrzyli po sobie niepewnie.

- Profesor wyjaśnił mi, dlaczego ten artykuł powinien zostać napisany - zapewnił ich Balenger. - On i ja mamy podobne - poglądy. Żyjemy w kulturze jednorazowego użytku. Ludzie, plastikowe butelki, zasady moralne. Wszystko nadaje się do wyrzucenia. Ten naród cierpi na zaburzenia pamięci. Dwieście lat temu? Nie sposób sobie wyobrazić. Sto lat temu? Zbyt trudne, żeby o tym myśleć. Pięćdziesiąt lat temu? Zamierzchłe czasy. Film nakręcony dziesięć lat temu uważa się za stary. Serial telewizyjny sprzed pięciu lat to klasyka. Większość książek leży na półkach najwyżej trzy miesiące. Kluby sportowe nie budują nowych stadionów, jeśli nie mogą wysadzić starych i wznieść na ich miejscu kolejnych, jeszcze brzydszych. Podstawówkę, do której chodziłem, zrównano z ziemią i wybudowano na jej miejscu centrum handlowe. Nasza kultura ma obsesję na punkcie tego, co nowe. Niszczymy przeszłość i udajemy, że jej nigdy nie było. Chcę napisać esej, który przekona ludzi, że przeszłość jest ważna. Chcę, żeby moi czytelnicy poznali jej zapach, poczuli ją i zaczęli cenić.

W pokoju zapadła cisza. Balenger usłyszał dobiegające z zewnątrz *klang, klang, klang* i fale bijące o brzeg.

- Zaczynam lubić tego faceta - powiedział Yinnie.

Balenger poczuł, jak się rozluźnia. Wiedząc, że czekają go jeszcze kolejne sprawdziany, obserwował pakujących plecaki infiltratorów.

—O której wchodzimy? - zapytał.

—Parę minut po dziesiątej. - Conklin przymocował krótkofalówkę do paska. - Budynek jest tylko dwie przecznice stąd i przeprowadziłem już rekonesans, nie musimy więc tracić czasu, zastanawiając się, jak wejść do środka. Dlaczego się pan uśmiecha?

—Ciekawi mnie, czy zdaje pan sobie sprawę, w jak dużym stopniu posiłkujecie się wojskową terminologią?

—Misja specjalna - mruknął Vinnie, wsuwając scyzoryk do kieszeni dzinsów. - Oto co nas czeka.

Balenger usiadł na noszącym ślady petów krześle przy drzwiach i zapisał coś w notesie.

—Znalazłem dużo materiałów na stronie internetowej profesora, a także na innych, na przykład „. Ile waszym zdaniem działa grup miejskich eksploratorów?

—W Yahoo i Google można znaleźć tysiące stron - odparł Rick. - W Australii, Rosji, Francji, Anglii. Tu, w Stanach, działają w całym kraju. W San Francisco, Seattle, Minneapolis. To ostatnie miasto zasłynęło wśród miejskich eksploratorów, ponieważ istnieje tam system kanałów znany pod nazwą Labiryntu. Poza tym jest jeszcze Pittsburgh, Nowy Jork, Boston, Detroit...

—No i Buffalo - dodał Balenger.

—Nasz matecznik - zgodził się Vinnie.

—Takie grupy powstają często w miastach, których śródmieścia zeszyły na psy - powiedział Conklin. - Typowe są pod tym względem Buffalo i Detroit. Ludzie wynoszą się na przedmieścia, zostawiając wspaniałe wielkie budynki bez mieszkańców. Hotele. Biura. Domy towarowe. Nierzadko właściciele po prostu odchodzą. Miasto przejmuje nieruchomości na poczet niezapłaconych podatków. Ale biurokraci często nie mogą się zdecydować: burzyć je czy remontować. Jeśli mamy szczęście, porzucone budynki są zabijane deskami i chronione. W śródmieściu Buffalo wchodziliśmy czasami do gmachów, które zostały zbudowane około tysiąc dziewięćsetnego roku i porzucone w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym albo nawet wcześniej. Świat idzie naprzód, lecz one pozostają takie same. Owszem, są zniszczone. Nie sposób uniknąć szkód. Ale ich esencja się nie zmienia. Każdy budynek, który penetrujemy, jest niczym wehikuł czasu przenoszący nas dziesiątki lat wstecz.

Balenger opuścił długopis. Jego zaciekawiona mina zachęciła profesora.

- Jako dziecko zakradałem się do starych budynków - podjął. - To było ciekawsze od siedzenia w domu i słuchania, jak kłóć się rodzice. Kiedyś w zabitym deskami kompleksie mieszkaniowym znalazłem stos płyt wydanych w latach trzydziestych. Nie długogrających winylowych płyt z tuzinem piosenek, mówię o płytach zrobionych z grubego, łatwo pękającego plastiku, z tylko jedną piosenką na każdej stronie. Kiedy moich rodziców nie było w domu,

lubiałem puszczać te płyty na gramofonie ojca i słuchać bez końca trzeszczącej, starej muzyki, która nasuwała mi na myśl prymitywne studia nagraniowe i staromodne stroje noszone przez wykonawców. Przeszłość była dla mnie lepsza od teraźniejszości. Jeśli weźmie się pod uwagę dzisiejsze wiadomości, ataki terrorystów i wysoki stopień zagrożenia, szukanie schronienia w przeszłości wydaje się nader sensowne.

- Kiedy uczęszczaliśmy na prowadzony przez profesora kurs, poprosił, żebyśmy poszli z nim do starego domu towarowego - powiedział Vinnie.

Conklin był wyraźnie rozbawiony.

—Wiązało się z tym pewne ryzyko. Gdyby komuś coś się stało albo władze uniwersytetu odkryły, że zachęcam swoich studentów do popełnienia przestępstwa, mogłem dostać wymówienie - powiedział. Malujące się na jego twarzy zadowolenie wyraźnie go odmłodziło. - Domyślam się, że chyba nadal buntuję się przeciwko wszelkim zakazom, próbuję, póki jeszcze mogę, trochę narozrabiać.

—To było niesamowite - wtrącił Vinnie. - Wciąż były tam sklepowe lady. I niektóre towary. Nadjedzone przez mole swetry. Koszule z powygryzаныmi przez myszy dziurami. Stare kasy. Ten budynek był niczym akumulator gromadzący energię wszystkiego, co się w nim wydarzyło. Ta energia wyciekała z niego i niemal czułem, jak mijają mnie zmarli dawno temu zakupowicze.

—Może powinieneś się zapisać na kurs twórczego pisania na Uniwersytecie Iowa - zakpił Rick.

- W porządku, wszyscy wiecie, o co mi chodzi.
Córa pokiwała głową.

—Ja też to czułam. Dlatego poprosiliśmy profesora, żeby o nas nie zapominał, kiedy będzie organizował kolejne ekspedycje. Nawet po ukończeniu przez nas studiów.

—Co rok wybieram budynek, który ma według mnie jakieś niezwykle walory - powiedział profesor, zwracając się do Balengera.

—Kiedyś weszliśmy do prawie zapomnianego sanatorium w Arizonie - oznajmił Rick.

—Innym razem do teksańskiego więzienia, które stało puste od pięćdziesięciu lat - dodał Yinnie.

—Następnym razem zakradniemy się na porzuconą platformę wiertniczą na Zatoce Meksykańskiej - rzekła z uśmiechem Córa. - Zawsze towarzyszy nam dreszczyk emocji. A jaki budynek wybrał pan w tym roku, profesorze? Dlaczego ściągnął pan nas do Asbury Park?

—To smutna historia.

Uzdrowskowa miejscowość Asbury Park została założona w 1871 roku przez Jamesa Bradleya, nowojorskiego fabrykanta, który nazwał ją tak ku czci Francisa Asbury'ego, biskupa i założyciela Kościoła metodystów w Ameryce. Bradley wybrał to miejsce, ponieważ łatwo tu było dojechać z Nowego Jorku z północy oraz z Filadelfii z zachodu. Metodyści, którym podobały się wysadzone drzewami aleje i wspaniałe kościoły, założyli tam swoje letnie domy. Trzy jeziora i liczne parki stanowiły idealne miejsca na spacer i rodzinne pikniki.

Na początku dwudziestego stulecia długa na milę promenada była dumaj erseyskiego wybrzeża. Tysiące urlopowiczów leżało na plaży i pluskało się w wodzie, w wolnych chwilach żując krówki i zaglądając do zbudowanego z miedzi i szkła domku z karuzelą lub Pałacu Rozrywek, gdzie można było pojeździć na fali, diabelskim młynie i innych karuzelach, a także popłynąć łódką przez Tunel Miłości. Lekceważąc przyświecające metodystom zasady, wielu odwiedzało luksusowe kasyno, które zamykało promenadę od południa.

Asbury Park świetnie prosperowała podczas pierwszej wojny światowej, szalonych lat dwudziestych, wielkiego kryzysu i prawie przez całą drugą wojnę. Dopiero w 1944 roku dużą część terenu zniszczył huragan, zapowiadając jakby to, co miało

nastąpić. Odbudowany kurort starał się odzyskać dawną świetność i w pewnym stopniu udało mu się to w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, kiedy w położonym przy promenadzie Convention Hall urządzano koncerty rockowe. W ścianach, które pamiętały taneczne akordy Harry'ego Jamesa i Glenna Millera, rozbrzmiewały teraz przeboje zespołów The Who, Jefferson Airplane oraz Rolling Stonesów.

W latach siedemdziesiątych Asbury Park nie mógł już jednak stawić czoła przeciwnościom losu. Epoka, której symbolem był rock and roli, była również epoką Wietnamu, protestów antywojennych i zamieszek rasowych. Demonstranci tłukli szyby, przewracali samochody, plądrowali sklepy i wzniecali pożary, które nie oszczędzały nikogo. Miejscowe rodziny uciekły przed dewastacją, a urlopowicze przenieśli się do nowych nadmorskich kurortów. Ich miejsce zajęła kontrkultura: hippisi, muzycy i motocykliści. Nieznany wówczas Bruce Springsteen występował często w lokalnych klubach, śpiewając o deptakowej desperacji i pragnieniu wyruszenia w drogę.

W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych panująca wśród lokalnych władz i na rynku nieruchomości korupcja udaremniała wszelkie wysiłki na rzecz odbudowy. Miasto opuszczali kolejni mieszkańcy, pozostawiając po sobie całe puste przecznice. Działający od 1888 roku Pałac Rozrywek, praktycznie symbol Asbury Park, poszedł pod kilof w 2004 roku. Zniszczony deptak świecił pustkami podobnie jak słynny tor, na którym ścigali się kiedyś motocykliści oraz kierowcy podrasowanych samochodów, osiągając chwilami sześćdziesiąt mil na godzinę. W dawnych czasach kawalkada pojazdów pędziła Ocean Avenue na północ, po czym skręcała z

rykiem silników najpierw na zachód, a potem na południe, w Kingsley Avenue, i wracała kolejną przecznicą na Ocean. To się już skończyło. Odeszło w przeszłość. Przybysz mógł przez cały dzień stać pośrodku Ocean Avenue i nie obawiać się, że zostanie potrącony.

Ruiny i sterty gruzu przypominały krajobraz po bitwie. Choć Asbury Park nadal zamieszkiwało oficjalnie siedem-

naście tysięcy ludzi, rzadko widywało się kogoś w pobliżu plaży, na której sto lat wcześniej wygrzewały się w słońcu tłumy urlopowiczów. Tam gdzie rozbrzmiewała niegdyś muzyka karuzeli i śmiech dzieci, słychać było brzęczenie luźnego kawałka blachy, kołyszącego się na wietrze w niedokończonym dziesięciopiętrowym apartamentowcu. Jego inwestorom zabrakło pieniędzy i plac budowy opustoszał, podobnie jak kilka zachowanych jeszcze historycznych budynków.

Klang.

Klang.

Klang.

Balenger patrzył, jak profesor rozkłada mapę i pokazuje palcem miejsce położone dwie przecznice na północ od motelu.

—Hotel Paragon? - zapytała Córa, odczytując nazwę.

—Zbudowany w tysiąc dziewięćset pierwszym roku - powiedział Conklin. - Jak wskazuje sama jego nazwa, Paragon miał być wzorem doskonałości. Najlepsze wyposażenie. Nienaganna obsługa. Wykładane marmurem foyer. Piękna porcelanowa zastawa. Pożłacane sztucce. Telefon w każdym pokoju w czasach, gdy instalowano je wyłącznie w holu. Podgrzewany kryty basen, będący wówczas rzadkością. Łaźnia parowa, która również nie należała wtedy do standardowego wyposażenia. Wczesna wersja jacuzzi. Sala balowa. Galeria sztuki. Kryte wrotkowisko. Prymitywna klimatyzacja oparta na wymuszonym przepływie powietrza nad bryłami lodu. Oraz system centralnego ogrzewania, co było czymś niezwykle nawet w najlepszych plażowych hotelach. Goście odwiedzali je przecież latem i chcieli chronić się przed upałem. Cztery niedawno wynalezione, automatyczne, elektryczne windy z przyciskowymi kontrolkami. Obsługa była dostępna przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. System specjalnych elektrycznych wind gwarantował szybką dostawę dań do pokojów.

- Wystarczyło dodać do tego kilka barmanek i miało się Las Vegas - wtrącił z uśmiechem Vinnie.

Balenger udał rozbawienie, starając się dopasować do grupy.

- Paragon został zaprojektowany przez jego właściciela, Morgana Carlisle'a, który przejął rodzinną fortunę, kiedy jego bogaci rodzice zginęli w pożarze na morzu. - Słowa profesora sprawiły, że Vinnie przestał się uśmiechać. - Carlisle miał tylko dwadzieścia dwa lata. Ekscentryk, stroniący od ludzi i podatny na ataki gniewu i depresję, ale zdradzający również wybitną inteligencję. Był geniuszem żyjącym na skraju załamania nerwowego. Paradoxem było to, że choć zarobił fortunę na linii parowcowej, do końca życia bał się podróży. Chorował na hemofilię.

Pozostali podnieśli wzrok znad mapy.

—To ta choroba krwi? - zapytała Córa.

—Czasami nazywana „królewską chorobą”, ponieważ cierpiało na nią co najmniej dziesięciu męskich potomków królowej Wiktorii.

—Najłżejsze uderzenie albo upadek powodują niedające się zatamować krwawienie, tak? - zapytał Balenger.

—Zgadza się. Zasadniczo jest to schorzenie genetyczne, wskutek którego krew nie krzepnie we właściwy sposób. Kobiety nie chorują ale przekazują gen choroby swoim synom. Krwawienie jest często wewnętrzne. Krew sączy się do stawów i mięśni, powodując obezwładniający ból, który na całe tygodnie przykuwa ofiary do łóżka.

—Czy jest na to jakieś lekarstwo? - zapytał Balenger, robiąc notatkę.

—Nie, ale jest kilka rodzajów kuracji. Kiedy Carlisle był młody, stosowano eksperymentalne transfuzje. Nowe płytki krwi powodowały jej krzepnięcie. Rodzice Morgana panicznie się

bali, że wykrwawi się na śmierć, i roztoczyli nad nim kontrolę, którą sprawowała liczna służba. Chłopak był praktycznie więźniem we własnym domu. Nie wolno mu było wyjść z rodzinnej rezydencji na Fifth Avenue na Manhattanie. Jego rodzice uwielbiali jednak podróże i często zostawiali go samego. Ocenia się, że pozostawali poza domem przez sześć miesięcy w roku. Wracali z fotografiami, obrazami i stereoskopowymi ilustracjami, na których mógł obejrzeć widziane przez nich cuda. Tak bardzo przyzwyczał się do przebywania za zamkniętymi drzwiami, że rozwinęła się u niego agorafobia i nie wyobrażał sobie wyjścia na zewnątrz. Po śmierci rodziców dał upust całej swojej frustracji i gniewowi i przysiągł, że po raz pierwszy w życiu zmieni miejsce zamieszkania. Chociaż nigdy jeszcze nie wystawił stopy na Fifth Avenue, postanowił, że zamieszka w zbudowanym przez siebie hotelu w bajecznym, przekraczającym granice wyobraźni kurorcie, o którym mówił cały Manhattan: w Asbury Park nad Atlantykiem. Projektując go, wzorował się na jednej z tych stereoskopowych ilustracji, które przywieźli mu rodzice: stojącej w meksykańskiej dżungli zrujnowanej budowli Majów.

Balenger zauważył, z jak wielkim zainteresowaniem grupa słucha profesora.

- Carlisle uznał, że skoro nie może zobaczyć autentycznej piramidy Majów, zbuduje ją sobie sam - podjął Conklin. - Siedmiopiętrowa budowla miała taką samą wysokość, długość i szerokość jak oryginalna piramida. Nie stanowiła jednak jej imitacji. Carlisle zdecydował, że każdy poziom będzie cofnięty

względem poprzedniego, wyższe piętra będą miały coraz mniejszą powierzchnię, a na samej górze stanie coś w rodzaju penthouse'u. Zmodyfikowany kształt piramidy wyprzedzał projekty art deco z lat dwudziestych.

Rick zmarszczył brwi.

—Ale skoro miał agorafobię... - zaczął.

—Tak? - przerwał zaciekawiony Conklin, uważnie mu się przyglądając, pragnąc, by chłopak sam wyciągnął logiczny wniosek.

Córa była szybsza.

—Chce pan powiedzieć, profesorze, że Carlisle przeniósł się do hotelu, zamieszkał na najwyższym piętrze i nigdy go nie opuścił? - zapytała.

—Nie, to ty powiedziałaś - odparł Conklin, składając z zadowoleniem dłoń. - Jedna z wind przeznaczona była tylko dla niego. W dzień i w nocy, ale przeważnie w nocy, kiedy goście spali w pokojach, miał do dyspozycji swoją małą wersję świata. Zważywszy na koszty budowy hotelu, cała inwestycja nigdy nie miała szansy się zwrócić. Nawet bogacze by się buntowali, gdyby Carlisle chciał wyznaczyć ceny oparte na kosztach. Ludzie dysponujący umiarkowanymi dochodami w ogóle by się tam nie zatrzymywali. W związku z tym ustalił ceny konkurencyjne. W końcu od samego początku nie chodziło mu o zysk, ale o to, by tętniło wokół niego życie.

—Jak długo żył? - zapytał Balenger.

—Dziewięćdziesiąt dwa lata. Uważa się powszechnie, że ludzie cierpiący na hemofilię są słabi i chorowici, i rzeczywiście niektórzy tacy są. W ramach kuracji zaleca się jednak dbanie o kondycję fizyczną. Bardzo pomocne są pewne niekontaktowe ćwiczenia w rodzaju pływania i jazdy na stacjonarnym rowerze. Muskularny tors wspiera bolące stawy. Duże dawki witamin i suplementów żelaza mają zapobiec anemii i wzmocnić układ odpornościowy. Czasami stosuje się sterydy, aby powiększyć masę mięśni. Carlisle gorliwie stosował się do tych zaleceń. Ze wszystkich relacji wynika, że miał ujmującą powierzchowność.

—Dziewięćdziesiąt dwa lata - powtórzyła z

podziwem Córa i nagle coś przyszło jej do głowy. - Skoro w tysiąc dziewięćset pierwszym roku miał dwadzieścia dwa lata, w takim razie żył do...

—Dodaj jeszcze siedemdziesiąt lat. Do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. - Teraz to Rick dokończył myśl Córy. Balenger zauważył, że nabrali tego zwyczaju, choć byli małżeństwem od niedawna. - Carlisle był tutaj, kiedy rok wcześniej doszło do zamieszek i pożarów. Widział je prawdopodobnie z okien swojego penthouse'u. Musiał być przerażony.

- Przerażony to mało powiedziane - skomentował profesor. - Carlisle polecił zainstalować okiennice po wewnętrznej stronie każdego okna i drzwi. Metalowe okiennice. Zabarykadował się od środka.

Zaintrygowany Balenger odłożył swój notatnik.

—To znaczy, że od ponad trzydziestu lat hotel jest zamknięty na głucho?

—Mało tego. Sposób, w jaki Carlisle zareagował na zamieszki, bardzo nam pomógł. Wewnętrzne okiennice zabezpieczyły hotel o wiele lepiej, niż gdyby zabito go deskami z zewnątrz. Szyby w oknach zostały wybite przez wandalów i burzę. Teoretycznie jednak nic nie dostało się do środka. Być może nigdy nie nadarzy nam się sposobność penetracji tak doskonale zachowanego budynku. Zanim hotel zostanie zniszczony.

—Zniszczony? - zdziwiła się Córa.

—Po śmierci Carlisle'a przeszedł na własność rodzinnego zarządu powierniczego, którego celem było zachowanie go w niezmiennym stanie. Jednak po krachu giełdowym w dwa tysiące pierwszym roku zarząd zaczął mieć problemy finansowe i władze Asbury Park przejęły budynek za niezapłacone długi. Teren wykupił jakiś developer. W przyszłym tygodniu do środka wchodzi specjalna firma, która zabierze wszystko, co ma jakąkolwiek wartość. Dwa tygodnie później hotel Paragon zostanie zrównany z ziemią. Ale dzisiaj po raz pierwszy od dziesięcioleci będzie miał gości. Nas.

Członkowie grupy włączyli krótkofalówki. Balenger wyczuwał, jak bardzo są podekscytowani. Pokój wypełniły trzaski z głośników.

Conklin wcisnął przycisk.

- Sprawdzam - odezwał się i jego zniekształcony głos popłynął ze wszystkich aparatów.

Rick, Córa i Vinnie poszli kolejno w jego ślady, upewniając się, czy ich krótkofalówki w prawidłowy sposób nadają i odbierają.

—Baterie chyba są nowe - zauważyła Córa. - Mamy zresztą dużo zapasowych.

—Jaka pogoda? - zapytał Rick.

—Przelotne opady przed świtem - odparł Conklin.

- Nic strasznego. Pora na nas - powiedział Vinnie.

Balenger wsadził do ostatniego plecaka robocze rękawice, prowiant, butelki z wodą, kask, pas ze sprzętem, krótkofalówkę, latarkę oraz zapasowe baterie.

Zorientował się, że grupa bacznie mu się przypatruje.

—Naprawdę pan z nami idzie? - zdziwiła się Córa. Balenger poczuł, jak pulsuje mu w uszach.

—Oczywiście. Chyba o to właśnie chodziło?

—Przewidywaliśmy, że się pan wycofa.

—Bo nie pociąga mnie zakradanie się w środku nocy do starego budynku? Właściwie bardzo mnie zaciekawiliście. Poza tym artykuł wiele by stracił, gdybym nie mógł napisać, co tam odkryliście.

—Pański redaktor może być niezadowolony, jeśli pana aresztują - powiedział Conklin.

—Naprawdę mi to grozi?

—W Asbury Park od dwudziestu lat nie widziano ochroniarza. Ale zawsze istnieje taka możliwość.

—Wydaje się bardzo znikoma. - Balenger wzruszył ramionami. - Hemingway wziął udział w inwazji na Normandię z pękniętą czaszką. Co mogłoby mnie powstrzymać przed wślizgnięciem się do jakiegoś budynku?

—Wkroczeniem - poprawił go Vinnie.

—Właśnie - zgodził się Balenger i wziął ostatni leżący na łóżku przedmiot. Składany nóż był czarny i miał żłobioną rękojeść.

—Żłobienia zapewniają mocny uchwyt, jeśli rękojeść będzie wilgotna - wyjaśnił Rick. - Klips przy rękojeści przytwierdza nóż do wewnętrznej strony kieszeni spodni. Dzięki temu może pan go łatwo wyjąć, nie grzebiąc w kieszeni.

—Zupełnie jak podczas wojskowej ekspedycji.

—Zdziwiłby się pan, jak bardzo może się przydać nóż, gdy kurtka zaczepi się o coś w trakcie czołgania się przez wąski otwór albo musi pan otworzyć świeży zestaw baterii i ma pan tylko jedną wolną rękę. Widzi pan ten bolec z tyłu ostrza? Niech pan go wciśnie kciukiem.

Balenger zrobił to i ostrze się otworzyło.

- Przydaje się, kiedy trzeba otworzyć nóż jedną ręką - oznajmił Rick. - To nie jest sprężynowiec, więc jeśli pana z nim złapią, nic panu nie grozi.

Balenger pokiwał głową na znak, że go to uspokoiło.

—Dobrze wiedzieć - mruknął.

—Jeśli penetrujemy jakiś dziki obszar, mówimy strażnikowi leśnemu, dokąd się wybieramy - oświadczył profesor. - Zostawiamy wiadomość

przyjaciołom i rodzinie, żeby wiedzieli, gdzie nas szukać, jeśli nie skontaktujemy się z nimi w umówionym czasie. Podobne zasady obowiązują w trakcie miejskiej eksploracji, z tą różnicą, że to, co zamierzamy zrobić, jest niezgodne z prawem, nie możemy więc z góry zdradzać swoich zamiarów. Zostawiłem zapieczętowany list koledze, który jest jednocześnie moim najbliższym przyjacielem. Domyśla się, czym się zajmuję, ale nigdy nie zapytał mnie o to wprost. Jeśli nie zadzwonię do niego jutro przed dziewiątą rano, otworzy list, dowie się, dokąd poszliśmy, i zawiadomi władze, żeby nas szukały. Nigdy nie byliśmy w sytuacji, która by tego wymagała, ale krzepiąca jest świadomość, że powzięliśmy pewne środki ostrożności.

—No i oczywiście mamy nasze komórki - dodał Vinnie, pokazując swój telefon. - W razie czego zawsze możemy wezwać pomoc.

—Ale nie włączamy ich - powiedział Conklin. - Trudno jest dotrzymywać kroku przeszłości, kiedy przeszkadza nam współczesny świat. Jakieś pytania?

—Kilka. - Balenger chciał jak najszybciej wyruszyć. - Ale mogę z nimi poczekać do momentu, kiedy znajdziemy się w środku.

Conklin spojrział na swoich byłych studentów.

- Czy o niczym nie zapomnieliśmy? Nie? W takim razie ja i Vinnie pójdziemy pierwsi. Wasza trójka poczeka pięć minut. Nie chcemy, żeby to wyglądało na procesję. Wyjdziecie na ulicę, skręcicie w lewo i miniecie dwie przecznice. Jest tam zarośnięta chaszczami działka. Tam nas znajdziecie. Przepraszam, że poruszam sprawy osobiste - zwrócił się do Balengera - ale proszę pamiętać o opróżnieniu pęcherza przed

wyściem. Po wkroczeniu do obiektu nie zawsze można znaleźć na to czas, a poza tym narusza to naszą zasadę, żeby pozostawić wszystko w nietkniętym stanie. Dlatego to ze sobą zabieramy. - Profesor włożył plastikową butelkę do plecaka Balengera. - Psy, pijacy i ćpuni odlewają się w starych budynkach. My nie. My nie zostawiamy żadnych śladów.

22.00

Dobiegający z prawej strony łoskot łamiących się fał wydawał się Balengerowi głośniejszy, niż kiedy tu przybył. Serce biło mu szybciej. Październikowy wiatr sypał im piaskiem w oczy. *Klang. Klang.* Arkusz blachy walił coraz mocniej o ścianę opuszczonego budynku dwie przecznice dalej na północ. Ten dźwięk przypominał bicie pękniętego dzwonu i działał mu na nerwy, kiedy razem z Córą i Rickiem lustrowali wzrokiem okolicę. Popękane chodniki. Zarośnięte chwastami działki. Kilka rysujących się na tle czarnego nieba, walących się budynków.

Przed sobą mieli siedem pięter hotelu Paragon. W rozgwieżdżonym mroku przypominał piramidę Majów. W miarę jak Balenger podchodził bliżej, hotel wydawał się rosnąć. Uderzająca była symetria jego zwieńczonych penthouse'em, cofających się kondygnacji. W świetle księżyca tak bardzo przypominał budynki art deco z lat dwudziestych, że można by przypuszczać, iż Carlisle był jasnowidzem.

Balenger spojrzał na swoich towarzyszy.

- Mówiliście, że wszyscy troje uczęszczaliście na kurs historii prowadzony przez profesora Conklina w Buffalo. Nadal utrzymujecie ze sobą kontakt między corocznymi ekspedycjami?

—Nie tak bliski jak kiedyś - odparł Rick.

—Święta. Urodziny. Tego rodzaju rzeczy. Vinnie mieszka w Syracuse. My w Bostonie. To nie ułatwia kontaktów - dodała Córa.

—Ale w tamtym okresie byliśmy ze sobą bardzo związani - powiedział Rick. - Do diabła, Vinnie i Córa nawet ze sobą chodzili. Dopóki ona i ja nie zwiąaliśmy się na serio.

—Nie krępowało was to? Te wyprawy we trójkę?

—Niekoniecznie - odparła Córa. - Vinnie i ja nigdy do siebie nie pasowaliśmy. To była tylko zabawa.

—Dlaczego waszym zdaniem profesor wybrał was troje?

—Nie rozumiem...

—W ciągu tylu lat z pewnością miał wielu studentów, z których mógł wybierać. Dlaczego akurat wy?

—Zawsze wydawało mi się, że nas po prostu lubi - odpowiedziała Córa.

Balenger pokiwał głową. Może profesor lubił przede wszystkim ją, pomyślał. Lubiał na nią patrzeć i zapraszał jej ówczesnych chłopaków, żeby dobrze się czuła i nie spostrzegła zainteresowania, jakie budziła w starzejącym się wdowcu.

Nagle zastygł w bezruchu, widząc wyłaniający się z zarośli kształt, który uniósł się i zatrzymał na wysokości jarda, zupełnie jakby wyrastał z ziemi. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to Vinnie, którego tułów wydawał się lewitować nad ziemią.

- Tutaj.

Balenger zobaczył okrągły otwór, a obok niego pokrywę studzienki. Vinnie zniknął pod ziemią. Balenger i Córa zeszli za nim po metalowej drabinie

przymocowanej do betonowej ściany.

Brzęk arkusza blachy w niedokończonym apartamentowcu stał się cichszy, powietrze chłodniejsze. Zapachniało wilgocią i pleśnią. Balenger stanął na dole i jego buty zachrobotyły o beton.

Ciemność zgęstniała. Rick wszedł do włazu i zasunął za sobą ze zgrzytem pokrywę. Fakt, że zrobił to bez większego trudu, świadczył o jego sile. W końcu zapadła kompletna ciemność i nie słychać już było brzęku blachy.

Balenger uświadomił sobie, że słyszy własny oddech. Miał wrażenie, że brakuje mu powietrza, że ciemność oblepia mu twarz. Choć w tunelu było zimno, cały się spocił. Odczuł tylko niewielką ulgę, kiedy błysnęła lampa przy którymś z kasków. Niżej zobaczył brodatą twarz profesora. Skraj kasku rzucał cień na pulchne policzki Conklina. Chwilę później zapaliła się lampa na kasku Vinniego.

A potem Balenger usłyszał kroki Ricka i skrzypienie zamków błyskawicznych, kiedy Rick i Córa wyjęli kaski z plecaków. Sam poszedł w ich ślady i poczuł się nieswojo w ciężkim nakryciu głowy.

Wszyscy rozsunęli się nieco, starając się nie wchodzić sobie pod nogi. Balenger wyczuwał jednak, że pragną pozostać blisko siebie. Pięć lamp podskakiwało i obracało się w różne strony, kiedy badali tunel. Ich światło odbijało się w kałużach.

—Miastu tak bardzo zależy na nowych inwestycjach - powiedział Conklin - że wystarczyło dać do zrozumienia, że jestem developerem, i poprosić o mapę starych kanałów burzowych i kanalizacji. Urzędnik sam je dla mnie skserował.

—Ten kanał prowadzi do hotelu? - zapytał Vinnie.

—Z kilkoma obejściami. To Carlisle zaprojektował ich rozkład. Potrafił przewidywać wszystko z dużym wyprzedzeniem i wiedział, że prędzej czy później hotelowa instalacja elektryczna będzie musiała zostać zmodernizowana. Aby uniknąć wykopków przy zakładaniu nowych kabli, kazał zbudować te kanały. Zwierzęta nie przegryzą kabli, ponieważ poprowadzono je rurami. Tunele służą również jako system odwadniający. Podczas opadów teren sąsiadujący z plażą może stać się błotnisty. Żeby tego uniknąć, Carlisle umieścił wokół hotelu dreny rurowe. Deszcz i topiący się śnieg spływają do kanałów i wypływają pod deptakiem. Dlatego widzimy tutaj kałuże. To między innymi dzięki systemowi odwadniającemu hotel przetrwał ponad sto lat, podczas gdy fundamenty innych budynków przegniły.

Członkowie grupy wyjęli z plecaków grube paski, które miały szlufki, zaczepy oraz kieszenie i przypominały Balengerowi pasy narzędziowe noszone przez elektryków i cieśli. Przypominały również pasy, które noszą żołnierze i policjanci. Szybko przytroczono do nich krótkofalówki, latarki, aparaty fotograficzne i inny sprzęt. Balenger zrobił to samo, rozkładając równo ciężar wokół bioder. Następnie wszyscy włożyli robocze rękawice.

- Przy kaskach mamy speleologiczne lampy Petzla - poinformował go profesor. - Można w nich używać diodluminescencyjnych albo halogenów w zależności od tego, ile potrzebujemy światła. Baterie wystarczają na dwieście osiem dziesiąt godzin. To jedyna rzecz, o którą nie musimy się martwić. Są za to inne. Sprawdzamy stężenie - zwrócił się do grupy.

Vinnie, Córa i Rick wyciągnęli z plecaków małe elektroniczne urządzenia, które Balenger widział wcześniej na łóżku i których nie potrafił zidentyfikować. Jego towarzysze wcisnęli przyciski i obserwowali wskazówki.

—Normalny poziom - oświadczyła Córa.

—Sprawdzamy poziom metanu, a także tlenu i dwutlenku węgla - powiedział Rick do Balengera. - Te gazy są bezwonne. Rejestruję niewielkie stężenie metanu. Na granicy skali.

—Tak czy inaczej, jeśli poczuje pan zawroty lub ból głowy, mdłości albo kłopoty z koordynacją ruchów, proszę nam natychmiast powiedzieć. Niech pan nie czeka do momentu, aż objawy się spotęgują. Kiedy to się stanie, możemy być zbyt daleko, żeby się ewakuować. Będziemy często sprawdzali odczyt liczników.

Balenger wsłuchiwał się w echo ich kroków i oddechów. Prowadzący pochód profesor często zerkał na plan.

Tunel miał tylko pięć stóp wysokości i musieli się schylać. Wzdłuż ścian i sufitu biegły zardzewiałe rury. Brodząc w kałużach, był wdzięczny, że poradzili mu, aby włożył wodoszczelne buty.

—Czuć zapach oceanu - powiedział Vinnie.

—Znajdujemy się tuż powyżej najwyższego odnotowanego poziomu wody - wyjaśnił Conklin. - W czasie huraganu w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku te tunele zostały zalane.

—Mam coś do pańskiego artykułu - zwrócił się Vinnie do Balengera. - Pierwszym miejskim eksploratorem był Walt Whitman.

—Whitman?

—Ten poeta. W tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym roku był reporterem w Brooklynie. Napisał o ekspedycji do porzuconego tunelu metra pod Atlantic Avenue. Zbudowano go w tysiąc osiemset czterdziestym czwartym roku, jako pierwszy tego rodzaju, ale już siedemnaście lat później stał się przestarzały. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku kolejny miejski eksplorator odkrył ten sam tunel, który przez ponad sto lat był zamknięty i zapomniany.

—Uwaga! - krzyknęła nagle Córa.

—Nic ci się nie stało? - zapytał Rick, podając jej rękę.

—Szczur. - Córa skierowała lampę na wiszącą nad nimi rurę. Szczur łypnął na nich różowymi

oczyrna i uciekł, wywijając długim ogonem. -
Widziałam ich tyle, że ktoś mógłby pomyśleć,
że już do nich przywykłam - mruknęła.

—Wygląda na to, że ma przyjaciela.

Drugi szczur popędził po rurze w ślad za
pierwszym. Chwilę później było ich już sześć. Zaraz
potem tuzin. Balenger poczuł w ustach gorzkawy smak.

- Jeśli spędzają tutaj całe życie, są ślepe - rzekł
Conklin. - Nie reagują na lampy, lecz na hałas i
wydzielany przez nas zapach.

Balenger usłyszał chrobot pazurków. Szczury
zniknęły w otworze, przez który wychodziła ze ściany
po ich prawej stronie poprzeczna rura.

Po lewej stronie pojawił się prostokątny otwór.
W chybotliwym świetle lamp zobaczyli blokującą go u
dołu szeroką, zardzewiałą rurę.

—Przejdziemy tędy - zdecydował Conklin.
Vinnie, Córa i Rick sprawdzili stężenie gazu.

—W normie - oznajmili Vinnie i Córa. Rick
westchnął ciężko.

—Stężenie metanu nadal na granicy normy -
powiedział. Profesor oświetlił lampą
zardzewiałą rurę.

—Skorzystał pan z mojej rady i zaszczepił się
przeciwko tężcowi? - zapytał Balengera.

—Oczywiście. Ale może powinienem
zaszczepić się także przeciwko wścieklicznie i
nosówce...

—A to dlaczego?

—Szczury wróciły.

Kilka z nich przycupnęło na rurze pięć stóp
dalej. W świetle lamp widać było czerwone dno ich
ślepych oczu.

—Ciekawe, czy chcą poznać nowych sąsiadów, czy zastanawiają się, jak uszczknąć z nas trochę na obiad - zażartował Rick.

—Bardzo śmieszne... - mruknęła Córa.

—Ten duży mógłby chyba spałaszować kilka palców.

—Rick, jeśli chcesz jeszcze w tym stuleciu uprawiać seks...

—Dobrze, dobrze. Przepraszam. Pozbędę się ich. - Rick wyciągnął z kieszeni kurtki pistolet na wodę i dał krok w stronę szczurów, które sterczały w miejscu, nie chcąc zejść z rury. - Sprawa jest prosta, chłopcy. Albo wy, albo moja żona. - Nagle zastygł w bezruchu. - Na litość boską...

—Co się stało?

—Jeden z nich ma dwa ogony. A drugi troje uszu. Jakiś defekt genetyczny wynikły z chowu wsobnego. Wynoście się stąd - syknął Rick, naciskając spust i spryskując je cieczą.

Balenger usłyszał kilka pisków, od których przeszły mu ciarki po grzbiecie. Zdeformowane szczury schowały się w kolejnej dziurze.

—Co jest w tym pistolecie na wodę? - zapytał.

—Ocet. Jeśli nas złapią, będzie wyglądał o wiele niewinniej niż gaz łzawiący albo pieprzowy.

Balenger zdążył go już poczuć. Zaszczypało go w nosie.

—Nie przypuszczam, żeby ktoś zrobił zdjęcie - mruknął Conklin.

—Kurczę - zaklął sfrustrowany Vinnie. - Stałem w miejscu jak ta gapa. Przepraszam. To się już nie powtórzy.

Aparat Vinniego, kompaktowy cyfrowy canon, tkwił w futerale przy jego pasku. Vinnie wyjął go,

włączył, wcisnął flesz i zrobił zdjęcie jednookiemu szczurowi, który wystawił łepkę z dziury przy rurze.

Przeźnięć nad szeroką rurą wypełniały pajęczyny. Rick odgarnął je dłonią w rękawicy.

- Nie widzę żadnych brunatnych pustelników - oznajmił.

Balenger wiedział, że Rick ma na myśli gatunek pajaków samotników, których ukąszenie mogło okazać się śmiertelne. Młody człowiek przecisnął się nad przeszkodą, przez krótką chwilę dosiadając jej okrakiem. Dlatego właśnie określano podobne rury mianem „zgniataczy jaj”. Jego buty zachrobotyły po drugiej stronie. Rick wyprostował się, uginając lekko kolana, i oświetlił lampą nowy tunel. - Wszystko w porządku... z wyjątkiem szkieletu.

—Co takiego? - zapytał Balenger.

—To szkielet zwierzęcia. Nie potrafię powiedzieć jakiego. Ale większego od szczura.

Vinnie przecisnął się nad rurą i przykucnął obok Ricka.

—To kot..

—Skąd wiesz?

—Ma niskie czoło i wysuniętą lekko do przodu szczękę. Poza tym jego zęby są zbyt małe jak na psa.

Pozostali członkowie grupy przecisnęli się kolejno nad rurą. Ich ubrania szorowały o rdzę. Conklin przeszedł ostatni. Balenger zauważył, że starszy mężczyzna z trudem oddycha. Pokażna tusza utrudniała mu ruchy.

—Jakim cudem tak dobrze znasz się na szkieletach zwierząt? - dopytywała się Córa Vinniego.

—Tylko na szkieletach kotów. Kiedy byłem dzieckiem, wykopałem jednego w moim

ogródka.

—Musiał być z ciebie uroczy dzieciak, skoro przekopywałeś ogródek rodziców.

—Szukałem złota.

—I znalazłeś?

—Tylko stary kawałek szkła.

Balenger nadal przypatrywał się szkieletowi.

—Jak waszym zdaniem dostał się tu kot? - chciał wiedzieć.

—A jak dostały się szczury? - odparł profesor. - Zwierzęta zawsze znajdą jakąś drogę.

—Ciekawe, co go zabiło.

—Nie mógł zdechnąć z głodu, skoro jest tutaj tyle szczurów - zauważył Yinnie.

—Może to one go zabiły - powiedział Rick.

—Jesteś coraz bardziej zabawny - mruknęła Córa.

—Ale to nie jest zabawne. Mamy tu kolejny szkielet - odezwał się Vinnie. - I jeszcze jeden. I jeszcze.

Ich lampy oświetliły liczne kości.

—Co tu się, do diabła, wydarzyło? - zapytał Balenger. W tunelu zapadła cisza, słychać było tylko ich oddechy.

—To huragan - oznajmiła w końcu Córa.

—Co masz na myśli?

—Profesor powiedział, że w trakcie huraganu woda zalała tunele. Te cztery koty próbowały przed nią uciec tym kanałem. Widzicie, jak się wznosi? Ale woda i tak je dopadła. Kiedy się cofnęła, ich ciała zatrzymała rura. Zamiast wypłynąć, zostały tu na dnie.

—Uważasz, że te szkielety pochodzą z tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku? - zapytał Balenger.

—Dlaczego nie? Nie ma tutaj ziemi, która przyspieszyłaby rozkład.

—Gdybyś nadal uczeszczała na mój kurs, Córo, postawiłbym ci piątkę - skwitował profesor, kładąc jej dłoń na ramieniu.

Balenger zauważył, że trzymał ją tam dłużej, niż to było konieczne.

Idąc nowym tunelem, minęli kolejne rury i pajęczyny. Ich cienie podrygiwały na ścianach. Balenger uderzył kilka razy głową o sufit i cieszył się, że włożył kask. Wpadł w kolejną kałużę. Mimo wilgoci kręciło go w nosie od kurzu. Czuł, że ma brudne policzki. Wszystko cuchnęło stęchlizną. W ograniczonej przestrzeni powietrze wydawało się ściśnięte, przyprawiało o mdłości.

Vinnie, Córa i Rick co jakiś czas sprawdzali stężenie gazów.

—Nie ma tutaj łatwiejszego wejścia? - Echo zniekształciło głos Balengera.

—Okna są zablokowane od wewnątrz metalowymi okiennicami, pamięta pan? - odparł Conklin.

—A drzwi?

—Tak samo. Blachą. Przypuszczam, że moglibyśmy spróbować je podważyć. Mamy łom i silne ramiona Ricka. Ale narobilibyśmy hałasu, a gdyby pojawił się strażnik, ujrzałby zniszczenia.

Tunel skończył się i po prawej stronie pojawił się nowy otwór. Rick sprawdził stężenie gazu.

—Metan nadal na granicy normy. Czy komuś jest niedobrze?

—Nie - odparł za nich wszystkich Vinnie.

Kiedy skręcili, Balenger zeszywniał, widząc przed sobą jarzące się oczy. Poczul, jak robi mu się gorąco. Oczy świeciły się na wysokości jednej stopy. Wielki kot albinos.

Błysnął flesz w aparacie Vinniego. Kot syknął wściekle, wyprężył grzbiet, machnął prawą łapą w

stronę światła, po czym czmychnął w ciemność. Balenger zmarszczył brwi, spostrzegając, że coś jest nie w porządku z tylnymi łapami zwierzęcia. Zwierzę dziwnie nimi poruszało.

Flesz błysnął ponownie.

—Hej, kotku, uciekasz w złym kierunku. Obiad jest gdzie indziej. Mam tu parę szczurów, które powinieneś poznać.

—Cholernie wielki zwierzak - doszła do wniosku Córa, wypuszczając powietrze z płuc i powoli dochodząc do siebie po szoku.

—Może napchał się szczurami - powiedział Rick. - Wydaje mi się, że widział nasze światła. Musi znać stąd jakieś wyjście. W przeciwnym razie przestałyby działać jego nerwy wzrokowe.

—Widzieliście jego tylne łapy? - zapytał Balenger.

—Tak. - Vinnie pokazał pozostałym obraz na wyświetlaczu aparatu. - Miał trzy tylne łapy. Dwie wyrastały z jednego biodra. Dobry Boże.

—Często widujecie podobne rzeczy? - zapytał Balenger.

—Mutacje? Co jakiś czas, w tunelach, które nie były od dawna używane - odparł profesor. - Częściej widzimy otwarte rany, parchy i roje pasożytów.

—Jakich pasożytów?

—Pcheł. Czy szczepiąc się przeciw tężcowi, powiedział pan lekarzowi, że jedzie pan do kraju Trzeciego Świata i na wszelki wypadek chce wziąć ze sobą antybiotyki?

—Tak, ale nie mam pojęcia dlaczego.

—To zabezpieczenie przed dżumą.

—Dżumą?

—Myślimy, że to średniowieczna choroba, ale

ona nadal istnieje. Na południowym zachodzie Stanów Zjednoczonych, na terytoriach takich jak Nowy Meksyk, zapadają na nią pieski

preriowe, króliki i czasami koty. Bardzo rzadko zakaża się nią człowiek.

—Od zakażonych pcheł?

—Jeśli zastosował się pan do zalecanych środków ostrożności, nie musi się pan niczego obawiać. Nikt z nas nie zachorował nigdy na dżumę.

—A na co chorowaliście?

—Byłem kiedyś w tunelu, w którym zalegała stojąca woda podobnie jak w tym. Komary. Dostałem gorączki zachodniego Nilu. Rozpoznałem objawy i odwiedziłem wystarczająco wcześnie lekarza. Ale nie ma czego się bać. Jest jesień i komary wyginęły. A my dotarliśmy na miejsce. To tutaj.

Balenger wziął głęboki oddech i skierował lampę na zardzewiałe metalowe drzwi.

Rick nacisnął klamkę. Bez skutku. Spróbował ponownie, z tym samym rezultatem.

—Zamknięte. Może zardzewiał zamek?

—Profesorze? - zapytał Vinnie.

—To jest moment, którego nie lubię - oświadczył starszy mężczyzna. - Do tej pory tylko przebywaliśmy na cudzym terenie. Kiedy staramy się wejść do jakiegoś budynku, cieszę się, gdy odnajdujemy deskę, która odpadła od ściany, miejsce, przez które można się przecisnąć. Wszystko zostaje takie, jakie było. Niczego nie niszczymy. Ale teraz musimy dopuścić się poważniejszego wykroczenia. Musimy się włamać. Zakładając, że to nam się w ogóle uda. Bardzo chciałbym zobaczyć, co jest wewnątrz, ale nie mogę zachęcać was do złamania prawa. To musi być wasza decyzja.

—Na mnie może pan liczyć - powiedział Vinnie.

—Na pewno?

—Moje życie nie jest aż tak ekscytujące. Nigdy bym sobie nie wybaczył, że straciłem taką szansę.

—Córa? Rick?

—Wchodzimy.

Conklin spojrział na Balengera, odwracając lampę od jego oczu.

—Może nie powinien pan iść dalej? Nie ma pan wobec nas żadnych zobowiązań.

—Zgadza się. - Balenger wzruszył ramionami. - Ale do diabła, kiedy byłem mały, zawsze wchodziłem tam, gdzie nie powinienem. Zainteresował mnie pan tym, co jest po drugiej stronie drzwi.

Rick wyjął łom z plecaka i wsadził go między zardzewiałą futrynę i drzwi. Hałas odbił się głośnym echem w tunelu. Rick zapał się i pociągnął łom do siebie. Drzwi uchylły się na jeden cal Rick pociągnął mocniej i otworzył je na wystarczającą szerokość, by przez szparę przecisnął się nawet profesor.

Balenger wszedł ostrożnie do środka. Jego lampa oświetliła potężną kotłownię. Po dławiącej ciasnocie tunelu przyjemnie było znaleźć się w dużym pomieszczeniu, móc podnieść głowę, wyprostować plecy i kark. Przy pogrążonej w mroku ścianie po prawej stronie zobaczył przełączniki, dźwignie, zegary i wskaźniki. Pod sufitem i przy pozostałych ścianach biegły rury. Pośrodku stały wielkie metalowe cylindry. Balenger domyślił się, że to bojler. W chłodnym powietrzu unosił się zapach metalu i starego betonu.

- Carlisle przez cały czas unowocześniał infrastrukturę - wyjaśnił profesor. - Te urządzenia pochodzą z lat sześćdziesiątych.

Rick skierował światło swojej lampy na dźwignie i inne urządzenia.

- Imponujące. Facet był na pewno dobrze zorganizowany. Wszystko jest tak dokładnie opisane, że nawet idiota wiedziałby, co robić. Każde piętro ma osobny system podgrzewania wody i klimatyzacji. Tutaj są przełączniki do basenu: do podgrzewacza

wody, pompy, oczyszczalnika.

Balenger zajrzał za bojlery.

- Drzwi są tam - oznajmił Yinnie, przechodząc
przez

kotłownię. - Prowadzą prawdopodobnie do głównej części hotelu.

- Hej, panowie! - zawołała Córa.

Odwrócili się ku niej, omiatając ściany snopami światła.

- Może to dlatego, że wy jesteście z Marsa, a ja z Wenus, ale naprawdę mnie to niepokoi - dodała, wskazując otwarte drzwi oraz tunel, z którego wyszli. - Jeśli dostanie się tutaj ten pięcionogi kot albo szczury z dwoma ogonami...

Vinnie zachichotał i razem z Rickiem zamknęli drzwi. Ze skrzypiących zawiasów posypały się drobiny rdzy.

- A teraz zobaczmy, co jest za drugimi drzwiami - powiedział profesor.

Przeszli przez kotłownię i kiedy Rick otworzył następne drzwi, stanęli jak wryci. W świetle lamp widać było jakieś fale.

- Zdumiewające - rzekł po chwili Balenger, czując, jak przenika go wilgotny chłód.

Vinnie pstryknął kolejne zdjęcie.

- Na litość boską, nie opróżnili basenu - stwierdziła Córa, dając krok do przodu.

Na ich twarzach migotało odbite od tafli wody światło.

- Czy przez tyle lat woda nie powinna wyparować? - zapytał Rick.

Coś kapnęło na kask Balengera. Obawiając się szczurów, zadarł głowę w górę, ale zobaczył tylko skroploną na suficie wodę. Kapnęła mu na nos kolejna kropla.

- Dopóki drzwi były zamknięte, para nie mogła się stąd wydostać - wyjaśnił profesor. - Woda była uwięziona. Czujecie, jakie tu wilgotne powietrze?

—Powiedziałbym raczej, że mokro - rzekł

Balenger. Córa zadrżała.

—Zimno mi.

Mieli przed sobą hotelowy basen. Wypełniająca go woda była zielona od glonów. Nagle rozeszły się po niej fale. Błysnął flesz aparatu Vinniego.

- Coś tam jest - zauważyła Córa.

- Prawdopodobnie jakieś zwierzę, które usłyszało, że się zbliżamy, i wskoczyło do wody, żeby się ukryć – powiedział Conklin.

—Ale jakie zwierzę? Glony nadal się kołysały.

—Może piżmoszczur.

—Jaka jest różnica między zwykłym szczurem i piżmo-szczurem?

—Piżmoszczur jest większy.

—To właśnie chciałam usłyszeć.

Rick znalazł na podłodze śliski kij z siatką na końcu: basenowy czerpak.

- Mógłbym spróbować nim coś złowić - powiedział.

- Albo dać się wciągnąć do wody - mruknęła Córa.

Vinnie roześmiał się.

- Nie, wcale nie żartuję - dodała Córa. - Te drzwi były zamknięte. Podobnie jak drzwi po drugiej stronie basenu. - Światło jej lampy przesunęło się po pokrytej rzesą wodzie i wskazało przeciwległe drzwi. - Więc jak to... cokolwiek to jest... się tu dostało?

Ich światła pobiegły we wszystkich kierunkach, szukając innego wejścia.

—Szczury potrafią się dostać prawie w każde miejsce - wyjaśnił profesor. - Mają dość determinacji i siły, żeby przegryźć betonowe bloczki.

—A to co takiego, na litość boską? - zapytał Balenger, wskazując coś, co przypominało wiszący na ścianie biały dywan.

—Pleśń - odparła Córa. Glony na wodzie znowu się zakołysały. - Zawiadom mnie, kiedy znajdziesz potwora z zielonej laguny, Rick.

—Wychodzisz?

—Naoglądałam się już dość szczurów jak na

jedną noc. Jestem historykiem, nie biologiem.
Jeśli zostanę tu dłużej, porosnę mchem.

Córa obeszła basen, Vinnie zrobił kolejne zdjęcie. Wszyscy wzdrygnęli się, kiedy czerpak stuknął głośno o podłogę.

- Ups, przepraszam - mruknął Rick, który go upuścił.

Cała grupa ruszyła za Córą do podwójnych wahadłowych drzwi, starając się nie poślizgnąć na mokrych kafelkach. Rick pchnął jedno ze skrzydeł i drzwi otworzyły się ze znajomym skrzypieniem zawiasów.

Znaleźli się w pełnym pajęczyn korytarzu. Drzwi po jednej stronie miały zaśnieżoną tabliczkę z napisem PANOWIE, drzwi po drugiej - PANIE. Dalej znajdował się zakurzony kontuar, za którym leżał stos gumowych kłapek.

- Kiedy ludzie opuszczają dom, na ogół wszystko zabierają. To są ich rzeczy i chcą je zachować - powiedział Rick do Balengera. - Ale kiedy zamyka się szpital, fabrykę, dom towarowy, biurowiec albo hotel, odpowiedzialni są wszyscy i nikt. Każdy myśli, że ktoś inny zajmie się drobiazgami, i często nikt tego nie robi.

Minęli zardzewiałe drzwi windy. Obok były schody, które prowadziły na górę.

—Przyjrzyjcie się uważnie stopniom - powiedział Conklin.

—Są marmurowe - stwierdził Vinnie i odwrócił się do Balengera. - W większości miejsc, które penetrujemy, z podłóg wystają gwoździe. Dlatego chcieliśmy, żeby pan włożył buty z grubymi podeszwami.

Na górze trafili na kolejne wahadłowe drzwi.

- Wygląda to na mahoń - powiedziała Córa. - Masywne drewno. Mimo to drzwi spróchniały - dodała, wskazując pokruszone drewno na dole.

Kiedy pchnęła, drzwi nawet nie drgnęły.

- Nie mają zamka. - Rick się zdziwił. - Coś musi je blokować po drugiej stronie.

Wsunął nóż między skrzydła drzwi, pociągnął jedno w swoją stronę i nagle oba skrzydła otworzyły się na oścież. Rick poleciał do tyłu i zderzył się z Balengerem, zbijając go z nóg. Córa krzyknęła. Jakies duże przedmioty spadały z głośnym hurgotem, przysypując Balengera.

W ciemności poczuł, jak w pierś i brzuch wbija mu się coś tępego i twardego. Do twarzy przywarła mu gąbczasta śmierdząca substancja. Z walącym wściekle sercem usiłował się oswobodzić. Słyszał klnącego na czym świat stoi Ricka, a potem trzask łamanego drewna, zupełnie jakby ktoś ciskał deskami o ścianę. Nagle ujrzał światło lamp i zsunął z siebie coś ciężkiego, obitego nadgniłą tkaniną.

- Rick! Nic ci się nie stało? - wrzasnęła Córa.

Kaszłąc i dźwigając się z trudem na nogi, Balenger zobaczył, że dziewczyna podbiega do stosu kanciastych przedmiotów i ściąga je z Ricka.

Vinnie pomógł Balengerowi wstać.

- Jest pan ranny? - zapytał.

—Nie. - Od śmierdzącej substancji zrobiło mu się niedobrze. Próbował zetrzeć ją z twarzy. - Ale co to...

—Rick? - wołała Córa, wyciągając go spod stosu.

—Nic mi nie jest. Po prostu...

—Co na nas spadło? - zainteresował się Balenger.

—Meble - odparł Conklin.

—Meble?

—Połamane stoły i krzesła. Fragmenty sofy.

Jakies zwierzę wydało z siebie straszny pisk. Balenger zobaczył szczura, który wyskoczył z dziury w

nadgniętej sofie. Chwilę później pognął za nim drugi i trzeci. Balenger poczuł w ustach smak żółci.

- Coś sprawiło, że wszystkie poobijane, połamane meble znalazły się za tymi drzwiami - powiedział Conklin. – Kiedy Rick je otworzył, stos na nas runął.

Balenger rozmasował obolałą pierś, w którą, jak sobie teraz uświadomił, wbijała się noga stołu. Poczł przyplływ adrenaliny.

—Ale jak te meble się połamały? Jak znalazły się przy drzwiach?

—Może pracownicy zaczęli jakiś remont i kazano im nagle opuścić hotel - zasugerował Conklin. - W starych budynkach trafiamy na najróżniejsze zagadki. W tamtym opuszczonym domu towarowym w Buffalo znaleźliśmy pół tuzina ubranych manekinów, siedzących na ustawionych w kręgu krzesłach, jakby ze sobą rozmawiały. Jeden z nich trzymał nawet w ręku filiżankę.

—Tamto - było czymś w rodzaju żartu. - Balenger omiół wzrokiem ciemność. - Doskonale. Więc to też miał być żart? A może ktoś nam mówi, żebyśmy trzymali się z daleka?

—Cokolwiek to było, zdarzyło się dawno temu - powiedział Vinnie, pokazując mu złamaną nogę stołu. - Widzi pan to pęknięcie?

Balenger skierował tam swoją lampę.

- Drewno jest stare i brudne - kontynuował Vinnie. - Gdyby to było świeże pęknięcie, wewnątrz nogi byłoby czyste.

Conklin uśmiechnął się.

—Ty też masz u mnie piątkę. Rick podniósł z podłogi swój nóż.

—No cóż, przynajmniej otworzyliśmy drzwi. Balenger zauważył, jak bardzo Córa przejęła się tym, że

Rickowi mogło się coś stać. Spostrzegł też, w jaki sposób patrzył na nią Vinnie, który żałował, że to nie on jest obiektem jej troski.

Młody człowiek stłumił w sobie emocje i

podniósł do oka aparat. Błysk flesza przepłoszył kolejne zwierzę.

Otwarte drzwi zapraszały do środka. Balenger i pozostali minęli szczątki kolejnych mebli i zatrzymali się zdumieni.

- To właśnie nadaje sens naszym wysiłkom – oznajmił Rick.

Stali w pogrążonym w mroku, rozległym holu wejściowym. Sufit był tak wysoko, że w świetle speleologicznych lamp prawie go nie widzieli. Pod stopami mieli brudne marmurowe płyty. Przy kilku kolumnach widać było stosy poobijanych mebli: połamane krzesła, stoły oraz sofy z pleśniejącą pluszową tapicerką.

- Nasuwa się jedyne logiczne wytłumaczenie: ekipie sprzątającej nagle kazano przerwać pracę - powiedział Conklin.

Wokół niektórych kolumn stały gnijące aksamitne kanapy. Spod sufitu zwisały misterne, kryształowe żyrandole. Balenger trzymał się od nich z daleka, bojąc się, że spadną.

Vinnie zrobił zdjęcie żyrandola, ale jego kryształki nie odbiły światła fleszu. Wszystko w holu było matowe i zakurzone. W powietrzu unosił się trudny do zidentyfikowania ostry zapach. Wiszące wszędzie pajęczyny przypominały podarte zasłony. Z szeszlonga zeskoczyła mysz. Z jednego z żyrandoli śmignął spanikowany ptak. Balenger skrzywił się.

—Jak on się tu dostał? - zapytał Vinnie. Gdzieś obok zaświergotał świerszcz i Rick zakasłał.

—Witajcie w *Królestwie dzikich zwierząt* - rzekł.

- Albo w izbie pamięci panny Havisham z *Wielkich nadziei*.

Trzymajcie się z daleka od gniazd i nor - ostrzegł Conklin.

—Niech pan mi wierzy, nie mam zamiaru się do nich zbliżyć - zapewnił go Balenger.

—Niepokoi mnie zapach moczu.

W tym momencie Balenger również rozpoznał ten odór. Ponownie otarł twarz, próbując pozbyć się uczucia, że do jego ust przywiera coś cuchnącego i gąbczastego.

- Jeśli woń uryny jest zbyt intensywna, istnieje niebezpieczeństwo, że zagraża nam wirus Hanta. – Balenger wiedział, że profesor ma na myśli zbliżony do grypy, niedawno zidentyfikowany wirus, który można czasami wykryć w gniazdach gryzoni. Nieszkodliwa dla swoich zwierzęcych nosicieli choroba może okazać się śmiertelna dla ludzi. – Nie musi pan jednak popadać w paranoję. Do zachorowań dochodzi czasami na zachodzie Stanów, ale tutaj są bardzo rzadkie.

- Naprawdę spadł mi kamień z serca.

Conklin zachichotał.

—Może powinienem zmienić temat i powiedzieć parę słów na temat holu. Jak już wspomniałem, Carlisle zadał sobie wiele trudu, aby unowocześnić hotelową infrastrukturę. - Głos profesora odbijał się głuchym echem w wielkim pomieszczeniu. - Nigdy jednak nie zmienił wystroju wewnątrz. Jeśli pominiemy zniszczenia, hol wygląda dokładnie tak samo jak po otwarciu hotelu w tysiąc dziewięćset pierwszym roku. Co jakiś czas wymieniano oczywiście zużyte meble, ale ich wygląd nigdy się nie zmieniał.

—Czysta schizofrenia - mruknął Rick. - Zewnętrzny projekt wyprzedza art deco z lat dwudziestych. Ale umeblowanie jest z przełomu wieków. W stylu wiktoriańskim.

—Królowa Wiktoria zmarła w roku tysiąc

dziewięćset pierwszym, kiedy hotel Paragon był w budowie - wyjaśnił profesor. - Chociaż Carlisle był Amerykaninem, uważał, że świat się zmienia, i to bynajmniej nie na lepsze. To jest styl nowojorskiej rezydencji, w której dorastał. Zewnętrzny wygląd symbolizuje świat, do którego podróżowali jego rodzice i do którego nie miał wstępu. Wnętrze symbolizuje świat, w którym czuł się najbezpieczniej.

—No tak, czysta schizofrenia. Nic dziwnego, że hotel nie osiągał zysków. Musiał wydawać się staroświecki natychmiast po otwarciu.

—Właściwie zyskał sobie opinię hotelu tematycznego. - Conklin zatoczył krąg dłonią. - Ponieważ wnętrze było mocno zakotwiczone w tysiąc dziewięćset pierwszym roku, w miarę upływu lat to, co „staroświeckie”, zaczęto uważać za „historyczne”, a potem nawet za coś w rodzaju „podróży w czasie”. Personel nosił uniformy z przełomu wieków. Porcelanowa zastawa i pozłacane sztucce były przez cały czas takie same, podobnie jak menu. Muzyka, którą grano w sali balowej, pochodziła z tamtego okresu, muzycy ubrani byli w historyczne kostiumy. Wszystko było z innej epoki.

Balenger wbił wzrok w ciemność.

—Gość musiał przeżywać szok, kiedy szedł na górę, włączał telewizor i widział, jak Jack Ruby zabija Lee Harveya Oswalda - powiedział. - Lub walki w Wietnamie. Albo zamieszki podczas konwencji demokratów w Chicago. Choć może Carlisle nie instalował telewizorów w pokojach?

—Zainstalował je, aczkolwiek niechętnie. Goście nie chcieli aż tak bardzo cofać się w czasie. Jednak Asbury Park najlepsze lata miało

już wówczas za sobą i ludzie przestali tu przyjeżdżać.

—No tak, to bardzo smutne - mruknął Balenger.

- Czy wszystkie miejsca, które odwiedzacie, są tak dobrze zachowane?

—Bardzo bym chciał. Wandale i firmy rozbiórkowe często niszczą budynki, nim uda nam się do nich wkroczyć. Weźmy choćby te żyrandole i marmury. Już dawno powinni je ukraść narkomani. Na ścianach powinniśmy zobaczyć obsceniczne graffiti. To dzięki przedsięwziętym przez Carlisle'a zabezpieczeniom hotel zachował się w tak dobrym stanie. Spójrzcie na te fotografie.

Grupa podeszła do ściany, na której wisiały oprawione w ramki czarno-białe zdjęcia. Pod każdym była zaśnieżona miedziana tabliczka z datą: 1910, 1920, 1930, aż do roku 1960. Każde przedstawiało hol wejściowy oraz bawiących się gości. Hol był taki sam na każdej fotografii, styl i meble nigdy się nie zmieniały, ale stroje gości wyraźnie się różniły: klapy marynarek były szersze bądź węższe, tak samo suknie, które były również dłuższe lub krótsze.

- Niczym na fotografii poklatkowej - rzekła Córa, chodząc po holu i kierując to tu, to tam światło lampy. - Ale nie ma zdjęcia z tysiąc dziewięćset pierwszego roku, kiedy zbudowano Paragon. Mogę sobie wyobrazić, jak mnie mijają. Powoli stąpają, mówiąc półgłosem. Szeleszczą suknie. Kobiety mają rękawiczki i parasolki. Mężczyznom nie przyszłoby do głowy, żeby wyjść gdzieś bez krawata i marynarki. W kieszonkach kamizelek mają zegarki z dewizką. Niektórzy noszą laski. Inni getry na butach, żeby ochronić je przed piaskiem plaży. Wchodząc do hotelu, zdejmują meloniki. A może pozwolili sobie na odrobinę swobody w nadmorskim kurorcie i włożyli słomkowe kapelusze? Zbliżają się do recepcji...

Córa zrobiła to samo.

Rick podszedł tymczasem do podwójnych drzwi przy wejściu i uważnie im się przyjrzał.

- Tak jak pan powiedział, profesorze, wewnętrzne drzwi są z metalu. - Próbował je bez skutku otworzyć, a potem podszedł do okna po prawej stronie, odsunął nadgniłe zasłony i odskoczył do tyłu, kiedy sfrunął z nich kolejny ptak. - Cała podłoga pokryta jest cholernym ptasim gównem - mruknął i zbadał okiennicę za zasłonami. - Metalowa. - Z trudem przekręcił zasuwkę. Okiennica była zainstalowana na poziomym drążku. Próbował ją przesunąć, ale mu się

nie udało. – Wspomniał pan, że wandale potłukli szyby. Przez wybite okna musiał padać deszcz i śnieg i rolki zardzewiały. Ale dzięki temu nikt nie zobaczy naszych lamp.

- I jeśli będzie tędy akurat przechodził strażnik, na pewno nas nie usłyszy - dodał Conklin.

Rick przycisnął ucho do okiennicy.

- Nie słyszę szumu fal ani tej blachy, która waliła o ścianę w opuszczonym budynku. Mamy cały ten hotel dla siebie. Ale jak, do diabła, dostały się tutaj ptaki?

Nagle zabrzączał dzwonek.

Balenger odwrócił się na pięcie.

Córa stała za kontuarem recepcji, opierając dłoń na dzwonku z lśniącej niegdyś, nierdzewnej stali. Zwrócona twarzą do grupy, położyła kask na kontuarze. Jej rude włosy błysnęły w świetle lamp. Ścianę za jej plecami zajmowały oblepione pajęczynami przegródki na listy. W kilku z nich tkwiły kartki.

—Witamy w hotelu Paragon - powiedziała. Punktowe światło podkreślało jej niepospolitą urodę. - Wierzę, że będziecie państwo zadowoleni z pobytu. Nie ma lepszego hotelu na świecie. - Wyjęła spod kontuaru drewniane pudełko i położyła je na blacie, wzbijając tuman kurzu. - Ale jesteśmy akurat w szczycie sezonu. Konferencje. Wesela. Rodzinne wakacje. Mam nadzieję, że dokonali państwo rezerwacji. Pan...? - zapytała, zwracając się do profesora.

—Conklin. Robert Conklin.

Córa udawała, że przerzuca karty w pudełku.

—Niestety. Przykro mi. Najwyraźniej nie mamy rezerwacji na to nazwisko. Jest pan pewien, że się z nami skontaktował?

—Oczywiście.

—To niezwykle. Nasz dział rezerwacji nigdy nie popełnia błędu. A pan, panie...?

—Magill - odparł Rick.

—No cóż, mamy rezerwację na to nazwisko, ale wyłącznie dla pani Magill. Wybitnej historyczki, pani Córy Magill. Jestem pewna, że pan o niej słyszał. Zatrzymują się u nas najlepsi goście. - Córa ponownie sięgnęła pod kontuar i tym razem wyciągnęła grubą księgę, wzbijając

jeszcze więcej kurzu. Otworzyła ją i udała, że czyta nazwiska. - Marilyn Monroe. Arthur Miller. Adlai Stephenson. Grace Kelly. Norman Mailer. Yves Montand. Oczywiście na pobyt u nas stać wyłącznie dobrze sytuowane osoby. Stawki za pokój wahają się od dziesięciu do dwudziestu dolarów - dodała, podnosząc leżący koło dzwonka cennik.

—W czasach, kiedy dwadzieścia dolarów to było dwadzieścia dolarów - roześmiał się Rick.

—Właściwie wcale się nie pomyliłaś, wymieniając niektórych gości - powiedział profesor. - Gościli tutaj Marilyn Monroe, Arthur Miller i Yves Montand. Między Monroe i dramaturgiem doszło do małżeńskich nieporozumień. Kiedy nadąsany Miller wyjechał, pojawił się Montand i pocieszał Marilyn. Przebywał tu również Cole Porter. A także Zelda i Francis Scott Fitzgeraldowie, Pablo Picasso, księżę i księżna Windsoru, Maria Callas, Arystoteles Onassis, który miał romans z Callas, i tak dalej. Onassis próbował nawet kupić hotel od Carlisle'a. Paragon przyciągał wielu sławnych i bogatych ludzi. A także sporo tych, którzy cieszyli się złą sławą. Na przykład senatora Josepha McCarthy'ego. I gangsterów - Lucky'ego Luciano i Sama Giancanę.

Balenger zmarszczył brwi.

—Carlisle pozwalał zatrzymywać się tutaj gangsterom?

—Fascynował go ich styl życia. Jadał z nimi kolacje i grał w karty. Zgodził się nawet, żeby Carmine Danata miał tutaj stały apartament. Danata nazywał go „swoją grzędą” i przyjeżdżał tutaj, kiedy nie zajmował się swoją gangsterską

działalnością w Atlantic City, Filadelfii, Jersey City i Nowym Jorku. Carlisle pozwolił mu zamontować sejf w ścianie apartamentu.

Prace wykonano zimą tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku, kiedy hotel był prawie pusty. Nikt o tym nie wiedział.

—Ale skoro nikt o tym nie wiedział... - mruknęła Córa, kręcąc głową. - To mi przypomina, jaki błąd popełniono w *Obywatelu Kanie*.

—W *Obywatelu Kanie* jest jakiś błąd? - zapytał z niedowierzaniem Vinnie. - To niemożliwe. Przecież to arcydzieło.

—Arcydzieło obarczone poważnym błędem. W pierwszej scenie Kane jest starcem. Umiera w łóżku w swoim bajecznym pałacu. W rękę trzyma szklaną kulę.

—Wszyscy znamy tę scenę - rzekł Vinnie. - Oglądaliśmy ją kiedyś we dwójkę na kanale klasyki. Nigdy nie mówiłaś, że jest tam jakiś błąd.

—Uświadomiłam to sobie dopiero po twoim wyjeździe do Syracuse. Kane mruczy „pączek róży”, po czym upuszcza kulę, która rozbija się o podłogę. Hałas ściąga pielęgniarkę, która otwiera drzwi i wchodzi do sypialni. A potem nagle we wszystkich gazetach i kronikach filmowych zastanawiają się, co mogły oznaczać te ostatnie słowa. „Pączek róży”. Reporter wyrusza, żeby rozwiązać tajemnicę.

—No? I co z tego?

—Skoro pielęgniarka znajdowała się w innym pokoju, drzwi były zamknięte, a w sypialni leżał tylko umierający Kane, jakim cudem ktokolwiek znał jego ostatnie słowa?

—Och! - westchnął Vinnie. - Cholera. No to obrzydziłaś mi cały film.

—Kiedy będziesz go następnym razem oglądał,

omiń początek.

—Ale co to ma wspólnego z...

—Skąd pan wie o tajnym sejfie w apartamencie Danaty, profesorze? Tym, który zainstalowano zimą tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku, kiedy hotel był pusty?

Conklin uśmiechnął się.

- Widać, że byłeś moją studentką.

Balenger czekał na odpowiedź.

—Okazało się, że Carlisle prowadził dziennik. Pisał tam nie o sobie, ale o hotelu, notując wszystkie interesujące fakty, które zauważył w ciągu dziesięcioleci. Szczególnie fascynowały go samobójstwa i inne zgony, do których tutaj doszło. Popelniono na przykład trzy morderstwa. Pewien biznesmen zastrzelił swojego wspólnika za to, że ten go oszukiwał. Żona otruła męża, ponieważ zagroził, że odejdzie do innej kobiety. Trzynastoletni chłopiec zczekał, aż jego ojciec zaśnie, i zatłukł go na śmierć kijem baseballowym. Ojciec molestował go od lat. Carlisle musiał użyć całej swojej fortuny i wpływów, żeby zatuszować te incydenty. Po jego śmierci...

—Jak umarł? - zapytał Balenger. - Ze starości? Na atak serca?

—Właściwie popełnił samobójstwo. Grupa znieruchomiła.

—Samobójstwo? - zdziwił się Balenger, robiąc notatkę.

—Odstrzelił sobie głowę z dubeltówki. Wszyscy najwyraźniej wstrzymali oddech.

—Wpadł w depresję z powodu złego stanu zdrowia? - zapytał Balenger.

—Wśród dokumentów, które przestudiowałem,

znajdował się raport z sekcji zwłok - powiedział Conklin. - Dzięki wyjątkowo zdrowemu trybowi życia i zestawowi ćwiczeń, które miały złagodzić skutki hemofilii, Carlisle był w zaskakująco dobrej kondycji jak na dziewięćdziesięciodwuletniego starca. Nie zostawił listu pożegnalnego. Nikt nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego odebrał sobie życie.

—Jego umysł musiał być tak samo rzeźki jak ciało - wtrącił Rick. - W przeciwnym razie nie udałooby mu się ukryć swoich zamiarów przed służbą.

—W ostatnich latach życia Carlisle nie miał żadnych służących.

—Co takiego? Sam radził sobie w tym wielkim budynku? - Córa zmarszczyła brwi. - Wędrował po korytarzach...

—Ale skoro był sam... - mruknął zbulwersowany Vinnie.

—Chodzi ci o to, jak go znaleziono? - powiedział Conklin. - Najprawdopodobniej po raz pierwszy w życiu opuścił w środku nocy hotel, zszedł na plażę i tam się zastrzelił. Miejscowość była już wówczas tak wyludniona, że ktoś odnalazł go dopiero nazajutrz koło południa.

—Człowiek cierpiący na agorafobię idzie po raz pierwszy w życiu na plażę, żeby się tam zastrzelić. - Balenger potrząsnął zdecydowanie głową. - To nie ma sensu.

—Policja zastanawiała się, czy nie został zamordowany - przyznał profesor. - Ale wcześniej w nocy padał deszcz. Jedyne pozostawione na plaży odciski stóp należały do Carlisle'a.

—Niesamowite - mruknęła Córa.

—Po samobójstwie wszystkie jego osobiste papiery zostały złożone w rodzinnej bibliotece Carlisle'ów, która mieści się w podziemiach domu na Manhattanie, gdzie mieszkała kiedyś jego rodzina. Aż do wyczerpania się funduszy budynek należał do zarządu powierniczego.

—Dziennik znajdował się wśród tych papierów? - zapytał Balenger.

—Tak. Kiedy zdecydowałem, że celem tegorocznej ekspedycji będzie hotel Paragon, zacząłem zbierać o nim informacje i dowiedziałem się o istnieniu biblioteki. Szef zarządu pozwolił mi przejrzeć materiały. Starą się zainteresować ich kupnem różne uniwersytety. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że mam upoważnienie mojej uczelni do wzięcia

udziału w przetargu. Dał mi cały dzień na zapoznanie się z papierami. Wtedy właśnie odkryłem dziennik.

—Nie powtarza pan przypadkiem jakiejś plotki? W apartamencie Danaty naprawdę jest sejf? - zapytał Balenger.

—Mogę tylko powiedzieć, że nie ma żadnych informacji o jego usunięciu.

—Do diabła, to się robi coraz ciekawsze. - Vinnie zatarł ręce. - Oczywiście musimy jeszcze się dowiedzieć, który apartament zajmował Danata.

—Sześćset dziesięć - odparł Conklin. - Według dziennika był stamtąd najlepszy widok w całym hotelu.

—Nie z penthouse'u?

—Z powodu swojej agorafobii Carlisle nie tolerował dużych okien. Otwarty widok na ocean pewnie by go przeraził. Ale mógł oglądać inne rzeczy. Mówiąc wam wcześniej, że Onassis chciał odkupić Paragon, nie wspomniałem, że Carlisle nie mógłby go sprzedać, nawet gdyby chciał. Bez poważnej przebudowy hotelu, prawie zrównania z ziemią, czekałaby go publiczna kompromitacja i zostałby prawdopodobnie aresztowany.

—Aresztowany? - zdziwił się Rick.

—Z powodu swojego wścibstwa. W budynku istnieją ukryte korytarze, które pozwalały mu obserwować gości hotelu bez ich wiedzy.

—Wizjery? Lustra weneckie? - Balenger szybko pisał w notatniku.

—Carlisle był chory nie tylko na hemofilię. Pozostawił po sobie pamiętnik, ponieważ uważał, że jego zapiski mają wartość dokumentalną. Uważał się po trosze za socjologa, po trosze za historyka.

—Kto jeszcze o tym wiedział?

—Nikt - odparł profesor. - Carlisle nie pozostawił spadkobierców. Mężczyzna, który kieruje zarządem, prawie w ogóle nie interesuje się swoim zmarłym klientem. To biurokrata o pozbawionej wyrazu twarzy. Tacy ludzie myślą tylko o emeryturze, na którą przejdą po ukończeniu pięćdziesięciu kilku lat. Robią wszystko mechanicznie. W ich oczach nie ma błysku. Przypomina mi mojego dziekana w

Buffalo. Ukryłem pamiętnik na samym spodzie papierów Carlisle'a. Facet nigdy tego nie zauważy. Ale jeśli te dokumenty odkupi jakiś uniwersytet, wiele osób pozna w końcu tę mroczną tajemnicę. Oczywiście nie będzie to miało większego znaczenia. Po hotelu zostanie wówczas tylko pusta działka. Dlatego jest to najważniejszy budynek, do którego kiedykolwiek weszliśmy. Możliwość zweryfikowania i udokumentowania historii hotelu Paragon pociąga za sobą wszelkiego rodzaju kulturowe implikacje, które aż się proszą, żeby umieścić je w książce.

—Którą, mam nadzieję, pan napisze - powiedział Vinnie.

—To będzie moja ostatnia praca - odparł z zadowoloną miną profesor.

Córa zerknęła na zegarek.

- W takim razie lepiej chodźmy. Noc jest krótka.

Balenger skierował snop lampy na zegarek i ze zdziwieniem stwierdził, że od opuszczenia motelu minęła prawie godzina. Podobnie jak powietrze w tunelach, czas wydawał się sprężony. Córa zerknęła do skrzynki na listy i sięgnęła do jednej z nielicznych przegródek, w których leżały jakieś kartki. Papier był kruchy.

—Hmm, wygląda na to, że karta kredytowa pana Alego Karima nie jest ważna. Chce z nim mówić dyrektor. No cóż, nie musi pan się wstydzić, panie Karim. Mnie też przytrafiło się to kilka razy - powiedziała, po czym włożyła kask i dołączyła do nich po drugiej stronie kontuaru.

—Szkoda, że nie chodzą windy - mruknął Vinnie. - Mamy do pokonania mnóstwo stopni.

Da pan radę, profesorze?

—Nie wiem, czy dotrzymacie mi kroku - odparł buńczucznie Conklin.

Przemierzając razem z nimi hol, Balenger zerkał nieufnie w ciemne zakamarki. Lampa Conklina wyluskała z mroku otwarte drzwi po prawej stronie i dębowy parkiet na podłodze.

—To sala balowa.

—Możesz ofiarować mi ten taniec, Córo? - zapytał Rick.

—Jejku, mój karnecik jest wypełniony. Ale tak naprawdę liczy się, z kim wrócę do domu.

Rick zajrzał do sali balowej, uśmiechnął się i zniknął w środku. Chwilę później usłyszeli graną na nienastrojonym fortepianie *Moon River*.

—Moja ulubiona piosenka - oznajmiła Córa.

—Trochę staroświecka jak na kogoś w twoim wieku, nie sądzisz? - rzekł profesor, drocząc się z nią.

- Rick i jak uwielbiamy oglądać stare filmy, do których napisał piosenki Henry Mancini. Te romantyczne. *Szarada*. *Drogie serce*. *Moon River* jest ze *Śniadania u Tiffany'ego*.

Balenger wyobrażał sobie, jak musi się w tym momencie czuć Vinnie. Melodia była urywana, niektóre klawisze nie wydawały dźwięku. Błaszana muzyka odbijała się echem w rozległym pomieszczeniu. Działo mu to na nerwy. Nie dlatego, żeby Rick walił z całej siły w klawisze. Fałszywa melodia nie była głośniejsza od ich rozmowy. Nikt z zewnątrz nie powinien jej usłyszeć. Mimo to wydawała się czymś niestosownym.

Fortepian umilkł. Rick wyjrzał nieśmiało zza drzwi.

—Przepraszam. Nie mogłem się powstrzymać.

—Jeżeli były tu jeszcze jakieś szczury, z pewnością je przepłoszyłeś - skomentował Vinnie.

Rick roześmiał się i dołączył do grupy.

Po chwili dotarli do wielkich schodów. Okolone wspaniałymi balustradami wznosiły się, a następnie rozwidlały i znikały w mroku po lewej i po prawej stronie. Ale nie tam skierowały się lampy grupy. Zamiast tego patrzyli na odbarwienia na stopniach.

—Ślady po wodzie. Która cieknie chyba przez dziury w dachu. - Buty Vinniego zachrzęściły na szkle, które pokrywał tak gruby szlam, że od okruchów nie odbijało się światło lampy. - I spływa aż tutaj. Zobaczcie, ile naniósł brudu.

—Niech pan uważa pod nogi, kiedy będziemy wchodzić na górę - ostrzegł profesor, zwracając się do Balengera. - Możemy trafić na spróchniałe drewno.

23.00

Doszli do miejsca, w którym schody się rozwidłały. Odbarwienia widać było po prawej i lewej stronie.

- Mnóstwo wody - powiedział Rick. - Musiała spływać latami. Przy silnej burzy zapewne płynęły tędy prawdziwe potoki.

- Ostrożnie - ostrzegł profesor. - Może być ślisko. Wchodzili schodami po lewej stronie, sondując lampami mrok. Na górze zobaczyli rząd eleganckich drzwi z zaśnieżonymi miedzianymi numerkami. Ciemną boazerię na ścianach pokrywał kurz. W regularnych odstępach od galeryjki odchodziły pogrążone w mroku korytarze. Zapach pleśni i starości był obezwładniający. Balenger spojrzał na przegniłe perskie dywany, których misterny wzór wyblakł i pokrył się plamkami pleśni.

Skręcili w lewo i ruszyli wzdłuż galeryjki. Co kilkanaście kroków przy ścianie stał wąski stolik. Na niektórych były wazony z zasuszonymi kwiatami, ich płatki wyglądały, jakby mogły się rozsypać przy najmniejszym poruszeniu. W końcu cała grupa skręciła ponownie w lewo i doszła do kolejnych schodów. Były wykonane z pięknie rzeźbionego drewna, ale Balenger nie potrafił określić jakiego gatunku, tak bardzo zostały zniszczone przez wodę. Spojrzał w górę.

Vinnie zrobił to samo.

—Mój Boże - westchnął. - Schody biegną wokół centralnego trzonu budynku aż do samego szczytu. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że widzę szklany dach. Światło księżyca. Przesuwające się chmury.

—Na szczycie piramidy znajduje się wielki świetlik - potwierdził Conklin. - Szyb przechodzi przez środek apartamentu Carlisle'a. Mógł chodzić z pokoju do pokoju i przyglądać się gościom na schodach oraz w tej części holu, którą widać z góry.

—Czy goście nie uważali takiego zachowania za dziwne? - zapytała Córa.

—Zasłaniały go ściany apartamentu. Ludzie nie widzieli, że ich obserwuje. Używał specjalnych wizjerów.

—Szyby w szklanym dachu muszą być powybijane. To tamtędy dostały się do środka ptaki - powiedział Balenger.

Nagle zaskrzypiały pod nim schody. Serce podeszło mu do gardła i złapał za poręcz. Wszyscy się zatrzymali.

—Nie czuję, żeby schody się poruszały - próbował dodać mu pewności Rick. - To normalne osiadanie.

—Jasne. - Balenger nie był przekonany. Sprawdził następny stopień.

Córa odpięła latarkę od paska.

- Potrzebuję więcej światła - oznajmiła.

Inni zrobili to samo. Snopy światła ożywiły mrok. Można było pomyśleć, że goście właśnie weszli do swoich pokoi i zamykają za sobą drzwi.

W miarę jak Balenger wchodził wyżej, zacieki stawały się coraz wyraźniejsze.

- Jak brzmiało to zdanie, które William Shatner wygłaszał na początku każdego odcinka *Star Trekal* „Kosmos – ostatnia granica”? - zapytał Vinnie. - Poczciwy stary kapitan Kirk. Jeśli o mnie chodzi, tu jest ostatnia granica. Kiedy biorę udział w takiej wyprawie, czasami odnoszę wrażenie, jakbym był na Marsie albo w podobnym miejscu i odkrywał rzeczy, których nigdy nie spodziewałem się zobaczyć.

—Takie rzeczy jak ta? - Córa skierowała latarkę na stopnie przed nimi. - Co to jest? Kolejna pleśń?

—Niemożliwe. To jakaś roślina - powiedział Rick. - Wyobrażacie sobie? W ciągu dnia przez szklany dach musi wpadać dość światła, żeby urosła. Cholerstwo zapuszcza wszędzie korzenie. - Rick spojrzął na Balengera. - W przeznaczonym do wyburzenia szpitalu znaleźliśmy kiedyś mlecze wyrastające ze starego dywanu przy wybitym oknie.

Drewno znowu zaskrzypiało. Balenger nadal trzymał się poręczy.

—Nie czuję, żeby coś się poruszało - zapewnił go Rick. - Nic nam nie grozi.

—Jasne. Oczywiście.

Grupa dotarła na czwarte piętro i szła dalej.

Ale profesor zatrzymał się przy wylocie pogrążonego w mroku korytarza. Dotknął dłonią ściany, a potem oparł o nią czoło, łapiąc z trudem oddech.

- Zawsze sprawdzaj ścianę, zanim się o nią oprzesz - powiedziała Córa, zwracając się do Balengera. - Podczas jednej z naszych ekspedycji w Buffalo Rick oparł się o ścianę i przeszedł przez nią. A potem załamał się fragment sufitu. Gdyby Rick nie miał na głowie kasku...

- Profesorze? - zapytał zaniepokojony Vinnie. –
Dobrze się pan czuje?

Otyły mężczyzna ciężko oddychał. Szklane okulary zaszyły mu mgłą, ale machnął lekceważąco ręką.

- Tyle tych schodów. Założę się, że niektórym z was też dały się we znaki,

Balenger podniósł rękę.

- Przyznaję się bez bicia.

Conklin wyjął butelkę z wodą z bocznej kieszeni plecaka, odkręcił nakrętkę i wypił.

—Ja też się napiję - rzekł Balenger, wyjmując butelkę ze swojego plecaka. - Prawdę mówiąc, żałuję, że nie mam w tej butelce odrobiny szkockiej.

—Na powszechne żądanie nie biorę jej już do ust - oświadczył Conklin.

Córa wyciągnęła torebkę muesli.

- Ktoś ma ochotę coś przekąsić?

Stojący w mroku Rick i Vinnie wzięli po garści. Balenger usłyszał, jak muesli chrupią im w zębach. Profesor wypił jeszcze trochę wody, odczekał chwilę i wsadził butelkę z powrotem do plecaka.

- W porządku, jestem gotów.

—Na pewno?

—Oczywiście.

—Niech pan jeszcze chwilę wypocznie - powiedział Vinnie. - Ciekawe, jak wyglądają pokoje - mruknął i nacisnął najbliższą kławkę. Ku jego zadowoleniu drzwi były otwarte. - Tu też są metalowe okiennice - zawołał, kiedy światło jego lampy rozjaśniło mrok.

Balenger ostrożnie podszedł bliżej. Owionęło go stęchłe, przesycone gorzkim zapachem powietrze. Apartament miał standardowy rozkład: szafa po prawej stronie, łazienka po lewej. Krótki korytarzyk prowadził do sypialni.

Córa zerknęła do łazienki.

—Marmurowy blat - oznajmiła. - Trudno się zorientować, tyle tu kurzu, ale armatura wygląda na...

—Pozłacaną - dokończył za nią Conklin.

—No, no...

W sypialni były dwa małe łóżka, każde z własnym baldachimem oraz zakurzona kwiecista narzutą. Poza tym wiktoriańska sofa, stolik, komoda i kontrastujący z nimi telewizor. Jeśli pominąć pajęczyny, brud i odłóżką od ścian tapetę, pokój wyglądał dokładnie tak jak w 1971 roku albo wcześniej.

Vinnie podszedł do telewizora.

—Nie ma gałek regulujących nasycenie koloru. To stary, czarno-biały odbiornik. Ekran ma zaokrąglone rogi. I popatrzcie na ten telefon. Ma staroświecką tarczę. Widziałem je na filmach, ale chociaż spenetrowaliśmy już tyle starych budynków, nigdy jeszcze nie trafiłem na aparat z tarczą. Wyobraźcie sobie, ile musiało trwać wykręcenie numeru.

—Ta metalowa okiennica... - mruknął Rick. -

Co ona zakrywa? Jesteśmy w samym sercu budynku. Między tym pokojem a zewnętrzną ścianą musi być kilka innych pokoi. Umieszczenie tu okna nie miałoby sensu. Nie można przez nie nic zobaczyć.

—Tak się składa - wtrącił profesor - że Carlisle umieścił okno w każdym pokoju. Każdy sektor hotelu ma własny szyb

wentylacyjny. Kiedyś były tu rabatki z kwiatami, krzewy i drzewa, które mogli oglądać goście. Niektóre przylegające do szybu pokoje miały nawet własne balkony. Szyby wentylacyjne kończą się na piątym piętrze. Na szóstym i siódmym piętrze nie są potrzebne, ponieważ rozciąga się stamtąd bezpośredni widok na zewnątrz.

—Rozciągał się, dopóki Carlisle nie zainstalował metalowych okiennic - poprawiła go Córa. - Czy wpadł w taką paranoję, że wydawało mu się, iż demonstranci będą się wspinać po ścianach hotelu?

—Wandalizm. Pożary. Wybebeszone budynki. Dla niego to musiało wyglądać jak koniec świata. - Vinnie spojrzał na profesora. - Czy napisał o tym coś w swoim pamiętniku?

—Nie. Pamiętnik kończy się w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym. W tym samym roku zamknął hotel dla gości.

—Trzy lata przed śmiercią. - Balenger rozejrzał się dookoła. - Nie wiemy, dlaczego przestał go pisać ani dlaczego zamknął hotel?

—Nie.

—Może życie przestało być ciekawe - powiedziała Córa.

—Albo stało się zbyt ciekawe - odparł Conklin. - Od pierwszej wojny światowej aż do kryzysu kubańskiego, od wielkiego kryzysu do groźby nuklearnego zniszczenia. Przez cały czas widział, jak dwudziesty wiek schodzi na psy.

—Rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy. Co się wtedy wydarzyło? - zadumał się Balenger.

—Zabójstwa Martina Luthera Kinga i Roberta Kennedy'ego w odstępie dwóch miesięcy.

Na chwilę wszyscy umilkli.

—Co tam leży na łóżku? - zapytał Balenger.

—Gdzie? Nic nie widzę.

—Tam.

Balenger skierował światło lampy na pierwsze łóżko, na którym leżał jakiś płaski przedmiot.

Walizka.

—Dlaczego ktoś wyjechał z hotelu bez walizki?

- zdziwiła się Córa.

—Może nie mógł zapłacić rachunku i wyniósł się cichaczem. Zobaczmy, co w niej jest. -
Vinnie odłożył latarkę i wcisnął zamki po obu stronach uchwytu. - Zamknięta.

Balenger wyjął nóż z kieszeni, otworzył go i podważył jeden z zamków.

—Nie - zaprotestował Rick. - Patrzymy, ale niczego nie naruszamy.

—Przecież naruszyliśmy już wiele rzeczy.

—„Naruszanie” oznacza niszczenie, ingerencję w istniejący stan, jego zmianę. To, co robimy, można porównać do wykopalisk archeologicznych. Nie zmieniamy przeszłości.

—W takim razie nigdy nie dowiecie się, co jest w tej walizce - odparł Balenger.

—Jest wiele gorszych rzeczy, których nigdy się nie dowiem.

—Czy będziesz miał coś przeciwko, jeśli otworzę ją, nie wyłamując zamków?

- W żadnym wypadku. Ale nie sądzę, żeby ci się to udało.

Balenger wyciągnął długopis, odkręcił jego górną część i wyjął wkład razem ze sprężynką. Nucąc pod nosem, żeby ukryć zdenerwowanie, wsadził koniec sprężynki w otwór zamka. Przycisnął, przekręcił i uśmiechnął się, słysząc trzask zasuwki. To samo zrobił

z drugim zamkiem, chociaż trwało to nieco dłużej.

- Przydatna umiejętność - zauważył Rick.

—Pisałem kiedyś reportaż o mistrzu ślusarskim, którego policja wzywała za każdym razem, kiedy trzeba było coś otworzyć i nikt inny nie dawał sobie z tym rady. Pokazał mi parę łatwych sztuczek.

—Zadzwoń do ciebie, kiedy następnym razem zatrzasnę kluczyki w samochodzie - powiedział Vinnie.

—Więc komu przypadnie zaszczyt? - zapytał Balenger. - Córa?

Dziewczyna pomasowała ramiona.

—Pasuję.

—Vinnie? Może ty? Ty pierwszy próbowałeś ją otworzyć.

—Dziękuję - odparł ze skrepowaniem Vinnie. - Ty otworzyłeś zamek i ty powinieneś to zrobić.

—W porządku, ale pamiętajcie, że jeśli dokonam kolosalnego odkrycia, zostanie nazwane moim imieniem - zażartował Balenger, unosząc wieko.

Z wnętrza walizki wydobył się gorzki zapach. Pięć lamp i pięć latarek oświetliło jej zawartość.

Nikt się nie poruszył.

- Zaraz się porzygam - powiedziała Córa. - Co to takiego?

W walizce było futro. Zobaczyli zmumifikowany tors i głowę. Łapy. Ręce.

—Mój Boże, czy to człowiek? - jęknął Vinnie. - Dziecko opatulone w...

—To małpa - stwierdził Balenger. - Moim zdaniem to małpa.

—No tak... Witajcie w *Królestwie dzikich zwierząt*.

—Po co ktoś... Myślicie, że ktoś wsadził ją tutaj, zamknął walizkę i udusił? - zapytał Rick.

—Może małpa była już martwa - zasugerował profesor.

—I ktoś nosił ją w walizce na pamiątkę dawnych czasów? - Córa uniosła rękę. - To najbardziej chora rzecz, jaką kiedykolwiek...

—Może to było czyjeś domowe zwierzę? Ktoś próbował przesmuglować ją do hotelu, ale małpa udusiła się, nim właściciel zdążył ją wypuścić.

—To jest chore - powtórzyła Córa. - Chore, chore, chore. Skoro małpa była czymś ulubionym zwierzątkiem, dlaczego właściciel nie zabrał jej stąd i nie pochował?

—Może był zbyt przytłoczony stratą - powiedział Balenger.

—Więc dlaczego zamknął walizkę przed wyjściem?

—Obawiam się, że nie potrafię tego wytłumaczyć - oświadczył Balenger. - Z mojego doświadczenia i reportaży, które napisałem, wynika, że ludzie częściej zachowują się w sposób szalony niż normalny.

—To jest kompletny obłąd, zgadzam się. Balenger sięgnął do walizki.

—Chcesz tego dotknąć? - zapytał Vinnie.

—Mam rękawiczki.

Balenger trącił martwą małpę, która sprawiała wrażenie zaskakująco lekkiej. Kiedy ją poruszył, futro zaszurało o dno walizki. Pod spodem znalazł czerwoną piłeczkę ze śladami czerwonej farby. Zauważywszy przegródkę przy wieku walizki, zajrzał do środka.

- Jest tu koperta.

Papier pożółkł ze starości. W środku koperty znajdowała się czarno-biała fotografia, przedstawiająca mężczyznę i kobietę około czterdziestki. Opierali się o balustradę promenady, za nimi rozciągał się ocean. Zdjęcie zrobiono chyba w Asbury Park. Balengerowi wydawało się, że poznaje stojące z boku kasyno. Mężczyzna miał na sobie białą koszulę z krótkimi rękawami. Mrużył oczy przed słońcem i był czymś najwyraźniej bardzo przygnębiony. Kobieta była ubrana w sukienkę z falbankami i uśmiechała się jakby z przymusem. Każde z nich miało na palcu ślubną obrączkę. Między nimi stała małpa. Trzymała w łapie tę samą piłkę, którą znaleźli w walizce, uśmiechała się i wyciągała drugą łapę w stronę aparatu, jakby fotograf trzymał w ręku banana.

Balenger odwrócił fotografię.

- Jest tutaj data z zakładu fotograficznego. Tysiąc dziewięć set sześćdziesiąty piąty rok. Mam tu coś jeszcze. – Wyciągnął z koperty pożółkły wycinek gazety. - Nekrolog. Dwudziesty drugi sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku.

Niejaki Harold Bauman zmarł w wieku czterdziestu jeden lat na udar mózgu. Jego była żona Edna przeżyła go.

- Była żona? - zdziwił się Rick.

Balenger oświetlił latarką przywieszkę przy walizce.

—Edna Bauman. Trenton, New Jersey. - Ponownie przyjrzał się fotografii. - W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku mieli ślubne obrączki. Rok później było już po rozwodzie, a jej były mąż... jak on się nazywał... Harold... już nie żył.

—Obraz skrajnej rozpacz - powiedział Vinnie, robiąc zdjęcie i błyskając fleszem.

—Zamknijcie tę walizkę - zażądała Córa. - Zaryglujcie zamki. Połóżcie ją z powrotem na poduszkach. Nie powinniśmy jej otwierać. Wyjdźmy z tego pokoju i zamknijmy za sobą te cholerne drzwi.

—Przypomina mi się to, co powiedziałem w motelu - mruknął Vinnie. - Niektóre budynki przywołują przeszłość tak intensywnie, jakby były akumulatorami. Jakby zmagazynowały energię wszystkiego, co się w nich wydarzyło. Czasami ta energia z nich wycieka, podobnie jak emocje, których źródłem stała się ta walizka.

—Rick? - odezwała się nagle Córa, nadal masując ramiona.

—Tak?

—Zrób mi uprzejmość. Idź do łazienki.

—Do łazienki? Po co, do diabła?

—Idź tam i zajrzyj do wanny. Upewnij się, czy nie ma tam kolejnego trupa, kogoś, kto podciął sobie żyły, łyknął tabletki albo...

Rick przyjrzał się jej uważnie i pogładził po dłoni.

- Jasne. Jak sobie życzysz.

Balenger patrzył, jak Rick oświetla lampą korytarzyk i wchodzi do łazienki. Przez moment nic nie zakłócało milczenia, a potem zachrobotwały haczyki mocujące zasłonę przy prysznicu.

- Rick? - zawołała Córa.

Cisza trwała jeszcze chwilę.

—Nic - odpowiedział w końcu Rick. - Łazienka jest pusta.

—Dzięki Bogu. Przepraszam wszystkich - powiedziała Córa. - Wstyd mi, że dałam się ponieść emocjom. Kiedy byłam mała, miałam kotkę, Sandy, która zaginęła przed wyjazdem mojej rodziny z Omaha do Buffalo. Całymi dniami drzemała na moim łóżku. W dniu wyprowadzki wszędzie jej szukałam. Po kilku godzinach tato powiedział, że musimy już wsiadać do samochodu. Czekają nas dwa dni jazdy i twierdził, że nie możemy tracić więcej czasu. Miał nową pracę w Buffalo i nie mógł się spóźnić. Poprosił naszych sąsiadów, żeby mieli oko na Sandy i dali nam znać, jeśli ją znajdą. Obiecał, że pokryje koszty jej transportu. Dwa tygodnie później, gdy rozpakowywałam zabawki, odnalazłam Sandy w pudełku, do którego wpełzła. Była martwa. Nie uwierzylibyście, jak wysuszone było jej ciało. Uduśliła się w upale. Ojciec powiedział, że temperatura w furgonetce musiała sięgać pięćdziesięciu stopni. Miesiąc później rodzice powiedzieli mi, że biorą rozwód. - Córa urwała. - Kiedy zobaczyłam tę martwą małą w walizce... Nie chcę, żebyście pomyśleli... Obiecuję, że nie stracę już nad sobą panowania.

—Nie przejmuj się - powiedział Vinnie. - Mnie też poniosła wyobraźnia. Żałuję, że zaciągnąłem was do tego pokoju.

Córa uśmiechnęła się.

- Dżentelmen jak zawsze.

Kiedy wszyscy wyszli z pokoju, Vinnie zamknął za nimi drzwi. Balenger odszedł trochę dalej i skierował światło lampy na stojących obok siebie Vinniego i Ricka. Vinnie był chudy, z lekko zaokrąglonymi ramionami i sympatycznymi, lecz miękkimi rysami twarzy, Rick atletycznej budowy i zdecydowanie przystojny. Porównując ich, nietrudno było zgadnąć, dlaczego Córa wybrała tego drugiego, pomyślał Balenger. Łatwo było również dostrzec, że Vinniemu nadal na niej zależało. To była niewątpliwie jedna z przyczyn, dla których brał z nimi udział w ekspedycjach.

Kiedy Vinnie i profesor popatrzyli na Córę, Rick pogładził ją po ramieniu. Najwidoczniej przejął się tym, co wydarzyło się w pokoju. W ostrym świetle jego twarz miała surowy wyraz, oczy zerknęły w stronę drzwi.

—Fotografię zrobiono na promenadzie - oświadczył zdławionym głosem, starając się jak najprecyzyjniej wyrazić to, co go zaniepokoiło.
- Zastanawiam się... skoro kobieta przybyła tutaj, żeby przywołać wspomnienia lepszych czasów, powinna to zrobić, kiedy ból był najsilniejszy, zaraz po śmierci męża, a nie kilka lat później, kiedy nie była już w szoku.

—Rozsądne przypuszczenie - oświadczył profesor.

—Więc powiedzmy, że było to w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym, najpóźniej w siódmym.

—Tak, to całkiem możliwe.

—Carlisle zmarł w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym. Walizka leżała na tym łóżku co najmniej cztery lata. Powiedział pan, profesorze, że Carlisle miał ukryte korytarze i wizjery, przez które widział, co goście robią w zaciszu swoich pokojów. Musiał wiedzieć o tej walizce. Dlaczego, do diabła, nic nie zrobił?

—Nie kazał jej usunąć? Nie wiem. Może podobała mu się koncepcja stopniowego zamykania hotelu, pozostawiania każdego pokoju w stanie, w jakim był, gdy wymeldował się z niego ostatni gość. Może chciał, żeby każdy z nich zostawił jakieś memento.

—Co za cholerny zbok - jęknął Vinnie.

—Owszem, przeszliśmy daleką drogę od chwili, gdy wydawał się nam wizjonerem i geniuszem.

- Na twarzy Ricka nadal malował się surowy wyraz. - W ilu jeszcze pokojach kryją się mroczne tajemnice?

Vinnie podszedł do następnych drzwi. Nacisnął klamkę, otworzył je i zniknął w mroku. Drzwi uderzyły z głuchym łoskotem o wewnętrzną ścianę.

Pozostali ruszyli w ślad za nim. Córa zrobiła to z widoczną niechęcią. Balenger usłyszał odgłos otwieranych i zamykanych szuflad.

- Nic - oświadczył Vinnie, omiatając pokój światłem lampy. - Łóżko jest zasłane. Wszystko posprzątane. Pomijając kurz, pokój jest gotów na przyjęcie następnego gościa. Puste szuflady, nie ma w nich nawet tradycyjnej Biblii. Hotelowe przybory

toaletowe na blacie łazienki, ale poza tym nic. I puste kosze na śmieci. Ręczniki na wieszaku przy prysznicu. Wszystko jest tak, jak powinno, z wyjątkiem tego... - Vinnie otworzył szerzej drzwi szafy i pokazał im wiszący tam łaszcz przeciw deszczowy Burberry z szerokimi klapami i dyndającym z tyłu brązowym paskiem. - Takie rzeczy były wtedy w jeszcze większym stopniu aniżeli dzisiaj symbolem wysokiego statusu. W *Sprawie Kramerów* Dustin Hoffman mówi, że bardzo by chciał mieć taki płaszcz, ale go nie stać. W porządku, ten film powstał wiele lat po zamknięciu hotelu, ale to nie zmienia faktu, że płaszcze Burberry były zawsze towarem luksusowym i cholernie drogim. Więc dlaczego ktoś zostawił go w pokoju?

—Przez zapomnienie - odparł profesor. - W podróży wszyscy o czymś zapominamy. To normalne.

—Ale to nie są skarpetki albo podkoszulek. To bardzo elegancki płaszcz. Dlaczego właściciel nie zadzwonił do hotelu i nie poprosił kogoś z personelu, żeby go poszukał?

—Masz rację - rzekł z zafrasowaną miną Rick. - Ale nie wiem, do czego zmierzasz.

—Może Carlisle kazał odpowiedzieć właścicielowi, że płaszcz nie ma. Może przekonał właściciela, że zgubił go gdzie indziej - zasugerował Vinnie, po czym zrobił zdjęcie płaszcza.

Kiedy wyszli z pokoju na galeryjkę, Rick nacisnął klamkę następnych drzwi. One także nie były zamknięte.

- Na miłość boską... - jęknął, zaglądając do środka.

Pozostali weszli w ślad za nim. W pokoju panował bałagan: w łazience leżała sterta brudnych

ręczników, śmieci wysypywały się z kosza, łóżko było nieposłane, pościel wymięta, narzuta ściągnięta na podłogę, z popielniczki wysypywały się pety, na nocnej szafce stała pusta butelka bourbona i szklanka.

- Pokojówka miała chyba wolne - mruknął Balenger.

Profesor przeczytał nalepkę na butelce.

- Black Diamond Bourbon. Nigdy nie słyszałem o takiej marce. Musieli przestać ją produkować bardzo dawno temu.

Vinnie wziął do ręki niedopałek z popielniczki.

—Camel. Bez filtra. Pamiętajcie, jak ludzie kiedyś bez przerwy palili, jak strasznie śmierdziały hotelowe pokoje?

—No cóż, ten pokój też nie pachnie różami - stwierdził Balenger. - Jaką ma pan teorię, profesorze?

—Kolejny pokój z własną historią. Kiedy w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku Carlisle przestał przyjmować

gości, mógł wysprzątać i zdezynfekować hotel. Wygląda jednak na to, że przestawał wynajmować pokoje jeden po drugim i trzymał je w stanie zawieszenia, żeby w każdym zachowały się jakieś ślady życia.

—Albo śmierci - dodała Córa, zerkając w stronę pokoju, w którym znaleźli walizkę.

—Chce pan zasugerować, profesorze, że po zamknięciu hotelu Carlisle chodził od pokoju do pokoju, oglądając sceny, które zachował w nienaruszonym stanie, i zanurzając się w przeszłości? - zapytał Balenger.

Conklin rozłożył ręce.

—Może dla niego to nie była wcale przeszłość. Może załamał się nerwowo pod wpływem zamieszek i podeszłego wieku. Może wyobrażał sobie, że hotel jest nadal w stanie rozkwitu.

—Jezu... - mruknął Vinnie, po czym zrobił fotografię i wyszedł na galerijkę. - Zobaczmy, jakie jeszcze przygotował nam niespodzianki.

Oświetlając przed sobą drogę lampą, ruszył dalej, nacisnął następną klamkę i pchnął drzwi, święcie przekonany, że otworzą się tak jak poprzednie.

18

Ale drzwi nie otworzyły się i to go zaskoczyło. Wisiał na nich znak NIE PRZESZKADZAĆ. Vinnie jeszcze raz nacisnął klamkę i pchnął je ramieniem.

- Inne nie były zamknięte - mruknął. - Dlaczego te są?

Pchnął je mocniej, aż zadrżały.

—Znasz zasady - powstrzymał go Conklin. - Niczego nie naruszamy.

—W takim razie jak określić to, co zrobiliśmy z

drzwiami w tunelu? Wyłamując je? To nie było naruszenie? - zapytał Vinnie, po czym ponownie rąbnął barkiem w drzwi.

—Zgoda - odparł Conklin - ale z drugiej strony można dowodzić, że drzwi w tunelu pochodzą z innego okresu niż ten budynek. To, co robisz, jest niewłaściwe.

—Jakie to ma znaczenie, jeśli je wyważę? Za dwa tygodnie i tak zrównają z ziemią to miejsce!

—Nie mogę pozwolić, żebyśmy zachowywali się jak wandalę.

—No dobrze. W porządku. - Vinnie spojrzał na Balengera. - Znasz się na zamkach. Potrafisz go otworzyć?

Balenger przyjrzał się staroświeckiemu zamkowi z dużą dziurką od klucza.

- Niech pan się nie przejmuje. Niczego nie zniszczę -

zapewnił profesora, wyjmując nóż z kieszeni, po czym otworzył ostrze i spróbował je wsunąć w szparę między drzwiami i framugą i podważyć zasuwkę. - Jest tutaj krawędź, której nie mogę ominąć.

—Nie potrafisz otworzyć zamka?

—Mógłbym chyba wziąć wieszak z jednego z pokoi, zrobić z niego haczyk i spróbować...

—Nie ma takiej potrzeby - oznajmiła nagle stojąca za nimi Córa.

Odwrócili się, skupiając na niej światło lamp.

—Kiedy byłam na dole za biurkiem recepcji, zauważyłam w przegródkach klucze.

—Klucze? - zachichotał Rick. - To rzeczywiście oryginalny pomysł. Jaki jest numer pokoju?

—Czteryście dwadzieścia osiem.

—Zejdę na dół i przyniosę klucz.

—Czy na pewno tak nam na tym zależy? - dopytywał się Conklin. - Naszym celem jest penthouse i sejf w apartamencie Danaty.

—Jeśli za otwartymi drzwiami są dziwaczne rzeczy, intryguje mnie, co jest za zamkniętymi - oświadczył Balenger.

—Naprawdę tego chcemy? - zapytała Córa.

—Jeśli nie chcemy - odparł Rick - to po co tutaj przyszliśmy?

Profesor westchnął.

—Znakomicie. Skoro taka jest wasza decyzja... Ale nie możesz iść sam, Rick. To nasza kolejna żelazna zasada. Nie eksplorujemy niczego w pojedynkę.

—W takim razie zejdźmy wszyscy na dół - zaproponował Balenger.

Starszy pan pokręcił głową.

—Chodzenie po schodach za bardzo mnie

męczy. Obawiam się, że zejście na dół i powrót
zajęłyby mi całe wieki.

—Poza tym stanowczo nie chcemy, żeby ktoś
dostał ataku serca - dodał Yinnie.

—Poważnie wątpię, żeby istniało takie ryzyko, ale...

—Ja pójdę z Rickiem - oznajmiła Córa, zerkając ponownie w stronę pokoju, w którym znaleźli walizkę.

—Włączcie krótkofalówki - polecił Conklin i odpiął swoją od paska. - Nastawcie jedną na nadawanie, drugą na odbiór. Dzięki temu będę słyszał, jak schodzicie i wracacie. I będę mógł się z wami porozumiewać, nie naciskając bez przerwy przycisków i powtarzając „odbior”.

—Świetnie.

Rick i Córa odpięli swoje krótkofalówki od pasków.

—Ja będę nadawał - oświadczył Rick.

—Ja będę odbierała - zapowiedziała Córa.

—My zrobimy tak samo - oznajmił profesor. - Vinnie, nastaw swoją krótkofalówkę na odbiór. Ja nastawię swoją na nadawanie.

Rick i Córa podeszli do schodów i ruszyli na dół. Snopy światła z ich lamp i latarek zataczały kręgi w ciemności.

Balenger słyszał ich kroki, kiedy schodzili. Zniekształcona wersja tych samych dźwięków dobiegała z krótkofalówki Vinniego.

- Jesteśmy na trzecim piętrze - zabrzmiał z dołu głos Ricka i ułamek sekundy później usłyszeli ten sam przerywany trzaskami komunikat z krótkofalówki.

Dobiegające z dołu kroki stopniowo cichły, ale ich echo w krótkofalówce było przez cały czas tak samo głośne.

Balenger wychylił się przez balustradę. Światło latarek na dole było bardzo słabe.

- Drugie piętro - rzekł Rick.

Balenger ledwie ich widział i słyszał.

- Pierwsze piętro - zatrzeszczał głos Ricka. –
Schodzimy do holu.

Lampa na kasku Vinniego zatoczyła krąg.
Balenger spojrział w tamtą stronę. Vinnie penetrował
najbliższe otoczenie.

—Hej, w tym korytarzu jest winda - powiedział.

—Przecinamy hol - zatrzeszczał głos Ricka. -

Skoro już

tu jestem, może powinienem zajrzeć do sali balowej i zagrać jeszcze raz *Moon River*.

—Proszę, nie - odezwała się błagalnym głosem Córa.

—Poza tym to zdecydowanie zbyt nowoczesna melodia jak na ten hotel - dodał profesor do swojej krótkofalówki. Carlisle nigdy nie pozwoliłby jej grać. Usłyszelibyśmy raczej *On the Banks of the Wabash* albo *My Gal Sal*.

—Wiecie, że obie te piosenki napisał brat Theodore'a Dreisera? - zapytał Vinnie.

—Zbliżamy się do recepcji - zakomunikował Rick.

—Na litość boską! - krzyknęła Córa.

—Co się stało? - zawołał do krótkofalówki Conklin.

—Kolejny szczur. Mam już dosyć szczurów.

Balenger usłyszał dobiegający z krótkofalówki Vinniego oddech.

—Jesteśmy przy przegródkach na listy. Są w nich klucze przyczepione do metalowych kółek z wygrawerowanym napisem Hotel Paragon. Prawie w każdej przegródce jest klucz. Z wyjątkiem numeru czterysta dwadzieścia osiem.

—Co takiego? - zdumiał się Vinnie.

—Nie ma też klucza do pokoju sześćset dziesięć - dodał Rick.

—To apartament Danaty - wyjaśnił Conklin.

—A także do numerów trzysta dwadzieścia osiem, pięćset dwadzieścia osiem i sześćset dwadzieścia osiem.

—Czyli do pokoi pod numerem czterysta dwadzieścia osiem i nad nim - stwierdził profesor.

—Zaczekajcie - zatrzeszczał głos Ricka.

—O co chodzi?

—Coś usłyszałem.

Balenger, Vinnie i profesor nadstawili uszu.

- Rick? - odezwał się Conklin.

Coś zachrobotło.

- Kolejny cholerny szczur - odezwał się głos

Córy. - Zwołały chyba tutaj konferencję.

—To jakieś brednie - mruknął Vinnie. Balenger podejrzewał, że żałuje, iż nie poszedł z Córą.

—Przeszukujemy teraz pokój za recepcją - powiedział Rick.

Vinnie skierował światło lampy na swój zegarek.

—Zbliża się północ. W tym tempie na pewno nie skończymy przed świtem.

—Nie ma tu żadnych kluczy - oznajmił Rick przez krótkofalówkę. - Ale jest kilka szafek z aktami.

Balenger usłyszał metaliczny odgłos, który mogła wydać wysuwana z szafki szuflada.

—W większości protokoły techniczne - powiedział Rick. - Zlecenia dla personelu. Rachunki oraz pokwitowania.

—W tej szufladzie jestteczka rezerwacji - dodała Córa. - Pusta. A także teczka, gdzie odnotowywano, które pokoje są zajęte. Też pusta. Ale wiele innych teczek jest pełnych. Teczka gości, którzy przyjeżdżali tutaj co rok, jakie mieli specjalne wymagania, jakie lubili konkretne pokoje, kwiaty, potrawy. Ostatni goście należący do tej kategorii przestali przyjeżdżać w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku.

—Nudne szczegóły hotelarskiego interesu - ocenił Rick. - Cała ta makulatura, którą produkowano przed wynalezieniem komputerów.

—Dzisiaj marnujemy chyba tyle samo papieru, bez przerwy wszystko drukując.

—Mogą tam jeszcze siedzieć całe wieki - mruknął Vinnie. - Skoro i tak tu stoimy, może powinniśmy sprawdzić, co jest za następnymi

drzwiami?

- Lepiej zaczekajmy do ich powrotu - odparł profesor. Ale Vinnie naciskał już kławkę.

- Ten pokój jest otwarty - zakomunikował. Balenger zobaczył, że wbija wzrok w ciemność. - Wygląda na to, że wysprzątała go pokojówka. Ale strasznie cuchnie wilgocią - dodał.

Dał krok do środka i pochłonęła go ciemność.

Rozległ się odgłos przypominający rozdzieranie tektury. Spadając, Vinnie krzyknął, podniósł ręce i wypuścił latarkę. Coś rozbiło się piętro niżej.

Balenger skoczył w stronę otwartych drzwi i padł na brzuch tuż przy wejściu do ciemnego pokoju. Kask spadł mu z głowy i potoczył się po podłodze. Wirujące światło zamontowanej na nim lampy mogło przyprawić o mdłości.

Udało mu się złapać plecak Vinniego, który uwiązał w poszarpanej dziurze w podłodze. Vinnie jęknął.

Popękane deski runęły w dół i chłopak osunął się niżej. Balenger zacisnął palce na plecaku, ale ciężar Vinniego ściągał go w dół.

- Skrzyżuj ręce na piersi! - zawołał. - Mocno! Plecak! Nie pozwól, żeby paski ześlizgnęły ci się z ramion!

Spanikowany Vinnie zacisnął ręce na piersi. Balenger czuł, jak chłopak drży, z całej siły obejmując się ramionami.

Coś ciężkiego runęło piętro niżej. Lampa Vinniego rozjaśniła panujący w pokoju mrok. W miejscu spróchniałej podłogi ział wielki krater. Balenger zobaczył, że tym, co spadło na dół, była komoda. Po chwili załamała się również podłoga tamtego piętra i wszystkie meble poleciały niżej.

Deski pod piersią Balengera zaczęły się wyginać. Jego ciało przesunęło się do przodu.

- Bob! Chodź tutaj! Złap mnie za nogi! Ześlizguję się!

Usłyszał ciężkie kroki podbiegającego profesora i poczuł, jak jego grube palce łapią go za kostki.

Vinnie przekręcił się i zaczął wierzgać nogami, próbując rozpaczliwie znaleźć jakieś oparcie dla stóp. Kolejna deska oderwała się z podobnym jak wcześniej odgłosem rozdieranej mokrej tektury. Vinnie zsunął się niżej, pociągając Balengera w stronę poszerzającej się ciemnej dziury. W powietrzu rozszedł się wilgotny zapach pleśni.

—Przestań wierzgać! - wrzasnął Balenger. - Na litość boską, uspokój się!

—Zaraz spadnę! Zaraz spadnę!

Lampa Vinniego oświetliła teraz przesuwające się łóżko z baldachimem. Chwilę później podłoga ugięła się i łóżko runęło w ciemność.

—Bob, trzymaj mnie silniej za kostki! Czuję, że mnie puszczasz!

—Staram się! Nic nie mogę na to poradzić!

—Połóż się na moich nogach!

—Co?

—Na moich nogach! Połóż się na nich, do cholery! Wtedy nie będę się zsuwał!

Balenger poczuł, jak tors profesora przygniata mu nogi. Skrzywił się z bólu, ale przestał przynajmniej zsuwać się do dziury. Lampa Conklina oświetliła krater. Widać w nim było głowę Vinniego. Głowa Balengera była przy samej dziurze.

—Słuchaj mnie, Yinnie! Wyciągnę cię stąd! - zawołał.

—Boże, mam nadzieję.

—Przestań się ruszać! Pogarszasz tylko swoją sytuację!

—Przestań się ruszać... - powtórzył za nim Vinnie, starając się uspokoić.

—Policz od stu do tyłu.

—Po co miałbym...

—Po prostu to zrób! Skoncentruj się na liczbach. Sto. Dziewięćdziesiąt dziewięć. Dziewięćdziesiąt osiem. Dziewięćdziesiąt siedem.

—Dziewięćdziesiąt sześć. Dziewięćdziesiąt pięć. Dziewięćdziesiąt cztery.

Oddychając chrapliwie, Vinnie powoli znieruchomiał.

- Dobrze. - Balenger czuł, jak rwą go ramiona. – Teraz cię przekręcę, żebyś był do mnie odwrócony twarzą.

Przesunął obie ręce w lewo i Vinnie obrócił się do niego bokiem. Balenger utrzymywał teraz w lewej ręce prawie cały jego ciężar. Musiał zsunąć się dalej w stronę dziury, żeby mieć większe pole manewru dla prawej ręki. Mimo panującego w hotelu chłodu pot spływał mu po twarzy.

- Dalej nie mogę cię przekręcić!

Balenger zazgrzytał zębami z wysiłku. Jego głos odbijał się echem w otworze.

—Nie puszczaj mnie - jęknął Vinnie.

—Obiecuję. - Balenger wiedział, że nie zdoła długo utrzymać plecaka. - Widzisz moją lewą rękę? - zapytał.

—Tak - odparł drżącym głosem Vinnie.

Balenger przyjrzał się uważnie. Vinnie przyciskał skrzyżowane ręce do piersi, żeby plecak nie ześlizgnął mu się z ramion. Prawą dłonią ścisnął lewy bark.

- Podnieś prawą rękę - polecił Balenger. - Złap moją lewą. Jest tuż nad twoim barkiem.

- Nie mogę - odparł Vinnie. - Spadnę.

Balengerowi coraz trudniej było utrzymać plecak.

- Nie. Nie spadniesz. Zróbmy to inaczej. - Nie powiedział „spróbujmy to zrobić”. „Spróbujmy” oznaczało słabość. „Spróbujmy” sugerowało, że coś może się nie udać. Każde słowo musiało być rozkazem, który nie pozostawiał wątpliwości co do pozytywnego rezultatu ich działań. - Przyciskaj dalej prawą dłoń do lewego barku. Rozluźnij ją tylko na tyle, żeby przesunęła się w górę, w stronę szyi. Pasek się nie ześlizgnie.

—Boję się - wyszeptał Vinnie.

—Już prawie po wszystkim. Rób, co ci mówię. - Balengera potwornie bolały ręce. Na nogach czuł ciężar profesora. - Teraz uważaj. Przesuń prawą rękę po barku w stronę szyi.

Vinnie wykonał polecenie.

—Czujesz moją lewą rękę?

—Tak - odparł załamującym się głosem Vinnie.

—Przekręć ciało. Przesuwaj dalej dłoń, aż złapiesz mnie za rękę.

—Ale...

—Zrób to! Jesteś już prawie na wierzchu!

Balenger poczuł, jak ciało Vinniego obraca się powoli w lewo. Ból, który odczuwał w rękach, był nie do wytrzymania.

—Udało się - szepnął Vinnie.

—Świetnie ci idzie. Już prawie wyszedłeś. Teraz przesunę lewą dłoń po pasku twojego plecaka. Muszę to robić powoli, żeby się nie ześlizgnął. Jasne?

—Jasne. - Głos Vinniego brzmiał tak, jakby kompletnie zaschło mu w gardle.

—Ty w tym czasie przesuń dłoń po mojej ręce. W którymś momencie nasze dłonie się zetkną. Wtedy złap mnie za nadgarstek.

—Za nadgarstek.

—Jesteś już prawie na wierzchu, Vinnie. - Pot kapął Balengerowi z twarzy.

—Mam go. Złapałem cię za nadgarstek.

—Trzymaj mnie mocno. Muszę teraz puścić pasek i złapać za nadgarstek ciebie.

—Święta Mario, matko...

Balenger czuł, jak Vinnie zaciska palce na jego lewym nadgarstku. Puścił pasek i poszukał jego dłoni. Przez ułamek sekundy Vinnie spadał. Z jego ust wyrwał

się jęk. A potem Balenger go złapał. Nagły ruch sprawił jednak, że Vinnie cały się zakołysał.

—Nie! - wrzasnął.

—Wszystko będzie dobrze! Wszystko będzie dobrze! - zapewnił go Balenger.

Jego prawa ręka, ta, w której nadal ścisnął plecak, cierpiała tortury. Ciało Vinniego znieruchomiło.

—Trzymaj mnie jak najmocniej za nadgarstek. - Balenger nie mógł już dłużej wykręcać prawej ręki pod kątem, który narzucała pozycja Vinniego. - Dobrze. Jak najmocniej. Teraz unieś lewe ramię. Tylko trochę. Żebym mógł wsunąć prawą rękę pod twoją pachę. Muszę puścić plecak.

—Nie!

—Uda nam się, Vinnie. Jesteś już prawie na górze. Na trzy puszczę plecak i złapię cię prawą ręką pod pachę. Jesteś gotów?

—Ale...

—Zaraz będziesz tu ze mną na górze. Gotów? Zrobię to na trzy. Raz. Dwa.

—Trzy - wrzasnął Vinnie, ściskając z całej siły nadgarstek Balengera.

Prawa ręka Balengera puściła plecak i wsunęła się pod prawą pachę Vinniego, który obrócił się do niego twarzą.

- Bob! - krzyknął Balenger. - Możesz nas teraz wyciągnąć?

Profesor, ciężko dysząc, próbował to zrobić.

—Nie... Obu nie dam rady. Nie mam dość siły.

—Vinnie, spróbuj wdrapać się po moich ramionach.

—Nie mogę.

Balenger gorączkowo się namyślał.

—Dobrze, zrobimy coś innego. - Staraj się myśleć pozytywnie, powtarzał sobie. Miał

ochrypli głos. - Mam teraz zamiar przewrócić się na prawy bok. Dzięki temu podciągnę cię trochę z lewej strony. Oprzyj się łokciem o krawędź dziury. Będę się dalej obracał, a ty wpełzaj na górę.

—Spróbuję - powiedział Yinnie.

- Nie - odparł Balenger. - Nie spróbujesz.

Zrobisz to.

Wyleziesz stamtąd.

Ledwie żywy z wysiłku, przekręcił się powoli na prawy bok. Miał wrażenie, że lewa ręka wyskoczy mu z barku.

—Tak - powiedział Vinnie. - Oparłem się łokciem o krawędź.

—Wyżej - wychrypiał Balenger. - Przelóż kolano przez krawędź.

—Nie mogę.

Nagle padło na nich światło lamp i latarek.

- Niech mnie kule... - Głos należał do Ricka, który złapał Vinniego za ramię.

Dzięki Bogu, pomyślał z ulgą Balenger. Serce waliło mu jak młot.

- Usłyszeliśmy krzyki przez krótkofalówkę, ale nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje! - krzyknęła Córa. — Przybiegliśmy tutaj jak mogliśmy najszybciej!

Złapała Balengera i zaczęła go ciągnąć razem z profesorem. Pięć sekund później Vinnie leżał rozdygotany na podłodze.

—Udało nam się - wyszeptał. - Nie, nie mam racji. To ty mnie uratowałeś - zwrócił się do Balengera.

—To zasługa nas wszystkich - odparł Balenger.

—Dziękuję. - Vinniemu trudno było z siebie coś wykrztusić. - Dziękuję wam.

Odwrócił głowę, przyjrzał się dziurze i odpełził

dalej. Pierś unosiła mu się z przejęcia. Balenger nadal leżał na podłodze, łapiąc kurczowo powietrze. Wyciągnął z plecaka butelkę z wodą, pociągnął długi łyk i dał ją Vinniemu.

—Tak zaschło mi w gardle, że nie wiem, czy zdołam cokolwiek przełknąć - rzekł Vinnie, ale kiedy przechylił butelkę, nie mógł się od niej oderwać. Woda kapiała mu po brodzie. - Nigdy nie piłem czegoś tak wybornego - oznajmił, opróżniwszy butelkę.

—Co się stało? - zapytał Rick, wchodząc ostrożnie do

pokoju i łapiąc za rękę Córe, na wypadek gdyby dziura się poszerzyła. Oświetlił latarką krater. - Tam na dole coś się świeci.

—To moja latarka - poinformował Vinnie. - Upuściłem.

—Podłoga zapadła się na wszystkich piętrach - oznajmił Rick. - Na samym dole leży wielki stos mebli. Paskudnie śmierdzi stęchlizną. - Pochylił się, oderwał kawałek deski od krawędzi dziury i wrócił do reszty. - Drewno jest miękkie i papkowate. Cuchnie starą piwnicą - dodał, podnosząc je do nosa.

—To próchno - powiedział profesor. - Dach musi przeciekać. Kiedy pada deszcz lub śnieg, woda sączy się wzdłuż tego pionu. Po ponad trzydziestu latach wystarczyło, że Vinnie zrobił jeden krok, żeby wszystko się zawaliło.

—Pewnie to i dobrze, że nie możemy wejść do tego zamkniętego pokoju - odezwała się Córa. - Jest tuż obok. Może tam również spróchniała podłoga.

—Nie mamy klucza? - zapytał Balenger, po czym ukucnął i wstał. Bolały go ręce, barki i nogi.

—Ano nie - odparła Córa.

—Warto cię mieć w składzie ekspedycji - powiedział Rick, zwracając się do Balengera. - Znasz się na zamkach...

—Nie za bardzo - mruknął Balenger.

—Masz dobry refleks - kontynuował Rick. - Nie przestraszyłeś się wysokości.

—Bo nie widziałem, jak głęboki jest ten dół. A poza tym jako nastolatek wspinałem się trochę w skałkach.

—Ja też. Gdzie chodziłeś?

—W Wyoming.

—W górach Tetons?

Dlaczego zadawał tyle pytań? Czyżby podejrzewał, że nie powiedziałem im prawdy? - pomyślał Balenger.

- Nie, to nie moja liga - wyznał. - Zwłaszcza Grand

mnie przeraża. Nie, byłem na kursie w szkole przetrwania w Lander, niedaleko Wind River.

—Przepraszam wszystkich - odezwał się Vinnie, dźwigając się na nogi.

—Nie ma za co przepraszać - rzekł Balenger, chętnie zmieniając temat. - Nie mogłeś wiedzieć, że podłoga jest spróchniała.

—Mam na myśli...

W świetle laterek zobaczyli na jego dżinsach szeroką, ciemną plamę moczu, która biegła od krocza aż do lewej kostki.

Zakłopotany Vinnie starał się nie patrzeć na Córę.

- Mnie pewnie przytrafiłoby się to samo - odezwał się profesor.

Vinnie wbił wzrok w podłogę.

—Skoro już o tym mówimy... - Balenger wyjął pustą butelkę z plecaka. - W całym tym zamieszaniu o mało i mnie się to nie przytrafiło. Jeśli chwilę beze mnie wytrzymacie, znajdę jakieś ustronne miejsce w korytarzu.

—Tylko nie odchodź za daleko - uprzedził go Conklin. - Dostaliśmy nauczkę, żeby się nie rozdzielać. Bądź wystarczająco blisko, żebyśmy widzieli światło twojej lampy.

—Kiedy skończysz, być może wszyscy powinniśmy pójść w twoje ślady - dodał Rick.

Balenger podniósł z podłogi kask, poprawił zamocowaną na nim lampę i włożył go. Podeszedł do korytarza, oświetlił go latarką i ruszył ostrożnie przed siebie, sprawdzając podłogę. Minął zaśnieżone drzwi windy i zakurzony stolik z oplecionym pajęczynami wazonem, po czym przystanął i przytroczył latarkę do paska. Przyświecając sobie lampą, odkręcił nakrętkę butelki i wysikał się do niej. Wiedział, że korytarzem

niesie się odgłos wykonywanej przez niego czynności, ale nie dbał o to, czy inni go usłyszą.

Zakręcając butelkę, usłyszał słabe echo prowadzonej za rogiem rozmowy. A potem dobiegający z przeciwnej strony

stukot. Rozświetlił lampą mrok przy końcu korytarza. Po obu stronach widział szereg drzwi. Kąt, pod którym padało światło, sprawiał, że wydawały się wszystkie lekko uchylone. Postawił butelkę na podłodze, rozpiął prawą ręką suwak wiatrówki, sięgnął pod materiał i wymacał kolbę tkwiącego w kaburze pod pachą pistoletu Heckler & Koch kalibru.40.

Weź się w garść, ostrzegł się. Pozwalasz, żeby to cholerne miejsce znalazło ci za skórę. Skup się. Przeżyłeś gorsze rzeczy. Przypomniał sobie nagle założony na głowę cuchnący worek i natychmiast oblał się potem. Nie! Nie myśl o tym! Jeśli któryś z nich zobaczy cię z pistoletem i powie o tym reszcie, z pewnością zaczną się zastanawiać, czego jeszcze o tobie nie wiedzą.

Czekał, wpatrując się w mrok. Wdychając powietrze przez nos i wydychając je przez usta, zatrzymując w płucach przez trzy sekundy każdy oddech, powoli się uspokajał. Odgłos z końca korytarza nie powtórzył się. To mogło być cokolwiek - osiadanie budynku albo wiatr stukający czymś o ścianę. Za rogiem nadal trwała prowadzona przyciszonym tonem rozmowa. Nie ma powodu do niepokoju, pomyślał.

—Wszystko w porządku? - zapytał Rick, pojawiając się nagle u wylotu korytarza.

—Już kończę - odparł Balenger, zapinając rozporek i starając się ukryć zaskoczenie.

—Trochę ci to zajęło. Martwiliśmy się, że coś ci się stało.

—Cieszyłem się chwilą spokoju.

Balenger zasunął suwak wiatrówki i wziął do ręki ciepłą butelkę z moczem.

—Gdzie mam to zostawić? - zapytał, skręcając na galeryjkę i widząc krzyżujące się snopy światła.

—Nie tutaj - oznajmił profesor. - Nie zostawiamy żadnych śladów, pamięta pan?

—Schowaj to do plecaka - powiedział Rick, po czym oddalił się korytarzem.

—Zawsze jest ten pierwszy raz - mruknął Balenger. Upewnił się, czy dobrze zakręcił butelkę, po czym wepchnął ją do plecaka. W oddali słyszał, jak Rick oddaje mocz do swojej butelki. - Coraz lepiej się poznajemy.

—Dyskutujemy o tym, czy powinniśmy kontynuować - poinformowała go Córa.

—Nic mi nie jest, naprawdę - zapewnił ich Vinnie.

—Jeszcze przed chwilą sprawiałeś wrażenie wstrząśniętego.

—Czuję się dobrze. - Balengerowi przyszło do głowy, że w obecności Córy Vinnie zawsze będzie się starał nadrabiać miną. - Przejechaliśmy szmat drogi, żeby tutaj wejść. Wszyscy na to czekaliśmy, nie mówiąc już o czasie i pieniądzu, które poświęciliśmy na przygotowanie ekspedycji. Nie pozwolę wam zawrócić z mojego powodu.

—Ale czy dasz sobie radę? - dopytywała się Córa.

—Nic złego mi się nie stało - upierał się Vinnie.

—No dobrze - oznajmił Rick, wracając korytarzem i zapinając swój plecak. - Ja osobiście nadal chcę się dowiedzieć, co jest w apartamencie Carlisle'a i w sejfie Danaty.

- Kto teraz? - zapytał Conklin. - Ty, Córa?

Dziewczyna wyglądała tak, jakby chciała

uniknąć kłępującej czynności i zarazem jak najszybciej się z nią uporać.

Kiedy się oddaliła, Balenger spojrzął na leżący na podłodze przedmiot. To była tekturowa teczka.

- Znaleźliśmy ją w pokoiku za recepcją – wyjaśnił Rick. - Miała interesujący nagłówek, więc ją wyciągnęliśmy. Wtedy właśnie usłyszeliśmy krzyki przez krótkofalówkę.

Balenger podniósł teczkę i oświetlił latarką napis: RAPORTY POLICYJNE.

- Tak, to rzeczywiście przyciąga uwagę - powiedział, przerzucając kartki. - W hotelach popelnia się mnóstwo przestępstw, przede wszystkim kradzieży, ale goście na ogół o tym nie wiedzą. Policja stara się prowadzić śledztwo w dyskretny sposób. Akta zaczynają się od najbliższego nam w czasie incydentu i...

Nagle usłyszeli krzyk Córy.

Rick pierwszy puścił się biegiem i skręcił w korytarz. Balenger popędził tuż za nim, stawkę zamykali Vinnie i profesor. W krzyżujących się snopach światła zobaczyli Córę opartą plecami o ścianę, ze zsuniętymi do kolan dzinsami. Obok wypełnionej do połowy butelki leżała jednorazowa chusteczka. Córa wpatrywała się w głąb korytarza.

- Coś tam jest - powiedziała.

Rick stanął przy niej, osłaniając ją przed niebezpieczeństwem. Porządny z niego facet, pomyślał Balenger. Spanikowana Córa zapięła dzinsy, przez cały czas obserwując korytarz.

—Widzicie coś? - zapytał Conklin.

—Nie - odparł Balenger, pamiętając o pistolecie, który miał pod wiatrówką.

—Tak - powiedział Vinnie. - Tam.

W końcu korytarza zaświeciły czyjeś oczy. Tuż przy podłodze. Balenger odetchnął z ulgą.

- Kolejny zwierzak.

W zbiegających się promieniach latarek zobaczyli wychylającą się zza rogu głowę.

- Do diabła, kolejny kot albinos - mruknął Rick.

Kot wyszczerzył zęby i syknął.

—Patrzcie, jaki hardy - zauważył Vinnie. - W ogóle się nas nie boi. Jest zdziczały. I wściekły, że wchodzimy na jego teren.

—Musi ważyć za dwadzieścia funtów - dodał

Rick. - Utuczył się na tych szczurach na dole.

—Kiedy byłem mały, spędzałem wakacje na farmie mojej babci - powiedział Vinnie. - W porzuconej stodole przy drodze pomieszkiwało stado dziczących kotów. Wyżarły wszystkie myszy, króliki i świstaki w promieniu kilku mil. Ptaki zmądrzały i trzymały się z daleka. Na koniec koty zaczęły zabijać kurczaki. Potem przerzuciły się na kozy i...

—Dzięki, Vinnie - przerwał mu Conklin. - Wiemy już chyba, o co chodzi.

—Co się stało z tymi kotami? - zapytał Balenger, kiedy biały zwierzak ponownie syknął.

—Farmer podrzucił im zatrute mięso. Nic to nie dało. Koty były sprytne i go nie ruszyły. Facet powiedział, że naliczył ich przynajmniej pięćdziesiąt i cieszył się, że udało mu się wskoczyć do samochodu i odjechać. Żona sąsiada twierdziła, że chciały zaatakować jej małą córeczkę. Więc w końcu mniej więcej dziesięciu farmerów dostało pozwolenie od leśniczego, szeryfa czy kogoś tam i pojechali do stodoły z bronią. Pamiętam, że strzelanina trwała całe popołudnie. Babcia mówiła, że zabili ponad setkę.

—Vinnie! - rzuciła ostrzegawczo Córa.

—Tutaj mamy tylko jednego. Wynocha! - zawołał Rick, po czym wyjął pistolet i prysnął octem w kierunku kota.

Ciecz nie dotarła do celu, ale zwierzak zasyczał po raz ostatni i zniknął za rogiem.

- Widzisz? Nie lubi nas tak samo jak my jego.

Balenger zauważył, że w czasie całego zamieszania Córa wsadziła butelkę z moczem do plecaka. Schowała chusteczkę higieniczną do

celofanowego opakowania, zakleijała i również wsunęła do plecaka.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Rick.

—Świetnie - odparła przeproszającym tonem. -

Po prostu mnie to zaskoczyło.

—Może nie powinniśmy iść dalej?

—Przecież nic się nie stało. - Zakłopotana Córa wyprostowała się. - Wszystkim nam czasami puszczają nerwy w różnych budynkach. Czy nie o to właśnie chodzi? Żeby poczuć zastrzyk adrenaliny? To, że krzyczałam, jadąc diabelską kolejką, nie znaczy wcale, że nie chcę się nią znowu przejechać - dodała.

Balenger miał jednak wrażenie, że wolałaby, by zawrócili.

—Jeśli tego właśnie chcesz... - odparł Rick. W jego głosie też zabrzmiało wahanie.

—Chodźmy - ponaglił ich Balenger.

Czas podobnie jak ciemność sprawiał wrażenie skondensowanego. Balenger zauważył, że Vinnie lekko utyka. Czyżby skłamał, mówiąc, że nie odniósł żadnych obrażeń? Po chwili zdał sobie sprawę, że nierówny krok Vinniego bierze się stąd, że chłopak ma mokre spodnie.

Wrócili na galeryjkę.

—Osobiście nie czuję potrzeby, ale może teraz jest najlepszy moment. Nie chcę nas potem opóźnić - powiedział profesor, wyjmując plastikową butelkę z plecaka. - Wiemy, że trzy pokoje, które sprawdziliśmy, są bezpieczne. Skorzystam z jednego z nich.

—Bezpieczne, jeśli nie liczyć martwej małpy w walizce - mruknęła Córa.

—Miałem na myśli pokój z płaszczem Burberry.

—Ktoś z nas powinien z panem pójść, profesorze - zaproponował Vinnie. - Na wszelki wypadek.

- Ostrożność nigdy nie zawadzi - zgodził się Conklin.

Balenger patrzył, jak otwierają drzwi. Sprawdzili jeszcze raz podłogę, mimo że nie załamała się pod nimi wcześniej. Ich światła zniknęły w mroku.

Dotknął ręką balustrady balkonu i upewniwszy się, że jest solidna, usiadł, opierając się o nią plecami. Chociaż zbytnio się nie odprężył, iluzja odpoczynku dobrze mu zrobiła.

Rick i Córa przysiedli obok. Wydawali się tak samo wyczerpani jak on. To właśnie robi z człowiekiem adrenalina, pomyślał. W ostatecznym rozrachunku go wykańcza.

- Możemy wykorzystać wolną chwilę - mruknął, sięgając po teczkę, którą upuścił, słysząc krzyk Córy.

RAPORTY POLICYJNE.

- Chcecie poczytać? - zapytał, dając kilka kartek Rickowi i Córce i zachowując dla siebie najświeższy raport.

Nosił datę 31 sierpnia 1968 roku. Jak wyjaśnił profesor, w tym właśnie roku hotel przestał przyjmować gości. Oczekiwał, że w teczce będą dominowały doniesienia o kradzieżach, które są najczęściej popełnianym w hotelu przestępstwem, ale to, o czym czytał, było o wiele poważniejsze.

Śledztwo dotyczyło zaginięcia osoby. Tydzień po wymeldowaniu się z Paragonu niejakiej Iris McKenzie do hotelu przybył policyjny detektyw i zadawał na jej temat pytania. Od momentu kiedy zapłaciła rachunek i opuściła hotel, zaginął po niej wszelki ślad. Jakiś pracownik Paragonu zapisał szczegółowo treść rozmowy z detektywem.

Iris McKenzie mieszkała w Baltimore w Marylandzie - trzydzieści trzy lata, samotna, zatrudniona jako copywriterka w firmie, która współpracowała z wielkimi agencjami reklamowymi w Nowym Jorku. Wracając z podróży służbowej na Manhattan, zahaczyła o Asbury Park i spędziła weekend w Paragonie. Dokonana przez nią telefoniczna rezerwacja wskazywała w każdym razie, że taki miała zamiar. Przybyła w piątek wieczorem. Miała wyjechać w poniedziałek rano. Zamiast tego wymeldowała się już w sobotę. Balenger podejrzewał, że uświadomiła sobie, jak mylnie miała wyobrażenia na temat Asbury Park -

nie było to już miejsce, w którym można spędzić spokojny weekend.

Ten, kto sporządził notatkę z rozmowy (charakter pisma był raczej męski), wspomniał, iż policjantowi pokazano rezerwację oraz kwit, który Iris McKenzie podpisała po zapłaceniu rachunku i wcześniejszym wymeldowaniu. Opłata za połączenia telefoniczne zawierała adnotację, że o godzinie 9.37 Iris zamówiła rozmowę zamiejscową z numerem, który według detektywa należał do jej siostry w Baltimore. Detektyw wyjaśnił, że telefon odebrał siedemnastoletni syn siostry, który powiedział, że matka wróci do domu dopiero przed kolacją. Iris poprosiła chłopca, żeby przekazał matce, iż wraca do domu tego samego wieczoru. Następnie zamówiła taksówkę na dworzec kolejowy i kupiła bilet do Baltimore, ale nigdy nie dotarła do celu.

Niesamowicie rozmowny detektyw, pomyślał Balenger. Przekazywał z własnej woli zdecydowanie za dużo informacji. Zadawaj pytania. Nie udzielaj informacji. Ma to robić osoba, z którą rozmawiasz.

W recepcji nie mieli pojęcia, co mogło się przytrafić Iris po wyjściu z hotelu. Następnym dokumentem była notatka z rozmowy z prywatnym detektywem, który przybył z Baltimore miesiąc później i zadawał te same pytania. Przedstawiciel hotelu, który zrelacjonował rozmowę, zredagował swoją notatkę tak, aby nie powstało najmniejsze przypuszczenie, iż ktoś mógł winić o zaginięcie hotel.

Balengerowi zabiło szybciej serce, gdy uświadomił sobie nagle, że autorem notatki mógł być sam Carlisle. Czując, jak za jego plecami czai się ciemność, skupił wzrok na wyblakłym atramencie, który przybrał niemal fioletowy odcień. Światło latarki prześwitywało przez kruchy pożółkły papier i rzucało

cień liter na jego dłoń. Czy charakter pisma mógł świadczyć o podeszłym wieku piszącego? Czy niezgrabne litery mogły być skutkiem artretyzmu, na który cierpiał dobiegający dziewięćdziesiątki starzec?

Vinnie i profesor wrócili z pokoju. Conklin włożył plastikową butelkę do plecaka, który następnie zapiął.

—Czy Carlisle pisał odręcznie swój pamiętnik?

- zainteresował się Balenger.

—Tak. Skąd to pytanie?

—Niech pan spojrzy, czy to pismo nie wydaje się panu znajome.

Balenger podał profesorowi notatkę. Ostre światło sprawiło, że Conklin zmrużył oczy. Widać było, jak się koncentruje.

—Tak, to charakter pisma Carlisle'a.

—Chciałbym to zobaczyć - powiedział Vinnie i przyjrzał się pismu, jakby skrywało jakiś sekret. Po chwili oddał dokument Rickowi i Córce.

—Mam wrażenie, jakbym trochę bliżej go poznał - rzekł Rick. - Powiedział pan, że Carlisle miał... jak pan to ujął? Ujmującą powierzchowność, ponieważ brał sterydy i dużo ćwiczył. Ale jaką miał twarz? Jakie maniery? Czy był atrakcyjny czy mało urodziwy? Czarujący czy apodyktyczny?

—W młodości porównywano go do gwiazdora filmowego. Miał błyszczące, błękitne oczy. Ludzie czuli, że ich hipnotyzuje.

Rick oddał Balengerowi notatkę i pokazał mu pożółkły wycinek z gazety.

—To dotyczy jednego z morderstw. Tego trzynastolatka, który przyłożył ojcu kijem baseballowym w głowę, kiedy ten spał. Uderzył go dwadzieścia dwa razy, naprawdę rozbił mu mózg na miazgę. To zdarzyło się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku. Chłopiec nazywał się Ronald Whitaker. Jego matka nie żyła, ojciec od lat wykorzystywał go seksualnie. Nauczyciele i koledzy ze szkoły twierdzili, że był cichy i mało kontaktowy. Markotny.

—Typowe zachowanie ofiar molestowania seksualnego - wtrącił Balenger. - Są w szoku. Wstydzą się. Boją. Nie wiedzą, komu mogą zaufać, i nie mają dość śmiałości, żeby z kimś porozmawiać, bo obawiają się, że się wygadają. Prześladowca grozi na ogół, że jeśli ofiara

komuś się poskarży, zrobi jej coś strasznego: zabije jej ulubione zwierzę, utnie penisa albo pierś. Jednocześnie stara się, żeby ofiara uwierzyła, że to, co się jej przytrafia, to najzwyczajniej szał pod słońcem. Niektóre ofiary dochodzą w końcu do wniosku, że każdy jest w ten czy inny sposób prześladowcą, że życie polega na tym, że manipuluje się ludźmi, i nie mogą na nikim polegać.

—Ojciec zabrał Ronalda do Asbury Park w weekend czwartego lipca - powiedział Rick. - To miała być świąteczna atrakcja. Psychiatra dziecięcy przez kilka tygodni próbował wydobyć z Ronalda, co się później wydarzyło. W końcu chłopiec wyznał, że ojciec wziął od innego mężczyzny pieniądze i pozwolił mu spędzić z nim godzinę sam na sam. Obcy mężczyzna dał Ronaldowi w charakterze zachęty piłeczkę, kij i tanią rękawicę baseballową. Po wyjściu mężczyzny do pokoju wrócił pijany ojciec i zasnął. Ronald znalazł odpowiednie zastosowanie dla kija baseballowego.

—Trzydzieści lat. - Córa wyglądała, jakby zrobiło się jej niedobrze. - Co się później dzieje z kimś takim?

—Ponieważ był zbyt młody, nie mógł go osądzić normalny sąd - odrzekł Balenger. - Gdyby był dorosły, zostałby prawdopodobnie uniewinniony z powodu chwilowej niepoczytalności. Ale ponieważ był młodociany, sędzia wysłał go prawdopodobnie do schroniska dla nieletnich, gdzie poddano go leczeniu psychiatrycznemu. W wieku dwudziestu jeden lat powinien zostać

zwolniony, a jego akta sądowe i psychiatryczne zamknięte, żeby nikt nie mógł dowiedzieć się o jego przeszłości i wykorzystać tych informacji przeciwko niemu. Od tej chwili tylko od niego zależało, co zrobi ze swoim życiem.

—Ale w gruncie rzeczy zostało zrujnowane - podsumowała Córa.

—Chyba zawsze jest jakaś nadzieja - odparł Balenger. - Zawsze jakieś jutro.

—Z pewnością dużo o tym wiesz - powiedział Rick, bacznie mu się przyglądając.

Czyżby znowu mnie sprawdzał? - pomyślał Balenger.

—Napisałem kilka reportaży o podobnych sprawach - mruknął.

—Ten hotel wchłonął wiele cierpienia - wtrącił Vinnie. - Spójrzcie na ten raport. - W jego palcach zaszeleścił stary papier. - Dotyczy kobiety, do której należała walizka z martwą małpą. Jak brzmiało nazwisko na przywieszce walizki?

—Edna Bauman - powiedziała Córa.

—Tak, to ta sama. Edna Bauman. Popelniła tutaj samobójstwo.

—Co takiego?

—Dwudziestego siódmego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku. Wzięła gorącą kąpiel i podcięła sobie żyły.

—Twój instynkt cię nie zawiodł, Córo - odezwał się profesor. - Pamiętam, że poprosiłaś Ricka, żeby zajrzał do wanny. Bałaś się, że coś tam może być.

Córa zadrżała.

—To zdarzyło się prawie przed czterdziestu laty.

—Dwudziestego siódmego sierpnia - powiedział Rick. - Jaka była data na nekrologu jej byłego męża?

—Dwudziesty drugi sierpnia - odparł Balenger.

—Pięć dni. Zaraz po pogrzebie wróciła tam, gdzie poprzedniego lata spędziła wakacje z mężczyzną, który był wówczas jej mężem. - Vinnie przez chwilę się zastanawiał. - Może z tamtymi wakacjami wiązały się jej ostatnie szczęśliwe wspomnienia. Wtedy właśnie zrobiono fotografię ich dwojga i małpki. Rok później jej życie legło w gruzach. Zabiła się, wspominając lepsze czasy.

—Tak, ten hotel wchłonał wiele cierpienia - powtórzyła Córa.

—Ale czy policja albo ktoś inny nie powinni usunąć walizki z martwą małpką? - zastanawiał się Rick. - Dlaczego ją tutaj zostawili?

—Może wcale jej nie zostawili - rzekł Balenger.

—Nie rozumiem.

—Może Carlisle zabrał ją przed przybyciem policji. A potem odniósł z powrotem.

Wszyscy na chwilę umilkli. Balengerowi wydawało się, że słyszy wiatr na zewnątrz, a potem zdał sobie sprawę, że odgłos dobiega z wyższego piętra.

- Ten pokój, w którym widzieliśmy płaszcz Burberry... - podjął Conklin. - Kiedy tam byłem, Vinnie pomyślał o tym, żeby przeszukać kieszenie.

—I oto, co znalazłem - oznajmił Vinnie, podając list Rickowi i Córce.

—„Klinika Mayo. Czternasty lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku - przeczytała Córa. - Drogi panie Tobin: najnowsze zdjęcia rentgenowskie wskazują, że guz pierwotny rozrósł się na cały górny płat pańskiego prawego płuca. Guz wtórny pojawił się w tchawicy. Należy natychmiast rozpocząć nową sesję intensywnej radioterapii”.

—Tobin. - Rick zaczął sortować papiery, które dał mu Balenger, i znalazł kolejny pożółkły wycinek z gazety. - Edward Tobin. Makler z Filadelfii. Czterdzieści dwa lata. Samobójstwo. Dziewiętnastego lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku.

—Zaraz po tym, jak otrzymał list.

—W lutym? - zdziwił się Vinnie. - Nawet jeśli chciał popełnić samobójstwo, to dziwna pora, żeby przyjeżdżać nad morze.

—Chyba że miał zamiar wejść do wody i zamarznąć na śmierć, zanim jeszcze utonie. - Rick wskazał wycinek z gazety. - Kiedy znaleziono jego wyrzucone przez przypiływ, zlodowaciałe ciało, facet miał na sobie tylko koszulę i spodnie.

Balenger ponownie usłyszał dobiegający gdzieś z góry świst wiatru.

—Dziwne, że goście dwóch sąsiadujących ze sobą pokoiów popełnili samobójstwo.

—Jeśli się nad tym zastanowić, nie ma w tym nic dziwnego - odparł Conklin. - Przez wszystkie te lata w hotelu Paragon gościły tysiące ludzi. W każdym pokoju zmieniali się co kilka dni. Trwało to przez całe dziesięciolecie.

W końcu w każdym pokoju mogło dojść do jakiejś tragedii. Ataki serca, poronienia, udary mózgu. Śmiertelne urazy w wyniku upadku w wannie. Przedawkowanie narkotyków. Pijackie burdy. Pobicia. Molestowanie seksualne. Zdrady małżeńskie i oszustwa w interesach. Katastrofy finansowe. Samobójstwa. Morderstwa.

—Sama radość - mruknął Rick.

—Mała wersja świata - rzekł Balenger. -
Dlatego Carlisle'a fascynowali jego goście.

—Był obserwującym potępionych kalwińskim Bogiem, który mógł interweniować, lecz wstrzymywał się od działania. - Przygnębiona Córa pomasaowała ramiona.

- Jeśli chcemy to dzisiaj skończyć, lepiej ruszajmy.

Rick zebrał czytane przez nich kartki, włożył wszystkie do teczki i schował ją do kieszeni z tyłu plecaka.

—Musimy pamiętać, żeby odłożyć teczkę na miejsce, kiedy będziemy wychodzili - powiedział profesor.

—Nie bardzo widzę po co - zaprotestował Vinnie. - Z tego hotelu zostanie niedługo tylko kupa gruzu.

—Ale taka jest zasada - przypomniał Rick. - Jeśli ją raz naruszymy, szybko zlekceważymy pozostałe. Wtedy staniemy się zwykłymi wandalami.

—Zgoda - odparł zrezygnowanym tonem Vinnie. - Przed wyjściem odłożymy teczkę na miejsce.

Oświetlając przed sobą drogę, opuścili galeryjkę i ruszyli w górę po schodach.

—Sprawiają wrażenie solidnych - powiedziała Córa. - Ale po tym, co przytrafiło się Vinniemu, lepiej idźmy gęsiego. Dzięki temu schody będą mniej obciążone.

—Znakomity pomysł. - Balenger zauważył, że profesor nie zaniedbuje żadnej okazji, żeby pochwalić Córę. - Powinniśmy również zachować między sobą niewielki dystans.

Sformowawszy szyk, zaczęli wspinać się wyżej. Balenger zastygł co jakiś czas w bezruchu, słysząc skrzypienie drewna, ale konstrukcja wydawała się solidna i uznał, że to normalne dźwięki, które wydają stare schody, gdy ktoś się po nich wspina.

Profesor wydał stłumiony okrzyk, gdy siedzący na balustradzie ptak wzbił się w powietrze i uciekając przed nimi, zderzył się ze ścianą. Oślepiony ich światłami, zatoczył krąg, a potem, trzepocząc skrzydłami, poszybował w dół i zniknął w ciemności.

—Coś takiego z pewnością przyprawia o palpacje stare serce - mruknął Conklin.

—Na pewno dobrze się pan czuje? - zapytał Balenger.

—Jasne. - Korpulentnemu profesorowi znowu brakowało tchu.

—Zostały nam jeszcze tylko dwa piętra.

- Wspaniale.

Echo ich kroków rozeszło się po piątym piętrze.

—Fuj! - krzyknął nagle Rick, odskakując na bok.

—Co się stało? - zapytała Córa.

—Coś otarło się o mój kask - odparł, wskazując palcem. Pozostali wycelowali światła w przestrzeń nad jego głową.

—Na litość boską, to wygląda jak...

—Korzenie - powiedział Vinnie.

Z galeryjki nad ich głowami zwisało coś, co przypominało liny i sznurki. Odchodziły od nich cieńsze nitki: mniejsze korzonki.

- Nigdy nie widziałem czegoś podobnego... Co tam rośnie?

Kiedy dotarli do schodów prowadzących na szóste piętro,

Rick objął prowadzenie. Za nim szli kolejno Córa, Vinnie i Balenger. Pochód zamykał profesor, który wspinał się najwolniej.

Balenger miał teraz możliwość przyjrzeć się szklanemu dachowi. Rozległy, o powierzchni około czterdziestu stóp kwadratowych, miał kształt czubka piramidy. Duże fragmenty nadal tkwiły w pozieleniałych ze starości ramach, jednak wielu szyb brakowało albo były popękane. Po tylu latach ciężar śniegu i lodu osłabił konstrukcję. Balenger przypomniał sobie rozsypane na dole schodów szkło. To tędy dostały się do środka ptaki. Zobaczył chowającą się za chmurami połówkę księżyca. Wiatr gwizdał w pustych ramach - to właśnie jego poświstywanie było jednym z dźwięków, które słyszał wcześniej. Zrobiło się chłodniej.

Zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku.

—Tutaj kończą się schody - powiedział. -

Dochodzimy do szóstego piętra. Gdzieś tu powinny być schody prowadzące do penthouse'u Carlisle'a. Ale ich nie ma. Jak tam wejdziemy?

—Popatrz na to. - Rick wskazał latarką galeryjkę, ku której się wspinali.

Wszyscy jak jeden mąż poszli w jego ślady, kierując latarki w miejsce, z którego zwisały korzenie.

- To jakieś... - Córa urwała zdziwiona. - Na litość... Czy to jest drzewo?

Pochylone i bezlistne, miało nie więcej niż pięć stóp wysokości. Cienki pień i gałązki rzucały cienie na przeciwległą ścianę.

—Ale jak, do diabła...

—Ptak zasiał ziarno - doszła do wniosku Córa. - Albo zrobił to wiatr.

—Ale jak zdołało urosnąć?

Balenger oświetlił latarką stłuczoną wazę. Drzewo wyrastało z leżącej między skorupami rozsypanej ziemi.

—Oto wyjaśnienie. Ta ziemia i trochę deszczu padającego przez rozbity szklany dach wystarczyły, żeby zdołało utrzymać się przy życiu.

—Z trudem - dodał Rick. - Wygląda na to, że pożywiło się dywanem i drewnianą podłogą. Dlatego korzenie są takie długie. Próbują za wszelką cenę znaleźć jakieś składniki odżywcze.

—Podłoga będzie tam słaba. - Conklin zatrzymał się za Balengerem. - Obejdźcie ją.

Rick stanął na podeście. Córa dotarła tam chwilę później, następny był Vinnie. Stając na podeście, Balenger zerknął w stronę penthouse'u Carlisle'a, a potem spojrzął na wspinającego się mozolnie Conklina.

Nagle zaskrzypiały schody.

Profesor zeszywniał.

- Czuję... - wypuścił z płuc powietrze - że uginają się pode mną stopnie.

Skrzyp.

Z wahaniem dał następny krok w górę.

Skrzyp.

- Zdecydowanie się uginają.

Balenger zobaczył, że schody zaczynają się kołysać.

—Niech pan się nie rusza - zawołał.

—Nagle mam wrażenie, jakbym znalazł się w łódce - oświadczył Conklin.

Trzask. Schody zakołysały się jeszcze bardziej.

—Nie!

—Niech pan spróbuje złapać mnie za rękę. - Rick zaparł się nogami u szczytu schodów i sięgnął w dół. - Córa, Vinnie, złapcie mnie z tyłu, żebym nie spadł - polecił stanowczym głosem.

Trzask.

- Jeśli wyciągnę rękę do góry, mój środek ciężkości przesunie się i schody... - rzekł Conklin.

W tym momencie schody znów się zachwiały. Rick wyciągnął dalej rękę.

- Do diabła, nie daję rady...

Trzask.

—Trzeszczą, jakby miały zaraz... - Vinnie złapał mocniej Ricka, który jeszcze bardziej się wychylił.

—Nawet jeśli wyciągnę rękę, nie sięgnę do ciebie. - Conklinowi zadrżał głos.

Trzask.

—Nie możemy pozwolić, żeby... - Córa trzymała z całej siły Ricka.

—Lina! - zawołał Balenger. - Kto ma linę?

—Ja - odparł Vinnie.

Balenger podbiegł do niego, otworzył plecak i wyciągnął linę. Zwinięta w ósemkę, cienka i skręcona z niebieskich nylonowych włókien, była typową liną wspinaczkową. Balenger zrobił szybko pętlę z jednej strony, zawiązał na niej ruchomy węzeł i podbiegł do Ricka, którego lampa wyluskiwała z mroku przerażoną twarz profesora.

- Zarzucę panu pętlę na ramiona - zawołał.

Łypiące zza okularów oczy Conklina były szeroko otwarte ze strachu.

- Niech pan podniesie ręce - rozkazał Balenger - a potem poprawi sznur, żeby znalazł się pod pana pachami.

TRZASK.

Schody zadygotały. Profesor się wzdrygnął.

- Kiedy będzie pan już miał sznur pod pachami, niech pan zaciśnie węzeł. Niech pan się jak najlepiej zabezpieczy.

Bez odpowiedzi.

- Czy pan mnie rozumie, profesorze?

TRZASK.

Schody rozkołysały się na dobre.

- Nie!

Balenger zakręcił liną nad głową i rzucił ją, ale pętla zsunęła się po barku Conklina. Za drugim razem przeszła przez głowę profesora i zaczepiła się o jego lewy bark. Balengerowi zabiło szybciej serce.

—Przełóż przez nią ręce! - zawołał. Conklin przesunął ręce pod pętlą i złapał ją.

—Pod pachami! Węzeł! Zaciśnij go!

Profesor wykonał polecenie, mimo że ręce odmawiały mu posłuszeństwa.

—Rick! Córa! Vinnie! Łapcie linę! Musimy ją do czegoś przywiązać!

—Do tego słupka przy balustradzie - powiedział Rick. - Przywiąż ją.

—Może nie utrzymać. Sami się nią obwiążcie - polecił Balenger. - Odsuńcie się i przygotujcie! To będzie piekielne szarpnięcie! - Zawiązał na piersi węzeł asekuracyjny i zapał się mocno nogami. - Niech pan spróbuje wejść na górę, profesorze! - zawołał.

—Wejść? - Conklin usiłował nie stracić równowagi na kołyszących się schodach.

—Może pana utrzymają.

Profesor przełknął ślinę i dał krok do przodu. W tym momencie schody runęły w dół.

Balenger o mało się nie przewrócił. Hałas był ogłuszający. Mimo że odczuł szarpnięcie przede wszystkim w nogach i rękach, zaciskająca się na piersi lina odebrała mu oddech. Ściskając ją dłońmi w rękawicach, odchylił się z jękiem do tyłu, próbując zrównoważyć ciężar spadającego profesora. Stopy ślizgały mu się po podłodze.

- Ciągnijcie! - wy stękał.

Ucisk wokół piersi wzmógł się, kiedy ratując go przed zsunieniem się w dół, podciągnęli linę. Gdyby nie wiatrówka, nylonowe włókna otarłyby mu skórę do krwi. Usiłując złapać oddech, poczuł nagle, że profesor przestaje spadać. Światło jego lampy kołysało się pod krawędzią urwanych schodów. Balenger wpatrywał się w napiętą sztywno linę, która wrzynała się w resztki desek.

—Profesorze? - krzyknął, kiedy udało mu się odetchnąć. Bez odpowiedzi.

—Na litość boską, czy pan mnie słyszy?
Niewyraźny pomruk.

—Niech pan coś powie! - zawołał Balenger. -
Jest pan ranny?

—Uch.

Płot spływał Balengerowi po twarzy.

—Profesorze?

—Duszę... się.

—To lina zaciska się wokół pana piersi.

—Nie mogę oddychać. Chryste, czyżby dostał ataku serca?

- Niech pan oddycha powoli i płytko. Powoli – podkreślił Balenger. - Jeśli dojdzie do hiperwentylacji, wpadnie pan w panikę.

- Panika to mało powiedziane.

Lina zaskrzypiała.

Balenger obejrzał się przez ramię.

- Rick, Córa, trzymajcie dalej linę. Vinnie, chodź tutaj i pomóż mi go wciągnąć.

Vinnie podbiegł bliżej i złapał linę na odcinku prowadzącym do Conklina.

—Boli - jęknął wciągany na górę profesor.

—Zaraz uwolnimy pańską klatkę piersiową.

—Nie boli mnie klatka piersiowa.

—A co?

—Noga.

Balenger i Vinnie wyteżyli siły. W polu widzenia pojawił się najpierw kask z lampą, a potem udreńczona, pobladła twarz profesora. Przepadły gdzieś jego okulary. Wydawał się bez nich dziwnie bezbronny. Oczy miał szeroko otwarte ze strachu.

Balenger i Vinnie wciągnęli go wyżej.

- Nadziałem się na coś - stęknął Conklin.

Balenger miał świadomość, że stojący za nim Rick i Córa ciągną linę, zabezpieczając go przed zsunięciem się w dół. Słyszał, jak sapią z wysiłku.

- Vinnie! - wychrypiał Balenger takim głosem, jakby nałykał się piasku. - Puść linę i wciągnij go na galeryjkę.

Vinnie stopniowo zwolnił chwyt. Balenger przejął cały ciężar profesora, po czym przysunął się do krawędzi,

złapał go za ramię i podciągnął w górę.

Conklin skrzywił się, ale nawet nie drgnął.

—Widzę, co się stało - poinformował go Vinnie.

- Zaczepił kurtkę o deskę.

—Wiesz, co masz robić. Nóż! Po to go zabrałeś.

Przetnij kurtkę.

Vinnie dopiero teraz przypomniał sobie, że ma nóż. Wyjął go z kieszeni dżinsów, przeciął kurtkę Conklina i przez krótką chwilę spoglądał z przerażeniem w otchłań, w którą runęły schody.

- Gotowe - zawołał, po czym wrócił do Balengera i złapał linę.

Tym razem, kiedy pociągnęli, profesor przesunął się powoli w górę. Krzywiąc się z bólu, próbował im pomóc. Oparłszy łokcie o brzeg galeryjki, przełożył kolano przez krawędź. Wydając w duchu triumfalny okrzyk, Balenger złapał go i razem z Vinniem przesunął w bezpieczne miejsce.

Rick i Córa podbiegli do nich. Profesor leżał na plecach, ciężko sapiąc. Balenger rozluźnił pętlę i ściągnął z niego linę.

- Może pan teraz oddychać? - zapytał, mierząc mu puls. Pierś Conklina unosiła się, kiedy kurczowo łapał powietrze. Puls wynosił sto czterdzieści uderzeń na minutę – mniej więcej tyle co u sportowca po przebiegnięciu kilku mil. U otyłego, pozbawionego formy mężczyzny był zdecydowanie zbyt wysoki.

—Wciąż odczuwa pan ból w klatce piersiowej?

—Jest lepiej. Czuję się lepiej. Mogę złapać oddech.

—Cholera jasna! - zaklął Rick.

—Jego lewa noga... - mruknęła Córa.

Balenger poczuł silny metaliczny zapach. Spoglądając na nogawkę profesora, zobaczył, że przesiąkła krwią od uda aż do buta.

Conklin jęknął.

- Słuchajcie mnie wszyscy - oznajmił Balenger.

Z uda profesora pociekło jeszcze więcej krwi.
Córa odwróciła się przerażona.

- Zapomnijcie o tym, co czujecie. Róbcie
dokładnie to, co

mówię - rozkazał Balenger. Rick zakrył dłonią
usta.

- Nie mamy na to czasu - oświadczył Balenger. -
Wszyscy, uważajcie. Róbcie, co mówię. - Wyjął nóż,
przeciął dzinsy profesora od krocza aż do mankietu i
rozłożył materiał. – Kto ma zestaw pierwszej pomocy?

Conklin się skrzywił. Z długiej na cztery cale,
głębokiej rany na jego udzie lała się krew.

—Kto ma zestaw pierwszej pomocy? -
powtórzył Balenger. Zszokowany Vinnie
zamrugnął powiekami.

—Rick. Chyba ma go Rick.

—Daj go. Już. - Balenger obwiązał udo
profesora powyżej rany. - Kto ma młotek?

Córa zebrała się w sobie i spojrzała na krew. Jej
rude włosy kontrastowały ostro z bladymi policzkami.

- Ja - powiedziała.

- Daj!

Córa ocknęła się z paraliżu i odpięła młotek od
paska.

Balenger wsunął trzonek pod linę i obrócił go, zwiększając ucisk na udo Conklina. Krew przestała płynąć.

—Przytrzymaj to w ten sposób - powiedział do Córy i wziął zestaw pierwszej pomocy od Ricka.

- Wyjmij butelkę z wodą. Przemyj ranę. Kto ma taśmę samoprzylepną?

—Ja. - Vinnie zdążył otrząsnąć się z szoku.

—Przygotuj ją.

—Taśmę samoprzylepną? Zalepiamy nią ostre krawędzie rur, żeby się nie skaleczyć. Do czego ma...

—Po prostu to zrób.

Balenger otworzył zestaw pierwszej pomocy i rozłożył dwie przegródki. Sięgając do środka, przyjrzał się swoim brudnym rękawicom i zastąpił je lateksowymi z zestawu.

—Córa, masz wolną prawą rękę. Oświetl latarką apteczkę - polecił, po czym wyciągnął pakiet nasączonych spirytusem wacików i rozdarł opakowanie. - Rick, polej ranę wodą. Córa, oświetl ją latarką. - Otarł rękawem pot z czoła i przypatrywał się przez chwilę, jak Rick omywa ranę. Kiedy ustało krwawienie, zobaczył jej postrzępione brzegi. - Tętno nie została przecięta. - Wytarł wacikiem krawędź rany, a potem nachylił się i przyjrzał wystającemu z niej kawałkowi drewna. - Kto ma narzędzie wielofunkcyjne?

—Ja.

Rick odpiął je od paska i podał Balengerowi. Ten rozłożył kombinerki.

—Przemywaj dalej ranę. Jak pan się czuje, profesorze?

—Boli mnie.

—Czy lina wrzyna się panu w udo?

—Tak.

—Jeśli jedynie tam pana boli, nie jest tak źle. Lina nie tylko powstrzymuje krwawienie, ale ograniczając przepływ krwi, uśmierza ból. Ale nie możemy tego tak zostawić. Niech pan to połknie. - Balenger otworzył dwa pakieciki z supersilnymi dawkami tylenolu i dał mu cztery tabletki. - Nie działają tak mocno jak vivodin, ale lepsze to niż nic.

Conklin włożył tabletki do ust. Rick dał mu do popicia wodę.

—Moja latarka. Upuściłem ją, kiedy runęły schody. - W głosie profesora zabrzmiało poczucie winy. - Vinnie też swoją stracił.

—Zostały nam trzy. - Balenger wytarł wacikiem końcówki kombinerek. W nozdrza uderzył go ostry zapach spirytusu. - Do roboty. Córa, trzymaj nieruchomo latarkę.

Wsunął kombinerki do rany, złapał drzazgę tuż nad miejscem, w którym wbijała się w skórę, i jak najdelikatniej wyciągnął. Profesor syknął.

- Najgorsze już prawie za nami - powiedział Balenger, próbując dodać mu otuchy. - Nie poruszaj latarką, Córa. Więcej wody, Rick.

Kiedy krew spłynęła, zobaczył mniejszy kawałek drewna, który prawie w całości krył się w ranie. Odczekał, aż przestanie drżeć mu ręka, po czym wcisnął kombinerki w ranę i słysząc jęk profesora, wyciągnął drugą drzazgę.

Przyjrzał się ranie, szukając innych szczątków, a potem wziął nóż, wytarł go wacikiem i przesunął czubkiem ostrza po otwartej ranie, badając, czy nie trafi na coś twardego, co stawiałoby opór. Nie znalazłszy nic takiego, wypuścił z płuc powietrze i odłożył kombinerki i nóż.

—Trzeba będzie założyć szwy - oceniła Córa. - Dużo szwów.

—Na razie musimy się zadowolić tym, co mamy. Przemyj to jeszcze raz - powiedział Balenger do Ricka, po czym otworzył cztery opakowania trójskładnikowej maści antybiotykowej i wcisnął ich zawartość do rany.

- Jak pan się czuje, profesorze?

—Niedobrze mi.

—Nic dziwnego. Jest pan w szoku. Vinnie, podejdź tutaj i uklęknij przy mnie. Dobrze. Zdejmij robocze rękawice i włóż te z zestawu pierwszej pomocy. Doskonale. A teraz docisnij do siebie brzegi rany.

—Co takiego?

—Docisnij brzegi rany.

—Oszalałeś?

—To jedyna rzecz, jaką możemy zrobić. Musisz ścisnąć ranę, a ja ją zakleję.

—Czym ją zakleisz, na litość boską?

—Taśmą samoprzylepną.

—Chyba robisz sobie ze mnie jaja.

—Nieważne. Jeśli nie potrafisz tego zrobić... -

Balenger odwrócił się. - Rick, podejdź tutaj, włóż lateksowe rękawiczki i docisnij brzegi rany.

- Już dobrze, dobrze - mruknął Vinnie i ścisnął ranę.

Wyciekło z niej trochę maści i rozwodnionej krwi. Profesor krzyknął.

—Wiem, że to bolesne - powiedział mu Balenger. - Przysięgam, że to prawie koniec. Ale najpierw muszę pana poprosić o coś naprawdę trudnego.

—O co?

—Niech pan trzyma kolano sztywno wyprostowane, kiedy Rick podniesie pana nogę.

—Tak, to będzie trudne - odparł Conklin, po czym zamknął oczy i starał się opanować ból.

—Gotów? Profesor skinął głową.

—Rick! - powiedział Balenger.

Rick podniósł nogę Conklina. Vinnie nadal dociskał brzegi rany, a Balenger oderwał z rolki kawałek srebrnej taśmy, która zaśniła w świetle ich

laterek. Przykleił ją po drugiej stronie uda i zaczął owijać nogę profesora. Kiedy taśma zakryła część rany, Vinnie przesunął palce wyżej, w dalszym ciągu dociskając do siebie jej brzegi. Profesor wydawał z siebie takie dźwięki, jakby miał zamiar się rozplakać.

Balenger owinął taśmą ranę cztery razy.

—W porządku, Rick, możesz opuścić nogę.

Profesor zadrżał.

—Teraz sprawdźmy, czy nic nie cieknie. Córa, rozwiąż linę.

Wszyscy zastygli w bezruchu, kiedy Córa obróciła z powrotem trzonek młotka, luzując linę. Balenger oświetlił latarką taśmę samoprzylepną. Przez chwilę uważnie ją obserwowali.

—Czuję mrowienie - oświadczył profesor.

—Krażenie wraca.

—Ćmi. Boli. Boże...

Balenger modlił się w duchu, wciąż obserwując taśmę. Patrzył, czy spod jej brzegów nie sączy się krew. Taśma pozostała sucha.

- Chyba w porządku. - Wziął za rękę profesora i ponownie zmierzył mu puls. Sto dwadzieścia. Mniej niż poprzednio. Niezbyt dobrze, ale nie tak strasznie, biorąc pod uwagę, przez co przeszedł. Krew w dalszym ciągu nie sączyła się spod taśmy. - Tak, w porządku - powiedział i wyjął z kieszeni kurtki telefon komórkowy.

—Co robisz? - zapytał Conklin.

—Dzwonię pod dziewięćset jednaście.

—Nie. - Profesor znalazł dość sił, by podnieść głos. - Nie rób tego.

—Nie mamy wyboru - odparł Balenger. - Potrzebna ci jest karetka, Bob. Musisz iść do szpitala. Muszą ci założyć szwy, podać antybiotyki i leki przeciwwstrząsowe. Jeśli ta taśma pozostanie zbyt długo na twoim udzie, dostaniesz gangreny.

—Nie wolno ci dzwonić pod dziewięćset jednaście.

—Nie wolno nam tego zlekceważyć. To, że cię załatałem, nie oznacza wcale, że nic ci nie grozi.

—Nie - upierał się Conklin. - Odłóż telefon.

—Ale on ma rację, profesorze - powiedziała Córa. - Musimy pana jak najszybciej odtransportować do szpitala.

—Na zewnątrz.

—Co?

—Zabierzcie mnie na zewnątrz. I wtedy zadzwonicie pod dziewięćset jednaście. Jeśli sanitariusze was tutaj znajdą, zawiadomią policję. Zostaniecie aresztowani.

—Kto, do diabła, przejmuje się aresztowaniem? - zawołał Vinnie.

—Posłuchajcie mnie. - Conklin wziął głęboki oddech. - Spędzicie całe miesiące w więzieniu. Pomyślcie o rachunkach, które wystawią wam prawnicy. O grzywnach. Właśnie z powodu ewentualnych wypadków policja nie chce, żebyśmy robili to, co robimy. Urządzą wam pokazowy proces. - Profesor zadrżał. - Ty stracisz posadę nauczyciela, Vinnie. Ricka i Córy nie zatrudni żaden uniwersytet. Jeśli Frank zadzwoni pod ten numer, wasze życie legnie w gruzach.

—On powiedział „Bob”. - Rick zmarszczył czoło. - Co się tutaj dzieje?

—Nie rozumiem - mruknął profesor.

—Przed minutą Balenger powiedział do pana „Bob”. Nie „profesorze”, ani nawet „Robercie”. Ja nigdy nie ośmieliłbym się tak do pana zwrócić. W motelu przedstawił się, ale po trzech godzinach nie pamiętam jego imienia. Tymczasem pan je zapamiętał, profesorze. Przed chwilą powiedział pan o nim „Frank”. Mój Boże, wy dwaj spotkaliście się już wcześniej. Znacie się.

—Coś ci się przyśniło - rzekł Balenger.

—Akurat. Przyłączasz się do nas jako obserwator i nagle grasz pierwsze skrzypce. Uratowałeś życie dwóm z nas, ale zachowujesz się, jakby to nie było nic wielkiego. Clint Eastwood skrzyżowany z doktorem Kildare'em. Kim jesteś, do diabła?

—Nie wiem, o czym mówisz - odparł Balenger, czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła. - Nie mamy teraz na to czasu. Profesor musi jak najszybciej znaleźć się w szpitalu.

—Zabierzcie mnie na zewnątrz - powtórzył

Conklin. - A potem zadzwonić pod dziewięćset jedenaście.

—Dotarcie tutaj zajęło nam dwie i pół godziny.

—Bo się grzebaliśmy. Jeśli się pośpieszycie, możemy być na zewnątrz za pół godziny.

—Szybciej, jeśli wyważymy łomem drzwi frontowe - wtrącił Yinnie.

—Nie! Nie możemy zostawić śladu, że tu byliśmy. Jeśli policja się rozejrzy i znajdzie wyłamane drzwi... - Profesor zadrżał. - Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym zrujnował wam życie. Musicie mnie wyprowadzić tą samą drogą, którą tu dotarliśmy: tunelem.

—Ale co będzie, jeśli umrzesz? - zapytał Balenger. - Jeśli wykrwawisz się na śmierć, kiedy spróbujemy cię stąd zabrać?

—Zaryzykuję.

—To obłąd.

—Czy z twojego doświadczenia wynika, że taśma samoprzylepna zatamuje krew na odpowiednio długi czas? - zapytał Conklin.

Balenger nie odpowiedział.

—Kim jesteś, do diabła? - zapytał ponownie Rick.

—Taśma samoprzylepna... - powtórzył profesor. - Na jak długo starczy?

—Jeśli usunie się ją w ciągu kilku godzin...

—Pomóż mi wstać - oświadczył Conklin.

—Co ty sobie wyobrażasz?

—Pomóż mi wstać. Rick i Vinnie mogą mnie podtrzymywać. Mogę kuśtykać na zdrowej nodze.

—Ale...

Conklin się skrzywił.

—Ważę dwieście dziesięć funtów! Jeśli

spróbujecie mnie nieść, zajmie to całe wieki!

—Uspokój się - powiedział Balenger. - Nie chcesz chyba dostać ataku serca.

—Dlaczego on tak się trzęsie? - zapytała Córa.

—To szok.

—Moglibyśmy już być w drodze - niecierpliwł się Conklin. - Marnujemy tylko czas.

Balenger uważnie mu się przyjrzał.

—Naprawdę tego chcesz, Bob? - zapytał.

—Znowu „Bob” - zauważył Rick.

—Straciłem profesurę.

—Stracił pan...? - Vinnie był kompletnie oszołomiony. - O czym pan mówi?

—Kazali mi odejść z uniwersytetu pod koniec tego semestru.

—Co się stało, na litość boską?

—Dziekan odkrył, czym się zajmuję. Stara się za wszelką cenę ciąć koszty, przede wszystkim poprzez likwidację stałych etatów. Przekonał senat wydziału, żeby zwolnili mnie za łamanie prawa i zachęcanie do tego studentów.

—Nie! - rzekł Rick.

—Jestem starym człowiekiem. Nie mam dużo do stracenia, ale wy troje dopiero zaczynacie. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym zrujnował wam życie. Pomóżcie mi wstać! Zabierzcie mnie stąd!

—Jak? - zapytał Balenger. - Schody się zawaliły. Co mamy zrobić? Spuszczać cię na linie z balkonu na balkon?

—Muszą istnieć jakieś schody awaryjne. Zaświecili dookoła latarkami.

—Tam jest korytarz - powiedział Rick.

—Trzymajmy się razem. Rick. Vinnie. Pomóżcie mi wstać. Profesor jęknął, kiedy go podnieśli. Obejmując jedną ręką Ricka i drugą Vinniego, balansował na zdrowej nodze. Pomogli mu pokuśtykać do przodu.

Balenger ruszył pierwszy w stronę korytarza.

Córa szła tuż za nim. Minęli drzwi do windy i chwilę później zobaczyli napis WYJŚCIE PRZECIWPOŻAROWE.

- Nareszcie. - Balenger westchnął.

Otworzył drzwi i wzdrygnął się, kiedy coś przebiegło koło jego nóg. Córa krzyknęła. Coś syknęło

i popędziło w stronę galeryjki. Balenger wyciągał już pistolet, kiedy usłyszał krzyk Ricka.

—To kolejny biały kot! Musi się tu od nich roić.

—Nie - mruknął Conklin. - To nie był kolejny. Bredzi, pomyślał Balenger.

—To ten sam - dodał Conklin.

—Jak to ten sam? To nie ma sensu.

—Popatrzcie na jego tylne łapy.

Balenger oświetlił latarką wystraszone, uciekające nieporadnie zwierzę. To samo zrobili Córa i pozostali. Zobaczyli, że kot albinos biegnie w stronę groteskowego drzewa wyrastającego z podłogi.

Tyle że on sam również był groteskowy.

—Trzy tylne łapy - szepnął Rick. - Ma trzy tylne łapy. Tak samo jak ten kot, którego widzieliśmy w tunelu.

—Nie tak samo - oznajmił słabym głosem profesor. - Mutacje tego rodzaju nie są zbyt częste. To bardzo mało prawdopodobne.

—Chcesz powiedzieć, że to ten sam kot? - zapytał Balenger.

—Ten, którego widzieliśmy na czwartym piętrze.

—Ależ to niemożliwe - zaprotestowała Córa. - Zamknęliśmy drzwi, które prowadziły z tunelu do kotłowni. Wiem, że to zrobiliśmy. Nalegałam, żebyśmy je zamknęli. Więc jak ten kot dostał się do środka?

—Może szczury wygryzły dziury w betonowych ścianach, tak jak mówił profesor - zasugerował Vinnie.

—Może - odparł Balenger.

—W tej kwestii nie ma żadnego „może” - rzekł Rick. - To jedyny sposób, w jaki mógł się tutaj

dostać.

—Nie - powiedział Balenger, ruszając w stronę galeryjki. - Jest jeszcze jedna możliwość.

—Nie widzę żadnej.

—Ktoś mógł wejść za nami i zostawić otwarte drzwi.

W hotelu zapadła grobowa cisza. Słysząc było tylko świszczący w szczelinach świetlika wiatr.

A potem zakłócił ją kolejny wysoki dźwięk. Powolny i rytmiczny. Piękny i smutny..

- Zaczekajcie - powiedziała Córa. - Co to takiego?

Fatum, pomyślał Balenger. Przez dziury w szklanym dachu słyszał dobiegający z oddali brzęk blachy, która waliła o ścianę w nieukończonym apartamentowcu. Nie zagłuszało to jednak dźwięku, który rozbrzmiewał niżej.

Lirycznego. Niesamowicie sugestywnego. Przywołującego na myśl konkretne słowa.

Gdziekolwiek pójdziesz...

Ja pójdę za tobą...

W ciemnej otchłani pod nimi ktoś gwizdał *Moon River*.

- Jezus... - szepnęła Córa, odsuwając się od galeryjki.

Pozostali też się cofnęli.

Gwizd odbijał się echem w ciemności. Melodia budziła wspomnienia dawnych marzeń, miłosnych zawodów i długich wędrówek. Otóż to, pomyślał Balenger. Czego bym nie dał, żeby ruszyć teraz w drogę.

—Kto to? - zapytał szeptem Rick.

—Ochroniarz? - odezwał się Vinnie.

- Policjant? - Córa zgasła swoją latarkę i lampę przy kasku.

Będziemy mieli szczęście, jeśli to któryś z nich, pomyślał Balenger.

Vinnie i Rick zgasili swoje lampy. Córa zrobiła to samo z lampą profesora. W otaczającym ich teraz szczelniej mroku paliły się tylko lampa i latarka Balengera.

- Zgaś to - ponaglił go szeptem Rick. - Może on nie wie, że tu jesteśmy.

Ale Balenger nie posłuchał. W porównaniu z ich szeptami jego głos wydawał się donośny.

- Policjant nie przechadzałby się po hotelu, pogwizdując w ciemności. I ktokolwiek to jest, z całą pewnością wie, że jesteśmy na górze. To melodia, którą grałeś na fortepianie.

—Och... - Rick urwał zakłopotany.

—Więc kto to jest? - zapytał profesor. Był osłabiony i mówił bardzo cicho.

—Wszyscy zmieńcie baterie w waszych latarkach. Lampy przy kaskach świecą jeszcze dość mocno, ale latarki przygasły. Musimy się przygotować.

—Na co?

—Po prostu róbcie, co mówię.

Światło jego latarki zdążyło już zmienić kolor z białego na żółty. Balenger wyjął świeże baterie z plecaka, odkręcił denko latarki i wymienił stare na nowe. Światło mocniej rozblysło. Chciał cisnąć zużyte baterie w ką, ale profesor potrząsnął głową.

- Nie - zaprotestował drżącym głosem. - Nie zostawiamy śmieci.

Balenger wydał z siebie zniecierpliwione sapnięcie i schował stare baterie do plecaka.

Gwizdanie umilkło. Teraz słyszeć było tylko poświstywanie wiatru w szparach świetlika i odległe *klang, klang, klang* obluzowanego kawałka blachy.

Z kimkolwiek mamy do czynienia, ta osoba wie, że tu jesteśmy, i zadaje sobie wiele trudu, żeby nas o tym powiadomić, pomyślał Balenger. Będzie wyglądało dziwnie, jeśli nie zareagujemy. Czas dowiedzieć się, kto to jest.

- Hej! - krzyknął w dół.

Echo jego głosu ucichło w oddali.

- Pracujemy dla firmy rozbiórkowej Jersey City Salvage, która w przyszłym tygodniu wyburza ten budynek! – zawołał Balenger. - Jest z nami ochroniarz! Mamy wszelkie prawa, żeby tu przebywać, czego nie można powiedzieć o tobie! Masz ostatnią szansę, żeby stąd się wynieść, zanim wezwiemy policję!

Echo ponownie umilkło w oddali.

—Dobrze, jak chcesz.

—Pracujecie w nocy? - odkrzyknął z dołu
mężczyzna.

—Pracujemy, kiedy nam każą! W dzień i w nocy! To nie ma znaczenia! Zresztą tutaj zawsze jest ciemno!

—Fajnie jest mieć tyle nadgodzin!

Tylko jeden głos. Balengera pokrzepiło to na duchu.

—Słuchaj, nie mam ochoty na pogawędki! Masz się stąd wynosić! To miejsce jest niebezpieczne!

—Jasne, najlepszym dowodem jest to, co się stało ze schodami! Wynosić się? Nie, nam się tu podoba! Można powiedzieć, że czujemy się po ciemku jak w domu!

Nam?

—Żebyś wiedział - odezwał się drugi głos. - Uwielbiamy ciemność.

—A swoją drogą, co to były za wrzaski minutę temu? - zapytał pierwszy głos. - Brzmiało to, jakby ktoś się bawił w Halloween.

Balenger wbił wzrok w ciemność na dole. Słyszał kroki, ale nie widział żadnych świateł. Odwrócił się z powrotem do grupy.

—Córa, dzwoń pod dziewięćset jedenaście.

—On ma rację, profesorze - powiedział Vinnie, podtrzymując Conklina.

—Nie obchodzi mnie, czy telefon na policję zrujnuje czyjeś życie - rzekł Balenger. - W tym momencie zależy mi na tym, żebyśmy go nie stracili.

—Naprawdę myślisz... - bąknął Rick.

—Córa, dzwoń - powtórzył Balenger.

Dziewczyna wyciągnęła już komórkę i naciskała cyfry. Stłoczeni w mroku obserwowali ją.

—Nagranie - powiedziała, marszcząc brwi. - Cholerne nagranie.

—Co? - Balenger odebrał jej telefon.

—Hej! - odezwał się głos z dołu - jeśli próbujecie się dodzwonić pod dziewięćset jedenaście, czeka was przykra niespodzianka!
Balenger przycisnął telefon do ucha.

—Z powodu wielu zgłoszeń wszyscy nasi dyspozytorzy są zajęci - brzmiał nagrany komunikat. - Prosimy czekać na zgłoszenie się pierwszego wolnego dyspozytora.

—Chyba nie jesteście stąd! - wrzasnął głos. - W przeciwnym razie byście wiedzieli! Mówili o tym w telewizji! Lokalne centrum powiadamiania sprawiło sobie nowy system telefoniczny! W ogóle nie działa! Nikt nie może się dodzwonić! Naprawią go dopiero w poniedziałek! A może później!

—Z powodu wielu zgłoszeń... - zabrzmiał ponownie komunikat.

—Normalny telefon policyjny jest całkowicie zablokowany! - zawołał drugi głos. - Trzeba czekać trzydzieści minut, aż odbiorą!

—Taka jest cena postępu - dodał trzeci głos. - Wszystko jest nowe, frymuśne i tak cholernie skomplikowane, że dziwię się, że cokolwiek w ogóle działa.

Jest ich trzech? - pomyślał Balenger.

—Kiedy działa! - oznajmił drugi głos. - Dawno temu, kiedy ten hotel przyjmował jeszcze gości, wiedzieli, co to niezawodność.

—Wtedy budowano solidnie! - oznajmił pierwszy głos. - Hej, możecie nam powiedzieć coś więcej o tych złotych sztuccach, o których rozmawialiście?

Balenger oddał telefon Córce.

—Spakujcie wszyscy swoje rzeczy. Narzędzie wielofunkcyjne. Taśmę. Młotek. Zestaw pierwszej pomocy. Możemy tego wszystkiego potrzebować. - Złożył nóż i schował go do kieszeni. - Macie wszystko? Idziemy.

—Dokąd? - zapytał profesor, chwiejąc się

między podtrzymującymi go Vinniem i Rickiem.

—Tam, gdzie możemy. Na dół. Jedno jest pewne: nie wolno nam sterczeć w tym miejscu. Bierność jest niebezpieczna. Bierność oznacza, że przegramy.

28

Balenger ruszył pierwszy. Przeszedł cały korytarz, zatrzymał się przy drzwiach, które otworzył wcześniej, i omiół światłem latarki wąską, pokrytą pajęczynami klatkę schodową. Kiedy dołączyli do niego pozostali, rozpiął suwak wiatrówki, sięgnął pod nią i wyciągnął pistolet.

- O Chryste, broń - jęknęła Córa.

Rick popatrzył na niego z głęboką wrogością.

—Kim jesteś? - zapytał.

—Waszym aniołem stróżem - odparł Balenger. - A teraz bądźcie cicho. Idźcie jak najciszej. Nie pozwólcie, żeby domyślili się, gdzie jesteście. Od tej chwili muszą nam wystarczyć moja lampa i latarka.

—Hej! - wrzasnął z dołu pierwszy głos. - Prosiłem was, żebyście opowiedzieli coś więcej o tych złotych sztucach.

Balenger ruszył w dół po wąskich schodach. Sprawdzał każdy stopień, bojąc się, że może się pod nim załamać. Następna szła Córa, potem Vinnie i Rick, podtrzymujący profesora. Ich sapanie, kroki oraz szelest ocierających się o ściany kurtek odbijały się głośnym echem od ścian klatki schodowej.

Balenger dotarł do zamkniętych drzwi. Prowadziły najprawdopodobniej na piąte piętro. Czy ktoś się za nimi czaił? Czy wyskoczy z ukrycia, kiedy

przejdą? Czując, jak kręci mu się w głowie, zgasił latarkę i przypiął ją do paska. A potem zdjął kask, odsunął go od siebie na wysokości głowy i kierując światło lampy w stronę drzwi, dał krok do tyłu. Przywarł do ściany, uchylił wolną ręką drzwi, a potem pchnął je lufą pistoletu, otwierając na oścież. Jeśli ktoś krył się na korytarzu, zobaczyłby wyłącznie światło i powinien w nie wycelować.

Nic się nie wydarzyło.

Balenger miał mokre dłonie. Zrobiło mu się gorąco. Wyglądając zza drzwi, zobaczył pusty korytarz. Odetchnął z ulgą, włożył kask i zaczął schodzić. Schody wydawały się jeszcze mroczniejsze i węższe, bardziej przytłaczające.

Za jego plecami pojękiwał sprowadzany na dół przez Vinniego i Ricka profesor. Za głośno, pomyślał Balenger. Robi za dużo hałasu.

A potem usłyszał inne hałasy, kroki jednej albo kilku osób wspinających się po schodach.

- Ćśśś - syknął do pozostałych. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Owszem, ktoś się ku nim wspinał, ale nie było widać żadnych świateł, co oznaczało, że intruzi są daleko na dole. I w tym momencie nie widzieli jeszcze lampy Balengera.

Dziesięć stopni niżej zobaczył kolejne drzwi. Były uchylone na szerokość kilku cali. Uświadomił sobie, że prowadzą na czwarte piętro, tam gdzie pod Vinniem załamała się spróchniała podłoga i gdzie widzieli po raz drugi białego kota. Właśnie przez te drzwi kot dostał się na to piętro.

Balenger zszedł ostrożnie na podest, otworzył drzwi na oścież i zaczekał, aż pozostali wyjdą na korytarz. Następnie zamknął je i zaprowadził ich na galerijkę. Kiedy zgasił lampę przy kasku, zapadła wokół nich niemal absolutna ciemność. Tylko przez

światlik trzy piętra wyżej widać było błyskające zza chmur słabe światło księżyca.

- Nie ruszajcie się - szepnął. Schowany prawie cały za zakrętem korytarza, wycelował w stronę niewidocznych drzwi. Minęło kilka chwil. Czas się dłużył. W ustach zaschło mu tak bardzo, że miał wrażenie, jakby ktoś wytarł mu ręcznikiem język, podniebienie i wewnątrz policzków. Było mu coraz bardziej gorąco.

Usłyszał ostrożne kroki, a potem szelest ubrania. Pod drzwiami ukazała się niewyraźna kreska światła. Skrzypienie drewna ucichło i usłyszał zgrzyt zawiasów. Drzwi się otworzyły. Kiedy światła omiotły korytarz, Balenger schował się cały na galeryjce.

—Myślisz, że tu są? - szepnął pierwszy głos.

—Nie ma po nich śladu - odparł drugi.

—Mówię wam, że nadal są nad nami - wtrącił trzeci.

—W takim razie na co czekamy? Zaczyna się zabawa. Kroki zabrzmiały wyżej. Światła przygasły, a potem zniknęły.

Balenger wyrzwał z za rogu. Intruzi zostawili otwarte drzwi. Z miejsca, w którym się znajdował, widział oddalające się światła. Uznał, że kiedy będą wystarczająco daleko, zajmie pozycję na schodach i celując w górę, będzie osłaniał Vinniego, Ricka i Córę, którzy zabiorą profesora na dół, do tunelu, i wyprowadzą z budynku. Niedługo będziemy bezpieczni, powiedział sobie. A mało brakowało. Cholernie mało. Ale za pół godziny wszystko się skończy.

Ani na moment nie mignęło nawet słabiutkie światło. Powinni ruszać dalej. Balenger podniósł rękę, żeby zapalić lampę przy kasku, i nagle cały zeszywniał. Uczucie gorąca zastąpiły lodowate ciarki, które prawie go sparaliżowały. W ciemności zaskrzypiała deska podłogi. Nie za nim. Nie nadepnął jej on sam ani ktoś z jego grupy. Dźwięk dobiegł z przodu.

Uświadomił sobie nagle, że nie wszyscy intruzi weszli wyżej po schodach. Ktoś stał przed nim w ciemności.

W jego umyśle zadźwięczały dzwonki alarmowe. Przypomniał sobie, że nie widział światła, kiedy wychylił się przez balustradę i krzyknął do gwizdzącego *Moon River* faceta. „Nam się tu podoba. Czujemy się po ciemku jak w domu”, powiedział głos. Co to mogło znaczyć?

Podłoga ponownie zaskrzypiała. Balenger wycelował w stronę źródła dźwięku.

I jęknął z bólu, kiedy jakiś twardy przedmiot trafił go w rękę, w której trzymał pistolet. Wyrwano mu broń z dłoni. Coś wbiło mu się w brzuch, tak mocno, że zgiął się wpół i przez chwilę nie mógł oddychać. Ktoś kopnął go w golenie, zbijając z nóg. Kiedy rąbnął głową o podłogę, czyjś but wbił mu się w bok. Balenger przeturlał się kilka stóp w ciemności i wpadł na ścianę.

—Mam go! - krzyknął głos.

—Kto to powiedział? - zawołała Córa.

—I mam coś jeszcze! Pistolet!

Balenger usłyszał, jak ktoś odciąga zamek, sprawdzając, czy nabój jest w komorze. Cholera, wiedzieli, jak obchodzić się z bronią.

- Co się stało, Frank? - wystękał profesor. W ciemności wydawał się kompletnie bezbronny. - Jesteś ranny?

Na schodach rozległy się czyjeś kroki. Dwie osoby wpadły na galeryjkę. Ale mimo że Balenger z całych sił wytrzeszczał oczy, nie widział żadnych świateł. Zastanawiał się, czy nie oślepl.

—To było cholernie sprytne zagranie - oświadczył głos.

—Mówiłem, że się uda.

—Ubiegłeś mnie - oświadczył trzeci głos. - Skopię mu tyłek, żebym mógł to sobie odbić.

- Kiedy tylko będziemy wiedzieli, kto jest kto i co jest co.

Dlaczego nie widzę ich świateł? Co się stało z moją głową?

Balenger gorączkowo się zastanawiał. „Nam się tu podoba. Czujemy się po ciemku jak w domu”.

—Czego chcecie? - zawołał.

—Żebyś się przymknął - odparł pierwszy głos.

Balenger usłyszał jęk. Ktoś upadł z głuchym odgłosem na podłogę. Czy to był Rick?

- Nie pozwalasz mi nikogo tknąć - poskarżył się trzeci głos. - A sam spuszczasz im bańki.

- Dobra, dobra, możesz pobawić się w berka z następnym, który będzie niegrzeczny.

Balengera bolała głowa. Miał wrażenie, że wiruje w ciemności.

—Uch! - zawołała Córa. - Ktoś mnie dotknął!

—To tylko my, duszki.

—Chcę, żebyście położyli się wszyscy na podłodze - oświadczył głos.

—Słyszeliście go! Na podłogę!

Vinnie upadł z jękiem. Niepodtrzymywany przez nikogo profesor zapłakał z bólu, wywracając się na ziemię.

—Zdejmijcie plecaki - rozkazał pierwszy głos.

—Przestań mnie dotykać! - wrzasnęła Córa.

—Róbcie, co każe!

Balenger usłyszał szelest zdejmowanych plecaków.

- Ty też, bohaterze - oświadczył pierwszy głos.

Metalowy przedmiot dotknął barku Balengera. Najszybciej jak pozwalały mu na to obolały bok i podbrzusze, zsunął z ramion plecak.

- Zobaczmy, co tutaj mamy - powiedział głos.

Balenger usłyszał zgrzyt suwaków i odgłos wyrzucanych na podłogę przedmiotów.

—Lina, taśma samoprzylepna, łom, narzędzie wielofunkcyjne, pasy robocze, młotek, krótkofalówki, kaski z lampami, latarki, tony baterii. Nie mam pojęcia, do czego są te liczniki. Kurczę, tyle tego, że można by otworzyć sklep żelazny - oznajmił trzeci głos.

—Zestaw pierwszej pomocy. Świece. Zapalki. Patrzcie, batoniki. - W drugim głosie zabrzmiało podniecenie.

Patrzcie? Powiedział „patrzcie”. Balenger zaczynał rozumieć. Usłyszał szelest rozrywanego

opakowania i głośny odgłos przeżuwanego batonika.

—Butelki z wodą. A co jest w tych innych butelkach?

—Śmierdzi jak... szczyny. Ci kretyni noszą w plecakach butelkowane szczyny.

- Znalazłem jeszcze jeden pistolet - oznajmił trzeci głos. - Co to za... Nie, nie jest prawdziwy. To cholerny pistolet na wodę.

Balenger usłyszał, jak ktoś pociąga nosem.

—Ocet? - zapytał trzeci głos. - Tym właśnie strzelacie? To tak samo głupie jak noszenie sików.

—Siki i ocet - mruknął pierwszy głos.

—Noże. Mają masę noży.

Balenger poczuł rękę przy swoich dżinsach. Zanim zdołał stawić opór, wyjęto mu nóż z kieszeni i odpięto zapasowy magazynek od paska.

- Rzeczywiście sklep żelazny. A może raczej sklep z bronią - oznajmił pierwszy głos.

Czyjeś ręce obmacały Balengera.

—Znalazłem komórkę.

—Ja też. Wszyscy mają komórki.

—Przestań mnie dotykać! - krzyknęła Córa.

—Kurczę, musimy się tylko upewnić, że nie masz broni.

—W bieliźnie?

—Zostawcie ją w spokoju! - krzyknął Rick i chwilę później jęknął z bólu. - O Jezu, mój nos. Chyba złamałeś mi nos.

—Taki miałem zamiar - odparł trzeci głos. - Czy ktoś chce się jeszcze na coś poskarżyć?

Na podeście zapadła cisza. Słysząc było tylko świszczący nad nimi wysoko wiatr.

- Nareszcie nabrali ochoty do współpracy – powiedział pierwszy głos. - No dobrze, wszyscy wyciągnijcie przed siebie ręce.

Balenger usłyszał koło siebie niezdecydowane ruchy.

- Hej, nie każcie mi powtarzać dwa razy!

Ruchy stały się szybsze. Balenger wyciągnął

ręce. Prawa bolała go w miejscu, w którym oberwał, ale nie była złamana.

- Teraz przyciśnijcie do siebie nadgarstki.

Balenger wiedział, co ich czeka. Przeżył już raz coś podobnego, tyle że wtedy włożono mu na głowę worek. Wciąż mu się to śniło. Chciał krzyczeć, chciał z nimi walczyć. Był jednak kompletnie bezradny. Czując, jak oblewa się potem, starał się nie oddychać zbyt szybko.

Usłyszał zbliżające się kroki. Spodziewał się uderzenia w głowę. Zamiast tego poczuł na nadgarstkach taśmę samoprzylepną i usłyszał odgłos, z jakim odwijala się z rolki, coraz mocniej kępując mu ręce.

—To cię na chwilę unieruchomi - poinformował go drugi głos i kroki oddaliły się.

—Co ty robisz? - zapytała przerażona Córa.

—Przymknij się i nie podskakuj, bo znów wsadzę ci rękę w majtki.

Przez jakiś czas słyhać było tylko chrapliwy oddech Córy i odgłos odwijanej taśmy.

—Kto następny. Może nasz kochaś ze złamanym nosem? Ponownie rozległ się odgłos dartej taśmy.

—Teraz ty, koleś.

Balenger nie wiedział, czy te słowa odnoszą się do Vinniego czy do profesora.

- Hej, ten dziadek jest nieprzytomny - oznajmił drugi głos.

Zemdlał z bólu, kiedy padając na podłogę, uraził ranną nogę, pomyślał Balenger. Wściekłość pomogła mu zapomnieć na chwilę o strachu, odsunąć od siebie to dławiące uczucie, że ma znowu zawiązany na głowie worek.

- Jest tak poobijany, że nie może nam zrobić nic

złego - ocenił trzeci głos.

- Tak czy owak zwiąż mu nadgarstki.

Profesor jęknął.

- No dobra - powiedział pierwszy głos. –

Możemy zapalić światło.

Balenger poczuł ruch powietrza przy swojej twarzy. Czyjaś ręka sięgnęła do lampy przy jego kasku. Oślepiony nagłym błyskiem zmrużył oczy. Przed sobą zobaczył wielką sprzączkę i pasek, za który wciśnięta była metalowa rurka. To właśnie nią musiał uderzyć mnie w rękę, pomyślał. Brudne czarne spodnie. Usmolony płaszcz dżinsowy.

Zapaliły się lampy przy innych kaskach, wszystkie z wyjątkiem lampy profesora. W krzyżujących się snopach światła ukazało się trzech młodych mężczyzn. Podnosząc wzrok ku jednemu z nich, Balenger usłyszał głośnie westchnienie Córy. A potem sam też zobaczył, co ją zaskoczyło, i poczuł, jak lodowate ciarki przechodzą mu po karku.

Mężczyźni mieli na oczach noktowizory, które upodabniały ich do postaci z fantastycznonaukowego thrillera. Masywne gogle wydawały się wyrastać z ich twarzy. „Nam się tu podoba. Czujemy się po ciemku jak w domu. Zobacz, batoniki”.

- Zaskoczeni? - zapytał pierwszy mężczyzna.

Balenger był zaskoczony, ale czymś innym. Pierwszy mężczyzna był wysoki i muskularny, co dodatkowo zwiększało jego podobieństwo do cyborga. Miał ogoloną głowę. Jego twarz i widoczny nad kołnierzem kark pokrywały gęste od splotów czerwone, niebieskie, fioletowe i zielone tatuaże.

—Na co się gapisz? - zapytał Balengera.

—Na gogle.

—To było sprytne, nie? Słyszałem, że dziesięć lat temu kosztowały fortunę i ich sprzedaż kontrolowało wojsko. Ale teraz można je kupić za grosze w każdym sklepie z militariami.

—Można ich użyć do polowania na Bambi albo szpiegowania sąsiadów - oznajmił drugi mężczyzna.

Balenger spojrział w lewo i zobaczył zdejmującego gogle nieco mniej umięśnionego mężczyznę w brudnym czarnym ubraniu. Na lewym policzku miał bliznę po oparzeniu, prawie tak samo białą jak pięcionogi kot albinos. Balenger oceniał jego wiek na dwadzieścia lat. On także był łysy, ale nie miał tatuaży.

—Nic się przed nimi nie ukryje - oświadczył trzeci mężczyzna, zdejmując gogle, które pozostawiły czerwone obwódki wokół jego oczu. Stał między Rickiem i profesorem i chociaż był całkiem słusznej postury, w porównaniu ze swoimi kompanami wydawał się chudy. Był również niższy od pozostałych, którzy mieli chyba ponad sześć stóp wzrostu. On jeden nie był łysy, lecz krótko ostrzyżony w wojskowym stylu. - Noc należy do nas - dodał.

—Są całkiem odjazdowe. Wszystko robi się w nich zielone. - Splecione tatuaże pierwszego mężczyzny sięgały mu niemal do powiek. - To mi przypomina tę piosenkę - dodał i zanucił *It's Not Easy Being Green*.

—To były piękne czasy - potwierdził trzeci facet. - Człowiek oglądał *Ulicę Sezamkową* i niczym się nie przejmował.

—Kiedy ty, kurwa, oglądałeś *Ulicę Sezamkową*.

Gadaj atak szybko, pomyślał Balenger. Czyżby byli naćpani? Starał się opanować drzenie mięśni. Zupełnie tak samo było ostatnim razem. Jeśli pozwolę, żeby górę wziął strach, jestem ugotowany. Bierność oznacza przegraną.

- Czas poznać się bliżej - oświadczył pierwszy facet. - Żeby nasi nowi znajomi mogli się z nami zaprzyjaźnić, tak jak w tym... Jak on się nazywa? Syndromie Szwecji. Czy nie tak właśnie to się nazywa? - zapytał leżącego na podłodze Balengera.

- Syndrom sztokholmski - odparł Balenger.

Pierwszy facet kopnął go w lewą nogę.

Balenger złapał się za nią i jęknął.

—Kto cię, kurwa, pytał? - zapytał pierwszy facet. - Jestem pewien, że nazywali go syndromem Szwecji w tym filmie z Kevinem Spacey, który oglądaliśmy kilka dni temu.

—To był *Negocjator* - powiedział drugi mężczyzna.

—Taki był tytuł? Pamiętam tylko, że zakładnicy stale usiłowali zaprzyjaźnić się z porywaczem. A może ten syndrom Szwecji był w jakimś innym filmie? Bo to jest syndrom Szwecji, zgadza się?

—Zgadza się - odparł Balenger.

—No widzisz. Więc poznamy się. Ja mam na imię Tod. A to jest...

—Mack - oznajmił facet z blizną po oparzeniu na policzku.

—Możecie mi mówić JD - powiedział młodszy mężczyzna, ten z krótko ostrzyżonymi włosami. Wyglądał na jakieś osiemnaście lat.

—A ty jesteś...? - zwrócił się Tod do Balengera.

—Frank.

Tod spojrział pytająco na innych.

—Vinnie.

—Rick. - Ze złamanym nosem Rick mówił tak, jakby miał fatalnie obłożone zatoki.

—A ty jak masz na imię, kiciu? - zapytał Mack, zwracając się do Córy i pocierając swoją ogoloną głowę, jakby doznawał przy tym erotycznej przyjemności.

—Córa.

—Śliczne imię.

—A ten dziadek? - zainteresował się JD.

—Bob. Ma na imię Bob. - Balenger spojrział ze współczuciem na półprzytomnego profesora, na jego obwiązaną taśmą obnażoną nogę i zaschniętą krew.

- Miło was poznać. Tak się cieszymy, że znaleźliście dla nas chwilę. Jakies pytania?

Nikt nic nie powiedział.

- No dalej. Na pewno macie jakieś pytania. To jest odpowiedni moment. Możecie mnie pytać o wszystko. Nie gryzę.

Mack i JD zachichotali.

—Zadaj mi jakieś pytanie, Frank - poprosił Tod.

—Obserwowaliście nas, kiedy schodziliśmy do kanału?

—Tak. Próbowaliśmy odkryć, jak się dostać do tego budynku. Tych cholernych metalowych drzwi i okiennic nie sposób wyważyć. Mury są tak mocne, że starając się je rozwalić, narobiliśmy mnóstwo hałasu. Usłyszeli by go nawet ci, którzy normalnie nie zwracają na nic uwagi. A poza tym mogliby odnaleźć wyłom, który zrobiliśmy. Włamałoby się do środka i ukradli różne rzeczy, zanim zdążylibyśmy to zrobić sami.

—Albo zauważyłby to facet, który tu przychodzi - powiedział JD.

On jeden z całej trójki nie miał fizjonomii, na widok której Balengera przechodziłyby ciarki.

—Jaki facet? - chciał wiedzieć Vinnie.

—Widzisz, atmosfera się ociepla. Zadają nam pytania. Taki jeden facet... - odparł Tod i na jego twarzy poruszyły się tatuaże.

—...pojawił się tutaj dwa razy w nocy - powiedział Mack, odrywając na chwilę wzrok od Córy.

—Co robił? - zapytał Balenger.

Trzeba podtrzymywać rozmowę, pomyślał. Dopóki rozmawiają, nie robią nam krzywdy.

—Po prostu łąził wokół budynku. Sprawdzał

mury i ewentualne wejścia. Obserwowaliśmy go przez noktowizory z zarośli po drugiej stronie ulicy. Wyglądało, jakby sprawdzał, czy wszystko jest zamknięte.

—Może to strażnik?

—W Asbury Park, w rejonie plaży? - zapytał Mack. - Nie rozśmieszaj mnie.

—Ale nie był kimś z naszej branży - powiedział JD. - Miał krawat, garnitur i palto. Porządny aż do bólu.

—Może pracuje dla firmy rozbiórkowej - zasugerował Balenger.

—To ta głupia historyjka jest prawdziwa?

—Za tydzień ten budynek zostanie opróżniony. A potem pójdzie pod kilof.

—Wygląda na to, że w ostatniej chwili pokazaliście nam, jak wejść. Jeszcze jakieś pytania? Macie teraz szansę. Pytania? Pytania?

—Czy mogę do niego podejść i sprawdzić, jak się czuje? - zapytał Balenger, wskazując profesora.

—Nie. Co zresztą mógłbyś dla niego zrobić?

—Na początek, jeśli ma atak serca, mógłbym zastosować resuscytację krążeniowo-oddechową.

—Masz na myśli metodę usta-usta?

—Tak.

—Jesteś dzielniejszy ode mnie.

—Mógłbym go przynajmniej wygodniej ułożyć. Leży na rannej nodze.

- Obrócić go na plecy? Myślisz, że to coś da?

Balenger nie odpowiedział.

- Do diabła, jeśli takie to dla ciebie ważne... - JD podszedł i obrócił profesora na plecy.

Conklin jęknął. Nagły ruch sprawił, że odzyskał przytomność i powoli pokręcił głową. A potem otworzył oczy i mrużąc je, skupił z przerażeniem wzrok na trzech mężczyznach.

—Widzisz? I po problemie - powiedział Mack.

—Pytania? Pytania? - powtórzył Tod. - Nie ma więcej pytań? Doskonale. Mieliście swoją szansę. Teraz moja kolej. Oto moje pytanie.

Jesteście gotowi? To trudne pytanie. Na pewno
jesteście gotowi?

Cisza.

- Jak mamy zdecydować, kogo z was zabić?

1.00

Balenger wpatrywał się w zegarek Toda, próbując zająć myśli czymś innym, opanować targające nim emocje. To był sportowy zegarek, z wieloma tarczami i cyferblatem zabezpieczonym czarną gumą. Przekręcając głowę, dostrzegł, że jest pięć po pierwszej. Serce biło mu tak mocno, że miał wrażenie, iż wypełnia całą klatkę piersiową.

—Kto to będzie? - zapytał Tod. - Może ktoś zgłosi się na ochotnika? Nie? W takim razie będzie chyba o tym musiał zdecydować JD.

—Trudna sprawa - powiedział JD. - Popatrzmy. Entliczek, pętliczek... bęc!

Poderwał nagle Ricka z podłogi, złapał go za kark i za pasek i pchnął w stronę balustrady.

- Nie! - krzyknęła Córa.

Rick zawył. Kiedy był już prawie nad balustradą, JD szarpnął go mocno za pasek, obrócił z powrotem i cisnął na podłogę.

Przerażona Córa podniosła do ust rękę obwiązaną taśmą. Rick miał popielatą twarz. Pierś unosiła mu się w spazmatycznym oddechu.

- Czy wszyscy są wystarczająco skupieni? - spytał Mack.

Od uderzających na przemian fal zimna i gorąca Balengerowi zrobiło się niedobrze.

-Damy wam kilka prostych instrukcji - oświadczył JD. - Chciałbym wiedzieć, czy uda wam się do nich zastosować bez większych kłopotów.

Rick pokiwał słabo głową. Krew ciekła mu z nosa na wiatrówkę.

- Oto one - powiedział Tod. - Wszyscy powoli wstaniecie. Żadnych szybkich ruchów. Nic, co mogłoby sugerować, że macie zamiar się na nas rzucić.

Nie mogąc odepchnąć się dłońmi od podłogi, uklękli, a następnie chwiejąc się, stanęli najpierw na jednej, a potem na dwóch nogach.

Balengerowi zakręciło się w głowie. Bolały go brzuch, noga i przedramię.

—Ciągle mówiliście o jakimś sejfie - oświadczył Mack.

—Według was zainstalował go jakiś gangster - dodał JD. - Są tylko trzy powody, żeby to zrobić. Pieniądze, broń albo narkotyki.

—Sześćset dziesięć. - Mack pomasaował swoją łysą głowę. - Mówiliście, że taki jest numer jego apartamentu. Idziemy. Zajrzymy tam.

Balenger wskazał leżącego na podłodze profesora.

- Musimy mu pomóc wejść po schodach.

- Nie - odparł Tod. - On nigdzie się nie wybiera. JD otworzył nóż.

—Tak, jest najsłabszym ogniwnem. To jego zabijemy, żebyście potraktowali nas poważnie.

—Zaczekajcie! - zawołał Balenger, czując, jak chwytą go skurcz. - Profesor zgromadził wszystkie informacje. Jest ekspertem od tego hotelu. Pomoże wam dostać się do sejfu.

Tod, Mack i JD wymienili spojrzenia.

—Skąd ta pewność? - zapytał Mack.

—Ponieważ dlatego właśnie poprosił mnie,

żebym dołączył do grupy.

Rick, Córa i Vinnie wyprostowali się.

- Nie jesteś wcale reporterem - powiedział Rick,
piorunując go wzrokiem.

Balenger wzruszył ramionami.

—Oglądałem kiedyś *Wszystkich ludzi prezydenta* - odparł.

—Ty sukinsynu! - wybuchła Córa.

—Conklin stracił swój profesorski etat. Zachował prawo do emerytury, ale stracił ubezpieczenie zdrowotne. Jak widzicie, ma kłopoty z sercem. Nie ma mowy, żeby zdołał opłacić z emerytury leczenie, którego potrzebuje. Jest zdesperowany. Poprosił mnie, żebym dołączył do grupy i zapamiętał, jak dostać się do hotelu i otworzyć sejf. Później miałem tu wrócić sam, otworzyć sejf i zabrać wszystko, co w nim jest.

—A co tam właściwie jest? - chciał wiedzieć Mack, podchodząc bliżej do Balengera.

—Jeśli informacje profesora są prawdziwe? - Balenger zawahał się. - Złote monety.

—Złote...

—Dowiedziałem się od profesora wielu rzeczy. Zwłaszcza o amerykańskich złotych monetach. O dziesięcio - i dwudziestodolarówkach zaprojektowanych przez... niech się zastanowię... Augustusa...

—Saint Gaudensa - dokończył za niego Vinnie.

—Tak. Tak właśnie się nazywał. Dziesięciodolarówki były nazywane orłami. Dwudziestodolarówki - podwójnymi orłami. Aż do wielkiego kryzysu ludzie używali ich jako środka płatniczego. Ale potem przyszedł czarny piątek.

—Jaki czarny piątek, do cholery? - zapytał Tod.

—Wielkie załamanie na giełdzie w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku - wyjaśniła Córa.

Serce Balengera nie było już tak gorączkowo. To właściwa taktyka, pomyślał. Trzeba podtrzymać rozmowę.

—Do rzeczy - mruknął Mack, pocierając bliznę na policzku.

—Na początku lat trzydziestych - podjęła Córa - amerykańska gospodarka była w tak marnym stanie, że rząd bał się, iż zbankrutuje. Żeby utrzymać płynność dolara, zniesiono jego parytet w złocie.

—Mów po ludzku, kiciu.

—Przed wielkim kryzysem wartość dolara była oparta na wartości złota, które Departament Skarbu miał w swoich rezerwach - powiedziała. - W teorii można było pójść do banku, położyć trzydzieści pięć dolarów i poprosić o ich równowartość w złocie. Ale w trakcie wielkiego kryzysu władze uznały, że dolar będzie wart tyle, ile rząd zdecyduje, że jest wart, niezależnie od tego, ile złota będzie w skarbcu. Znieśliśmy więc parytet w złocie. To oznaczało, że nie mogło już być ono używane jako środek płatniczy. Na mocy ustawy o rezerwach złota z tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku prywatnym obywatelom nie wolno już było mieć złotych monet i sztabek. Z wyjątkiem biżuterii całe złoto miało zostać przekazane Departamentowi Skarbu.

—Rząd ukradł całe złoto? - zdziwił się JD.

—Ludzie, którzy oddali monety i sztabki, dostawali kwity, które mogli dołączyć do swoich rachunków bankowych. Od tego czasu Amerykanin mógł mieć złotą monetę tylko pod warunkiem, że traktował ją jako numizmat. Mógł na nią patrzeć. Mógł ją trzymać w ręku. Ale nie mógł kupić za nią benzyny na stacji.

—W dzisiejszych czasach z pewnością nie udałoby się zatankować samochodu za nominalną wartość złotej dwudziestodolarówki - powiedział Balenger. Podtrzymuj rozmowę, powtarzał sobie.

—Co z tym gangsterem? - zapytał Tod, dotykając palcami metalowej rurki za paskiem.

—Carmine Danata działał w szalonych latach dwudziestych - odparł Balenger. - Znany był

między innymi z tego, że dawał złote monety swoim ulubionym dziwkom. Kiedy wybuchł wielki kryzys, doszedł do wniosku, że rząd chce wszystkich okraść, zabierając im złote monety i sztabki. Dlatego nigdy nie oddał swoich monet. Zamiast tego zaczął je gromadzić. W końcu miał tyle kryjówek, że nie mógł ich wszystkich zapamiętać. Wtedy właśnie, w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym, zainstalował sejf w swoim apartamencie.

—Twierdzisz, że wciąż są tam te złote monety?

- Maćkowi zaświeciły się oczy.

—Danata zginął na Brooklynie podczas strzelaniny w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku - powiedział Balenger. - Apartament był wynajmowany tylko jemu. Zapłacił za rok z góry. Nazywał go „swoją grzędą”. Po jego śmierci właściciel hotelu...

—Carlisle. Słyszeliśmy, jak o nim mówiliście. Popapraniec z większą kasą, niż na to zasługiwał.

—...nigdy nie wynajął apartamentu nikomu innemu - dokończył Balenger. - Od tysiąc dziewięćset czterdziestego do sześćdziesiątego ósmego, kiedy hotel zamknięto i Carlisle został w nim sam, apartament był przez cały czas wolny. Carlisle lubił szpiegować ludzi, lubił karmić się ich życiem. Profesor podejrzewał, że Carlisle zachował apartament w stanie, w jakim znajdował się on za życia Danaty. Jego zdaniem Carlisle'a podniecało to, że ma tajny skład złotych monet, że może im się przyglądać do woli sam jeden. Podobno są piękne: po jednej stronie wzbijający się do lotu orzeł, po drugiej Statua Wolności.

—Chory popapraniec nie próbował ich przemycić z kraju i zamienić na gotówkę? - zapytał Mack.

—Miał agorafobię. Bał się opuścić hotel. Inny kraj był dla niego niczym inna planeta. I po co wymieniać monety na gotówkę, której się nie potrzebuje, skoro czerpie się przyjemność z posiadania największej liczby złotych monet, jaką ktokolwiek widział od roku tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego?

Zaglądnając dziś w nocy do kilku pokojów, odkryliśmy, że Carlisle obsesyjnie starał się je zachować w stanie, w jakim były, gdy opuścili je ostatni goście. Może zaczął to robić już w tysiąc dziewięćset czterdziestym, kiedy zginął Danata.

—Jaka jest dzisiaj cena złota?

—Ponad czterysta dolarów za uncję.

—Moglibyśmy stopić te monety i...

—Dużo byście na tym stracili. Podwójny orzeł, ważący mniej niż uncję, na rynku kolekcjonerskim jest wart prawie siedemset dolarów.

—Jezu...

—Ale to nie wszystko - dodał Balenger. - Podwójnego orła z tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku wybito tuż przed zniesieniem przez Stany Zjednoczone parytetu w złocie. Zanim wypuszczono monety na rynek, stały się nielegalne i trzeba je było zniszczyć. W większości. Kilka ukradziono. Ostatnio jedna ze skradzionych monet została odnaleziona przez rząd i wystawiona na aukcji w Sotheby. Sprzedano ją za niemal siedem milionów dolarów.

—Siedem...?

—Milionów dolarów. Krążą słuchy, że Danata miał pięć takich monet.

W oczach Toda zaślniło światło lamp.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę ten sejf
- powiedział, dając wszystkim znak, żeby ruszali.

- Pomóż mi podnieść profesora - powiedział Balenger do Vinniego.

Vinnie spiorunował go wzrokiem - najwyraźniej nie mógł darować Balengerowi, że ich okłamał. Świadomość tego, co im grozi, oraz sympatia do profesora sprawiły jednak, że szybko się opanował. Już po chwili zorientowali się, jak bardzo ogranicza ich ruchy taśma, którą związano im ręce. Metodą prób i błędów odkryli, że mogą unieść profesora, wsuwając mu dłonie pod pachy. Ponieważ on również miał skrepowane nadgarstki, nie mógł im pomóc. Podnieśli go z wysiłkiem.

Conklin jęknął, ale udało mu się ustać na zdrowej nodze.

—Bardzo źle pan się czuje? - zapytał Balenger.

—Jeszcze żyję. - Profesor zaczerpnął z trudem powietrza. - W tych okolicznościach nie ma sensu się skarżyć.

—Czy to prawda? - zapytał Vinnie. - Że pan i ten facet mieliście zamiar zabrać złote monety?

—Nie jestem chodzącym ideałem - mruknął Conklin. - To jest coś, z czego musicie zdawać sobie sprawę, gdy myślicie o swoich nauczycielach. Ale kiedy słuchałem, jak opowiadaliście o ustawie z tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego... a także o Saint Gaudensie. Zapamiętałeś, kim był Saint Gaudens, Vinnie.

- I mieliście zamiar podzielić te pieniądze?
Między siebie?

Starszy mężczyzna spojrzał na niego
zawstydzony.

—A zgodziłbyś się wziąć w tym udział? Przez
cały czas upieraliśmy się, żeby robić tylko
zdjęcia i niczego nie ruszać. Teraz nie tylko
złamalibyśmy tę zasadę, ale popełnilibyśmy
poważne przestępstwo. Zaryzykowałbyś
spędzenie reszty życia w więzieniu czy
doniósłbyś o wszystkim władzom?

—Pan był gotów zaryzykować więzienie.

- W tym momencie nie mam zbyt wiele do
stracenia.

Mack i JD zapakowali sprzęt do plecaków,
wypełniając je tak szczelnie, że wszystko zmieściło się
w trzech zamiast w pięciu. Ęutelki z moczem zostały na
podłodze. Mack wsadził za pasek pistolet na wodę.

- Dawno nie miałem żadnej zabawki - wyjaśnił.

On wziął jeden plecak, JD drugi, Tod trzeci.
Gogle noktowizorów wisiały im na szyjach.

- Zrobimy tak - oznajmił Tod, poprawiając
jedną ręką paski plecaka, a w drugiej trzymając pistolet
Balengera. – Ja będę szedł pierwszy, tyłem, trzymając
was na muszce. Mack i JD będą szli za wami, ale w
pewnej odległości. Dzięki temu nie będziecie mogli
rzucić się i zepchnąć ich ze schodów. Jeśli spróbujecie
jakichś numerów, Mack i DJ padną na stopnie, a ja
zacznę strzelać. Nie dbam o to, czy któryś z was wie
coś na temat sejfu: jeśli będziecie niegrzeczni, zastrzelę
was, a potem obszczam za to, że mnie wkurzyliście.

Tod ruszył korytarzem, minął drzwi prowadzące
na schody przeciwpożarowe i zaczął po nich tyłem
wchodzić. Następni szli Balenger i Vinnie, niezgrabnie
podtrzymując profesora skrępowanymi taśmą rękoma,

za nimi Rick i Córa, i na samym końcu Mack i JD. Ich kroki odbijały się głośnym echem w zamkniętej przestrzeni.

—Teraz, skoro już wiesz, że nie jestem reporterem - powiedział Balenger do Vinniego - chciałem cię o coś zapytać.

—O co chodzi?

—Mówiłeś o kompozytorze, który napisał *On the Banks of Wabash* i *My Gal Sal*. Powiedziałeś, że był bratem Theodore'a Dreisera, jakby to było strasznie ważne. Kim, do diabła, był Theodore Dreiser?

—Napisał *Siostrą Carrie*.

—Jaką siostrę? - Nie przestawaj mówić, powtarzał sobie Balenger. Nawiąż z nimi bliski kontakt.

—To jedna z pierwszych amerykańskich powieści naturalistycznych. - Vinnie zrozumiał chyba, do czego zmierza Balenger. - Akcja toczy się w slumsach Chicago. Bohaterką jest kobieta, która musi sypiać ze wszystkimi, żeby przeżyć.

—Wygląda mi to na autentyk - mruknął Mack w mroku za ich plecami.

—Przewodnim motywem jest pesymistyczny determinizm - podtrzymywał rozmowę Vinnie. - Bez względu na to, co robimy, nasze ciała i otoczenie skazują nas na zagładę.

—Tak, to szczerą prawdą - zgodził się Mack.

Udało się, pomyślał Balenger. Wspinając się do góry, poczuł, jak profesor skurczył się z bólu.

—Powieść została opublikowana w roku tysiąc dziewięćsetnym, na rok przed otwarciem tego hotelu - kontynuował Vinnie. - Przedtem wiele amerykańskich powieści opowiadało o ciężkiej pracy zwieńczonej sukcesem, czyli o tym, co William Dean Howells nazwał „radosnymi aspektami amerykańskiego życia”.

—Chętnie zapytam cię, kim był ten Howells - powiedział Balenger, pomagając profesorowi się wyprostować.

—Ale Dreiser dorastał w strasznej biedzie. Widział dość cierpień, żeby stwierdzić, że

amerykański sen to oszustwo. Żeby to podkreślić, nadał jednej ze swoich powieści tytuł *Tragedia amerykańska*. Siostrą *Carrie* opublikowało wydawnictwo Doubleday, ale kiedy żona Doubledaya przeczytała tę książkę, była zszokowana i przekonała męża, żeby zatrzymał

wszystkie egzemplarze w hurtowni i ich nie rozpowszechniał. Powieść została powtórnie wydana dopiero parę lat później i stała się klasykiem.

—Rozumiem, że będę musiał ją przeczytać - powiedział Balenger.

—Niekoniecznie - odparł Vinnie. - Historia jest bardzo sugestywna, ale styl okropny. O tym, jak Dreiser wyobrażał sobie wykwintną prozę, świadczy nazwanie baru „naprawdę klawą knajpą”.

Idący za nimi JD roześmiał się.

Spowalniani przez Conklina dotarli na piąte piętro i powlekli się wyżej. Balengera niepokoił chrapliwy oddech profesora. Zastanawiał się, czy nie dać susa w górę i nie spróbować wyrwać pistoletu Todowi. Dzielił go jednak od niego zbyt duży dystans, a klatka schodowa była zbyt ciasna. Mógł zacząć strzelać, ale Mack i JD użyliby noży i zarżnęli tych, którzy nie mieli gdzie uciec. To byłaby masakra. Balenger uznał, że nie jest to odpowiedni moment.

—Ta siostra Carrie przypomina mi dziewczynę z filmu, o którym wspomniała nasza kicia - powiedział Mack. Balenger domyślił się, że mówi o Córce. Poczł, jak rośnie w nim gniew. - Tego filmu, w którym grali *Moon River*. Jaki on miał tytuł, kiciu?

—Przestań mnie dotykać.

—Jaki tytuł miał ten film?

—*Śniadanie u Tiffany'ego*.

—Zgadza się. Cholera, zanim obejrzałem go kiedyś w telewizji, myślałem, że to taki restauracyjny film w rodzaju *Mojego obiadu z pieprzonym Andre*. Ale nie, to o tej porąbanej dziewczynie. Jak ona się nazywała, kiciu?

—Holly Golightly.

—Nawet nazwisko miała porąbane. Holly Podpuszczalska. Tak powinna się nazywać. Podpuszczała facetów, żeby zapraszali ją do ekskluzywnych restauracji. Oni naturalnie spodziewali się, że wskoczą zaraz do jej łóżka. Ale ona po zjedzeniu bajecznej kolacji prosiła ich o drobne, żeby pójść do klopa. Nigdy nie byłem w klopie, za który musiałbym bulić, ale rozumiem, że bogatym to nie przeszkadza. A potem wymykała się z restauracji i faceci nigdy nie dostali tego, za co zapłacili. Nie spała z nimi, ale dla mnie to normalna dziwka.

Dotarli na szóste piętro.

- Gdzie jest numer sześćset dziesięć? - zapytał

Tod.

W świetle ich lamp ukazały się drzwi z zaśniedziałymi cyframi.

—Po prawej stronie jest sześćset dwadzieścia dwa - powiedział JD, oświetlając wyrastające z podłogi drzewo.

—W takim razie sześćset dziesięć jest po drugiej stronie - wywnioskował Tod i dał pistoletem znak grupie, żeby skręciła w ciemny korytarz po lewej stronie.

—I to głupie zakończenie - kontynuował Mack.
- Bohater jest podobno sprytnym pisarzem. Wie, że tej cipie płacą, by przekazywała wiadomości siedzącemu w kryminale gangsterowi. Wie, że Holly zamierza wyjść za południowoamerykańskiego milionera, żeby położyć ręce na jego szmalu. I mimo to ten palant się w niej zakochuje. W końcu chodzą w deszczu tą alejką, szukając kota, którego wyrzuciła, znajdują kota i zaczynają się całować. Muzyka robi się płaczliwa, a ja myślę

sobie: Uciekaj, głupi palancie! Uciekaj od tej kurwy, ile masz sił w nogach! Złamię ci serce i rzuci, kiedy tylko zobaczy pierwszego faceta z forszą!

—A oprócz tego jak ci się podobał film? - zapytał ze śmiechem JD.

—Niech to wszyscy diabli! - krzyknął nagle Vinnie. - Pewnie, że bym z wami poszedł! - Był taki wściekły, że nie potrafił się opanować. - Wystarczyłoby, żeby profesor mnie poprosił i bym z wami poszedł! Myślisz, że nie potrzebuję kasy? Zarabiam nędzne grosze w szkole, w której uczniowie biją nauczycieli za to, że ci ośmielają im się zadać pracę domową. Nie mam bogatych rodziców tak jak Rick. Mój ojciec

umiera na rozedmę płuc! Nie ma ubezpieczenia zdrowotnego. Bez przerwy płacę rachunki za jego cholerne leczenie! Gdyby mnie pan poprosił, poszedłbym z wami!

—Oto facet, który wie, że forsa to podstawa - powiedział Mack. - Kiedy masz szmal, możesz nie tylko zapłacić za leczenie swojego starego. Możesz mieć Holly Podpuszczalską.

—Gównu mnie to obchodzi - mruknął Tod. - Tu jest pokój sześćset dziesięć.

Wywieszka informowała NIE PRZESZKADZĄĆ. Tod przekreślił klamkę i pchnął drzwi.

—Zamknięte - oznajmił.

—Wcale mnie to nie dziwi. - Balenger nadal starał się podtrzymać rozmowę.

—A to dlaczego?

—Córa i Rick nie mogli znaleźć kluczy do kilku pokoiów.

—No cóż, jeśli ciekawi cię, dlaczego ty i twoi kumple wciąż żyjecie, jednym z powodów jest to, że wy będziecie odwalać czarną robotę, a my będziemy się opalać.

—Ale to nie jest jedyny powód - dodał Mack, zerkając na Córę.

—No i dziadek pomoże nam dostać się do sejfu - powiedział JD. - Połóżcie go na podłodze.

Balenger i Vinnie posłuchali go, starając się jak najwygodniej ułożyć profesora. Balenger odetchnął z ulgą, mogąc w końcu swobodnie stanąć. Żałował, że nie ma wolnych rąk, żeby rozmasować ramiona.

—A teraz otwórzcie te drzwi - polecił Tod, zapalając latarkę.

—Jak?

Tod wycelował do niego z pistoletu. Światło latarki raziło Balengera w oczy.

—Naprawdę nie znoszę, kiedy się ze mną nie zgadzasz.

—Rick. Vinnie. Pomóżcie mi.

Zakrwawiony nos Ricka spuchł do podwójnych rozmiarów. Balenger stanął razem z nim i Vinniem przy drzwiach do apartamentu. Mimo skrepowanych nadgarstków Vinniemu udało się przekręcić klamkę.

- Ja będę ją trzymał, a wy spróbujcie wyważyć drzwi - powiedział.

Mack roześmiał się.

- Brzmi ucziwie. Oni będą wypruwać sobie żyły, a ty stoisz i patrzysz.

Balenger Rick walnęli barkami w drzwi. Ściana zadrżała. Cofnęli się o krok i uderzyli jeszcze raz. Drzwi nawet się nie ugięły.

—Mają chyba metalowy rdzeń. - Balenger czuł pulsujący ból w ramieniu.

—Mogą mieć rdzeń z kryptonim, nieważne. Macie je otworzyć.

—Teraz ja potrzynam klamkę - powiedział Rick, odsuwając Vinniego na bok.

Vinnie dołączył do Balengera. Cofnęli się i zaszarżowali, napierając na drzwi całym swoim ciężarem.

—Możemy w nie walić przez okrągły dzień - ocenił Balenger. - Nie ustąpią.

—Lepiej pomyślcie, jak je otworzyć - powiedział Tod - bo zaczynam tracić cierpliwość, a kiedy tracę cierpliwość...

—Łom.

—Aha. Łom.

—To jedyny sposób. Albo młotek.

—Młotek - powtórzył Mack. - Może chcielibyście kilka noży, żeby przeciąć ścianę. Albo pistolet, żeby przestrzelić zamek.

—Nie sędę, żeby to coś dało.

—Miło mi to słyszeć - rzekł JD. - Przez sekundę wydawało mi się, że chcecie, żebyśmy wam oddali broń.

—Tylko łom, jeśli chcecie, żebyśmy otworzyli te drzwi.

—Pewnie, że chcemy. Zdecydowanie. Kto ma łom?

—Ja - odparł Mack. Jego ogolona głowa lśniła w świetle lampy Balengera.

—Wyjmij go.

—Proszę bardzo.

Mack wyciągnął łom z plecaka.

—Nie chodzi wam chyba po głowie, żeby użyć go przeciwko nam, chłopcy?

—Chcemy tylko zrobić to, co nam kazaliście.

—Ponieważ wiecie, co się zdarzy, jeśli spróbujecie go użyć przeciwko nam?

—Wiemy.

—Nie, nie sędę, żebyście to wiedzieli - doszedł do wniosku JD. - Powinienem wam to chyba zademonstrować.

Zbliżył się do grupy, po czym złapał nagle Ricka za kark i za pasek na plecach.

- Hej, co ty...

Ale JD rozpędzał się już, pchając Ricka w stronę galeryjki.

- Nie! - zawołał Balenger.

Podbiegając do balustrady, JD nie obrócił tym razem Ricka z powrotem. Zamiast tego przyśpieszył kroku, po czym nagle zatrzymał się i zrzucił go z galeryjki.

- Niiieeeee!

Rick zniknął i po chwili ucichł w mroku jego rozpaczliwy krzyk.

Cisza.

Z dołu dobiegł ich stłumiony odgłos uderzenia.

Balengerowi przestało bić serce. Miał wrażenie, że wisi gdzieś w przestrzeni. Stał jak sparaliżowany.

Ciszę przerwał JD, który spojrzał na hol sześć piętér niżej.

—Wiecie co? Widzę tam żarzące się na dole małe światełko. Lampa przy jego kasku przetrwała upadek.

—Jak brzmiał ten stary dowcip? - zapytał Tod. - To nie upadek cię zabija. To lądowanie.

—No cóż, kiciu, wydaje mi się, że będziesz teraz słuchała muzyki ze mną - oświadczył Mack.

Córa osunęła się na podłogę. Jej usta poruszały się, wymawiając tylko jedno słowo: „nie”.

Balenger prawie jej nie słyszał. W świetle swojej lampy widział jej rozgorączkowane oczy.

- Nie - szeptała.

Oczy wyszły jej z orbit. Ściągną na szyi naprężyły się niczym liny. Jej krzyk wypełnił całe szóste piętro, zagłuszając świst wiatru, który wiał przez szpary w świetliku piętro wyżej.

—NIE!

—W porządku, dobrze, wiemy już, o co chodzi.

- Tod zaświecił jej latarką prosto w oczy. -

Brakuje ci go. Przywyknij do tej myśli i zamknij się, bo sama polecisz na dół!

—Nie wcześniej, niż z nią skończę - zastrzegł Mack.

—NIE!

—Niech ktoś każe jej się przymknąć - mruknął Tod. - Nie żartuję. Jeśli nie przestanie...

Balenger podszedł do miejsca, w którym Córa osunęła się na podłogę.

- Córa.

Dziewczyna krzyczała dalej.

—Córa. - Balenger położył jej swoje skrępowane taśmą dłonie na lewym ramieniu. -
Przestań.

—NIE!

- Córa. - Balenger trącił ją. - Natychmiast przestań.

Łzy płynęły jej po twarzy. Śluz kapał z nosa, ślina sączyła się z otwartych ust.

- Córa.

Balenger zdołał złapać ją za ramię. Potrząsnął nią raz, a potem drugi, mocniej. Jej ciało przypominało szmacianą lalkę, głowa latała do przodu i do tyłu.

Balenger uderzył ją w twarz i nagle umilkła.

Na jej policzku został czerwony ślad. Robiła wrażenie oszołomionej. Nadal miała szeroko otwarte oczy, ale nawet nie zamruwała, oparła się tylko z jękiem o ścianę.

—Nie musiałeś jej tak mocno bić - powiedział z goryczą Vinnie.

—Przynajmniej się zamknęła, tak? - odezwał się Tod. - Za chwilę poleciałaby w dół, przysięgam.

Profesor leżał przerażony na podłodze. Mack poklepał się łomem po otwartej dłoni.

- Więc teraz wiecie, co się zdarzy, jeśli spróbujecie użyć go przeciwko nam. Drzwi mają być otwarte - zarządził, po czym położył łom na podłodze i cofnął się.

Balenger starał się za wszelką cenę opanować emocje. Drżącymi rękoma podniósł łom, wsunął go między drzwi i framugę, zaparł się i pociągnął. Drewno zaczęło pękać.

—Nie - wystękał profesor. - My nie niszczymy przeszłości.

—My ją tylko okradamy. Prawda, tatuśku? - zakpił JD.

- Pomóż mi, Vinnie - poprosił Balenger.

Zszokowany Vinnie złapał łom tuż przy jego dłoniach. Jemu też drżały ręce. Obaj mocno pociągnęli. Trzasnęło i chrupnęło. Drewno pękło z hukiem wystrzału karabinowego. Balengerowi zadzwoniło w uszach, kiedy drzwi otworzyły się na oścież. Wewnątrz wabiła ich ciemność.

- Odłóżcie łom i cofnijcie się - polecił Tod.

Balenger posłuchał. Patrzył, jak Mack zabiera łom i wkłada go z powrotem do plecaka.

- Teraz znajdziemy sejf - powiedział Tod.

Balenger i Vinnie podnieśli profesora, który stanął na zdrowej nodze.

- Córa - odezwał się drżącym głosem Vinnie. – Musimy iść.

Ale Córa nie poruszyła się. Nadal leżała oparta o ścianę. Głowa opadła jej na piersi. Lampa przy kasku oświetlała jej kolana. Snop światła poruszał się w rytmie cichego szlochu, który wstrząsał jej ramionami.

- Ja zabiorę ją do środka - zaofiarował się Mack.

Podciągnął ją w górę i obejmując w pasie tuż przy biuście, ruszył w stronę drzwi.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła, próbując się wyrwać.

—Podłoga! - zawołał Balenger, kiedy Mack wchodził z Córą do pogrążonego w mroku

apartamentu.

—Co?

—Musisz najpierw sprawdzić podłogę! W niektórych pokojach są spróchniałe belki. Dlatego właśnie zawaliły się schody.

Mack odskoczył do tyłu.

- Wy trzej wejdziecie pierwsi - powiedział JD.

-Jasne, jeśli podłoga jest spróchniała, stary grubas poleci w dół - dodał Tod.

Vinnie, Balenger i Conklin podreptali do przodu. Uginając się pod ciężarem profesora, Balenger postawił stopę na progu i nacisnął. Drewno wydawało się solidne. Oparł się mocniej, ale w dalszym ciągu nie wyczuwał oznak zniszczenia.

—Gotów? - zapytał Vinniego.

—Czemu nie? - odparł chłopak. - Wygląda na to, że wcześniej czy później tutaj zginiemy.

Promienie ich lamp przesywały ciemność, ukazując pokój większy od tych, które spenetrowali do tej pory. Balenger, którego śmierć Ricka i realna perspektywa własnej wprawiły w kompletne odrętwienie, obrócił kask w lewo i w prawo i zobaczył niewyraźne zarysy mebli. Znajdowali się w salonie apartamentu.

Mack wprowadził Córę, za nimi weszli JD i Tod. Ich latarki i pozostałe cztery lampy stanowiły jedyne oświetlenie, które wyluskało z mroku krzesła, kozetki i stoły, dziwną mieszaninę

czerni, czerwieni i szarości.

—Będą potrzebowali więcej światła, żeby znaleźć sejf - rzekł Tod. - Świeczki. Ktoś mówił coś o świeczkach.

—Ja - mruknął Mack, po czym puścił Córę, która nie ruszając się z miejsca, pochylała się raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby rozpacz wpędziła ją w katatonię.

Zdjął plecak i wyjął z niego plastikową torbę ze świeczkami i wodoszczelnym pudełkiem zapalek. Zapalił jedną z nich i umieścił w chromowanym świeczniku na stoliku przy ścianie. Świeczka zamigotała, a potem zaczęła się palić równym płomieniem. Mack ruszył dalej, zapalając kolejne świeczki i umieszczając je w innych świecznikach bądź też w plackach stearyny, którą polewał stoły. Patrząc na płomyki świec,

Balenger miał wrażenie, że znalazł się w zbezczeszczonym kościele.

Pokój nie różnił się szerokością od tych, które widzieli wcześniej, ale był od nich trzy razy dłuższy. Przeciwległą ścianę zajmowały dwie wielkie okiennice i drzwi - wszystkie metalowe. Balenger wyobraził sobie Danatę spoglądającego przez szerokie okno na promenadę, plażę i ocean. Zdał sobie sprawę, że po śmierci gangstera tym widokiem rozkoszował się prawdopodobnie Carlisle. Ale tylko w nocy. Widok w jasny dzień mógłby go przerazić.

Słyszając za sobą kroki, odwrócił się i zobaczył, że JD wrócił do salonu po sprawdzeniu pomieszczeń po lewej stronie.

- Garderoba i sypialnia - oznajmił. - Łazienka jest za sypialnią. Nie mamy się czego obawiać.

Omiotli światłami pokój, rozjaśniając mrok, którego nie rozproszyły świece.

—Wtedy jeszcze nie było telewizji - mruknął Mack. - Co oni, do diabła, robili z czasem? Facet musiał się tu chyba śmiertelnie nudzić.

—Zajmowali się tym - odparł Balenger, wskazując stojący w kącie stolik z filcowym blatem. Nie przestawaj mówić, powtarzał sobie.

—I tym - dodał Vinnie, idąc za jego przykładem i wskazując okolony czerwonymi obwódkami, czarny prostokątny przedmiot z wystającym półkolem.

—Co to takiego?

—Radio.

—Nieźle je zamaskowali. Co to za błyszczące tworzywo?

—To bakelit - odpowiedział Vinnie. - Wczesny rodzaj plastiku.

—Spójrzcie na te pisma, które leżą otwarte,

jakby Danata wyszedł na chwilę się odlać - powiedział JD. - „Esquire”. „Saturday Evening Post”. Nigdy o nich nie słyszałem.

Mack podszedł do biblioteczki, która zwięzała się na górze niczym drapacz chmur i podobnie jak radio miała czarny kolor i okolona była czerwonymi obwódkami. *Przeminęło z wiatrem. Jak zdobyć przyjaciół i zjednać sobie ludzi.* Danata z pewnością zjednywał sobie ludzi... przystawiając im lufę do głowy.

Balenger wodził wzrokiem po oświetlonym świecami salonie. Nie potrafił dojść do siebie po tym, co zobaczył. Kolejny wehikuł czasu, pomyślał. W jego pamięci rozbrzmiewał krzyk spadającego Ricka.

—Niech ktoś mi powie, co to za meble - polecił Tod.

—Art deco - mruknął profesor.

Nie czekając na pozwolenie, Balenger i Vinnie posadzili go na sofie, która miała czarne winylowe obicia, czarne drewniane lakierowane oparcia oraz pięciocalową chromowaną listwę na dole. Zakurzony szary chrom był jedną z tych rzeczy, które Balenger dostrzegł zaraz po wejściu. Obicia miały czerwone

lamówki.

- To styl, który dominował w architekturze i meblarstwie w latach dwudziestych i trzydziestych dwudziestego wieku - wyjaśnił Vinnie. Miał apatyczny, zrezygnowany głos. Mimo to zmuszał się, by mówić dalej, zdając sobie wyraźnie sprawę, że ich prześladowcy pozwolą mu żyć tak długo, jak długo jest użyteczny. - Nazwa pochodzi od wystawy sztuki, która odbyła się w Paryżu w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym. Exposition International des Arts Decoratifs Industriels et Modernes.

- Mów po ludzku. Vinnie z trudem odetchnął.

—To znaczy Międzynarodowa Wystawa Nowoczesnych i Przemysłowych Sztuk Dekoracyjnych. Sztuki Dekoracyjne, Art Decorations skrócono do art deco. Przemysł i sztuka. Mówiąc w skrócie, starano się, by salon wyglądał jak skrzyżowanie galerii sztuki i fabryki.

—Materiały są przemysłowe. - Znużony profesor odchylił się do tyłu na sofie. On też uświadomił sobie chyba, że nie pożyje długo, jeśli nie okaże się użyteczny. - Szkło, stal, chrom, nikiel, winyl, lakier, ebonit.

- Normalnie niezbyt atrakcyjne - przejął od niego pałeczkę Vinnie. - Ale pokryto je lśniącem fornirem, a kształty, które im nadano, były zaokrąglone i zmysłowe. Spójrzcie na to krzesło. Wygięta w kształt litery S, czarna lakierowana listwa z czerwoną obwódką wygląda jak prężące się ciało. Albo te nóżki ze stalowych rurek, które podtrzymują stolik ze szklanym blatem. Chciałoby się je pogłaskać.

Nie, pomyślał Balenger, przestań mówić w ten sposób. Nie podsycaj seksualnych obsesji Macka.

- Albo ta lampa - kontynuował Vinnie, wskazując ją palcem - z trzema niklowanymi rurkami mocującymi klosz z matowego szkła. Trzy kręgi przypominają tulące się do siebie wargi.

Świece i latarki wyluskiwały z mroku meble, którym miłość do geometrii nadała ponętne kształty kół, owali, kwadratów, trójkątów i pięciokątów.

—Czasami mebel nie wydaje się zmysłowy, choć w gruncie rzeczy taki jest - mówił Vinnie. - Na przykład sofa, na której leży profesor. Lakierowane oparcie i kanciaste brzegi drewnianych poręczy sprawiają wrażenie twardych i niewygodnych. Zaprojektowano je,

żeby wprowadzały w błąd, ponieważ głębokie winylowe obicia są w rzeczywistości bardzo wygodne. Zaskakująco wygodne. Prawda, profesorze?

—Carmine Danata mógł w każdej chwili uciąć sobie tutaj drzemkę.

—Ale ty jej sobie nie utniesz - przerwał im JD. - Zajrzałem do wszystkich pokoi. Gdzie jest sejf?

Conklin otworzył i zamknął usta.

- Stracił dużo krwi - powiedział Balenger. - Jest odwodniony.

JD wyjął z plecaka butelkę z wodą i rzucił mu ją.

- Nawilż go.

Mack zarżał głośno.

Balenger odkręcił nakrętkę i podał butelkę profesorowi, który jednak wcale jej nie zauważył. Balenger musiał przystawić mu ją do ust i pomóc pić. Jeśli nie przetransportujemy go w ciągu kilku następnych godzin do szpitala, w ranę wda się gangrena, pomyślał. Woda kapła profesorowi na brodę.

Korzystając ze sposobności, Balenger podniósł butelkę do ust i sam również wypił kilka łyków letniej wody.

- Gdzie jest sejf? - zapytał Mack.

Upiorny szept Córy sprawił, że wszyscy się odwrócili.

—Księżycowa... - nuciła pod nosem dziewczyna. - Rzeka. - Kołysząc się z boku na bok, słuchała rozbrzmiewającej w jej własnej głowie muzyki, posępnego refrenu melodii, którą grał jej mąż. - Gdziekolwiek pójdziesz... - Jej podpuknięte przekrwione oczy były szeroko

otwarte, ale nic nie wskazywało, by cokolwiek widziała. - Ja pójdę za tobą... - Kiedy przestępowała z nogi na nogę, Balenger nie mógł się oprzeć niesamowitemu wrażeniu, że z kimś tańczy, powoli, pierś przy piersi, policzek przy policzku, ani na chwilę nie opuszczając miejsca, w którym zapuściła korzenie. - Tyle świata... - W migotliwym blasku świec widać było płynące po jej policzkach łzy. - Koniec tęczy...

—To twoja dziewczyna - powiedział Tod do Macka. - Zrób coś, żeby się przymknęła.

—Sejf jest ukryty. I o to właśnie chodziło - oznajmił siedzący na sofie z zamkniętymi oczyma Conklin. Najwyraźniej znalazł w sobie dość siły, żeby się wtrącić. Balenger musiał przyznać, że ranny profesor robi, co może, aby odciągnąć uwagę ich prześladowców od Córy. - Gdyby ludzie zorientowali się, że jest tutaj sejf, zaczęliby się zastanawiać, co w nim schowano.

—Gdzie jest ukryty? - zapytał Tod. Conklin nie odpowiedział.

—Skoro nie wiesz, to po co, do diabła, tu cię przywlekliśmy?

- Znajdziemy go. Vinnie, pomóż mi. - Balenger czuł, że w ich prześladowcach rodzi się mordercza niecierpliwość. Miał już z nią wcześniej do czynienia, wyczuwał ją kiedyś przez zawiązany na głowie worek. Musimy ich stale przekonywać, że jesteśmy użyteczni. - Daj mi łom - powiedział, zwracając się do Macka.

- Nie sądzę.

Córa nuciła cicho dalej, kołysząc się, jakby wzięła narkotyki albo tańczyła z duchem. Jej puste oczy niczego nie widziały.

—Gdziekolwiek pójdziesz... - Miała ochryply,

załamujący się głos.

—Ta dziwka działa mi na nerwy - zirytował się JD.

—Nie dostanę łomu? - powiedział Balenger, żeby odwrócić ich uwagę od Córy. - W porządku, niech to szlag, będę improwizował.

Podniósł ze szklanego blatu popielniczkę z nierdzewnej stali, wcisnął ją między skrępowane taśmą dłonie i podszedł do ściany po prawej stronie. Rozwścieczony, odsunął od niej półkę z książkami i walnął kantem popielniczki w ścianę. Hałas zagłuszył lamenty Córy. Ze ściany spadł stylizowany obraz przedstawiający kobietę z długimi powiewającymi na wietrze włosami, siedzącą w opływowym kabriolecie z lat dwudziestych.

- Nie! - wymamrotał profesor.

Balenger ruszył wzdłuż ściany, w dalszym ciągu waląc w nią popielniczką. Tynk pękał w miejscach uderzeń. Na podłogę spadł kolejny obraz.

—Zapomnijcie o złotych monetach! - powiedział Vinnie, podnosząc głos, żeby JD go usłyszał. - Ta popielniczka, którą teraz niszczy, była w idealnym stanie. Moglibyście ją sprzedać za tysiąc dolarów na eBay. Tak samo jak te dwa obrazy, które spadły ze ściany.

—Za tysiąc dolców?

—Prawdopodobnie więcej. Jest jeszcze ten chromowany świecznik, wazon z zielonego matowego szkła i papierośnica z nierdzewnej stali.

Mack wziął ze stołu papierośnicę i otworzył.

- Wciąż są w niej papierosy - powiedział i wyciągnął jednego. Papier i tytoń rozsypały mu się w palcach.

—Lampy, krzesła, stoliki ze szklanymi blatami, lakierowana sofa. W doskonałym stanie - rzekł z naciskiem Vinnie. - Wszystko to warte jest ze ćwierć miliona, może więcej, i nie musicie się przejmować, że władze będą was ścigały za próbę sprzedaży wykradzionych z mennicy złotych monet. Nic prostszego pod słońcem. Wynajmijcie ciężarówkę. My uśmiechniemy się i pomachamy wam, kiedy będziecie odjeżdżali. Tylko dajcie nam spokój. Przysięgam na Boga, że nikomu o was nie powiemy.

—Tysiąc dolców? - powtórzył Tod. - Za popielniczkę?

—Teraz już nie. Teraz to śmieć.

Balenger wyrzucił szklany stolik i kolejny raz walnął popielniczką o ścianę. Szklany blat roztrzaskał się w drobiazgi.

—W błoto poszło dwadzieścia tysięcy dolarów - powiedział Vinnie.

—Hej! - zawołał Mack do Balengera. - Przestań!

—Kazałeś nam znaleźć sejf!

—Jak walenie w ścianę ma pomóc...

—Nie słyszysz? Odgłos jest głuchy tam, gdzie są puste przestrzenie między belkami. - Balenger uderzał w ścianę z taką energią, że rozbolały go ręce. Pierś unosiła mu się z wysiłku. - Musimy uderzać w nią dalej, aż znajdziemy miejsce, w którym nie ma pogłosu. Tam będzie sejf.

—Więc dlaczego stoisz w miejscu? - zapytał Mack Vinniego. - Pomóż mu!

Vinnie złapał wazon z nierdzewnej stali i ruszył z nim do ściany.

—Ile to jest warte?

—Z pięć tysięcy - odparł Vinnie.

—Odłóż to. Użyj tego - powiedział Mack, ciskając mu pod stopy łom.

—Jeśli spróbujesz nas nim uderzyć, strzełę ci między oczy - ostrzegł go Tod.

Vinnie chwycił łom między skrepowane dłonie i rąbnął nim o ścianę. Łom wybił wielką dziurę w tynku.

—Teraz to rozumiem - powiedział JD.

—Niezły gnat - ocenił Tod, przyglądając się pistoletowi. - Z boku ma napisane Heckler i Koch, kaliber czterdzieści.

Balenger i Vinnie dalej walili w ścianę.

- Mocniejszy od dziewięciu milimetrów. Nie tak potężny jak czterdziestkapiątka. Nie za dużo, nie za mało. W sam raz. Kaliber czterdzieści jest na wyposażeniu policji, prawda?

Balenger nadal tłukł popielniczką w ścianę.

- Hej, bohaterze, zadałem ci pytanie - powtórzył Tod. - Mówię do ciebie. Przestań walić i popatrz na mnie.

Balenger odwrócił się, ciężko oddychając.

—Kaliber czterdzieści jest na wyposażeniu policji - powtórzył Tod.

—Nie jestem gliniarzem.

—Oczywiście.

—W żadnym wypadku.

—Jasne. Im dłużej przyglądam się temu pistoletowi, tym bardziej mi się podoba. Ma przycisk zwalniający suwadło po obu stronach, żeby można było go przeładować każdą ręką, jeśli druga jest niesprawna. Dźwignia zwalniająca magazynek jest za kabłąkiem spustowym, gdzie możesz jej dosięgnąć każdą ręką, jeśli w drugą oberwałeś.

—Te udogodnienia są głównie dla mańkutów.

—Oczywiście, oczywiście... Dlaczego o tym nie pomyślałem? Możesz mi powtórzyć, jak masz na imię?

—Frank.

—No cóż, Frank, podczas gdy twój kumpel będzie się dalej trudził, może byś tak odpoczął i opowiedział nam trochę o sobie?

—Tak - dodał Mack - przekonaj nas, że nie
jesteś gliniarzem.

Vinnie przestał stukać w ścianę.

- Jej, Kłapouchu, nikt ci nie kazał przerywać! –
zawołał JD.

Córa nadal nuciła i szlochała z nieobecnym wyrazem twarzy. Vinnie zamachnął się i rąbnął łomem w ścianę.

—Może ty nie traktujesz nas serio, Frank? - zapytał Tod.

—Wierźcie mi, traktuję was serio.

—Więc pogadaj z nami - powiedział Mack. - Przekonaj nas, że nie jesteś gliniarzem.

—Tak - dodał Tod. - Przekonaj nas, że nie powinniśmy cię zastrzelić.

Balenger odłożył powoli i ostrożnie popielniczkę. Nie chciał mówić im tego, co chcieli wiedzieć, ale nie widział innego wyboru. Być może uda mu się dzięki temu nawiązać z nimi bliższe stosunki.

—Jestem byłym wojskowym - powiedział.

—A jak poznałeś profesora? - zapytał Tod.

—Chodziłem do niego na wykłady.

—Nie widzę związku.

—Byłem w Iraku.

—Nadal nie widzę związku.

—Byłem tam podczas pierwszej wojny w Zatoce. Operacja Pustynna Burza. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Służyłem w rangerach.

—Hi-yo, Tonto - zanucił JD.

—Po powrocie do domu zachorowałem. Bolała mnie głowa, miałem gorączkę.

—Hej, nie prosiłem cię, żebyś opowiadał nam o swoim stanie zdrowia. Chcę wiedzieć...

Vinnie wybił kolejną dziurę w ścianie.

- W szpitalu wojskowym w Buffalo powtarzali, że mam przewlekłą gripę. A potem usłyszałem, że wielu weteranów jest chorych i w końcu w gazetach i telewizji zaczęto mówić o syndromie wojny w Zatoce. Wojskowi twierdzili, że Saddam Husajn mógł użyć przeciwko nam broni chemicznej albo biologicznej.

—Jeśli nie odpowiesz na moje pytanie...

—A może chorobę roznosiły pchły piaskowe. Na pustyni jest mnóstwo owadów.

—Kazałem ci udowodnić, że nie jesteś gliniarzem, a nie opowiadać swój życiorys.

—Ale im więcej o tym czytałem, tym bardziej

skłaniałem się do przekonania, że chorobę spowodował zubożony uran wchodzący w skład naszych pocisków artyleryjskich. Uran utwardzał je i ułatwiał przebicie pancerza nieprzyjacielskich czołgów.

—Uran? - zdziwił się Vinnie.

—Hej, Kłapouchu - zawołał Tod. - Nie podsłuchuj, tylko stukaj w ścianę. Stoisz za blisko świeczki. Przesuń ją albo spowodujesz wypadek.

—Wojskowi twierdzą, że zubożony uran jest bezpieczny. - Balenger potrząsnął głową, stanowczo się z tym nie zgadzając. - Ale słyszałem, że tyka przy nim licznik Geigera. W trakcie Pustynnej Burzy wystrzeliliśmy cholernie dużo pocisków. Wiatr niósł mnóstwo dymu i kurzu w naszą stronę. Minęły lata, zanim znowu lepiej się poczułem. Tak zakończyła się moja wojskowa kariera.

—Wtedy zostałeś gliniarzem?

—Mówiłem wam, że nie jestem gliniarzem. Zmieniałem ciągle pracę. Na ogół prowadziłem ciężarówki. A potem wybuchła druga wojna w Iraku. - Balenger przerwał. W swoim opowiadaniu zbliżał się do doznanego poprzednio koszmaru. Spocony, zastanawiał się, czy zdoła im o nim opowiedzieć. Nie miał wyboru. Musiał. - Nasze siły były zbyt szczupłe w stosunku do potrzeb. Firmy próbujące odbudować Irak zatrudniały cywilnych strażników do ochrony konwojów. Byłych żołnierzy oddziałów specjalnych. Zapotrzebowanie było olbrzymie, więc zatrudniali nawet takich jak ja, którzy nie służyli od dłuższego czasu. Wynagrodzenie

było bajeczne. Sto dwadzieścia pięć tysięcy rocznie za pilnowanie, żeby ciężarówki z zaopatrzeniem nie wpadły w zasadzkę.

—Sto dwadzieścia pięć tysięcy? - Tod był pod wrażeniem.

—Rocznie. A potem warunki się pogorszyły, atakowano coraz więcej konwojów i wynagrodzenie podwyższono do dwudziestu tysięcy miesięcznie.

—Cholera! Jesteś krezusem!

—Wcale nie. Firmy płaciły co miesiąc, ponieważ niewielu facetów chciało służyć za cel. To była robota dla kogoś, kogo nie ciągnęło do domu. Kto miał marne perspektywy zawodowe. Na kogo nikt nie czekał. Czyli dokładnie kogoś takiego jak ja. To był prawdziwy obłąd. Snajperzy i bomby-pułapki za każdym rogiem. Większość facetów nie przetrwała długo. Ginęli albo mówili „mam to w dupie” i dawali nogę. Jeśli o mnie chodzi... - Balenger przerwał i przez chwilę słuchał walącego w ścianę Vinniego. - Udało mi się odebrać tylko jeden czek - dokończył.

- Tylko jeden. Cholera, co się stało?

W końcu się zainteresowali, pomyślał.

- Eskortowałem konwój - powiedział. - Zaatakowano nas. Wybuch pozbawił mnie przytomności. - Mówił szybko, nie chcąc przypominać sobie bólu, strzelaniny i krzyków. - Kiedy się ocknąłem, siedziałem przywiązany do krzesła w jakiejś śmierdzącej dziurze. Smród pochodził głównie z worka, który nałożyli mi na głowę.

Tod, Mack i JD wbijali w niego wzrok.

—I co? - zapytał JD.

—Iracki rebeliant powiedział, że utnie mi

głowę.

Vinnie przestał stukać w ścianę i spojrzał na Balengera. W zupełnej ciszy Córa osunęła się na podłogę i objęła rękoma kolana. Miała pozbawione wyrazu spojrzenie.

—Utnie ci głowę? - Tod się skrzywił.

—To właśnie mi powiedzieli po długich godzinach, kiedy siedziałem na tym krześle, z workiem na głowie. Byłem cały posiniaczony i pokaleczony. Miałem pełen pęcherz. Wstrzymywałem się, jak długo mogłem. W końcu zsiąkałem się w spodnie. Siedziałem we własnym moczu, a potem we własnym gównie.

Balenger cofnął się pamięcią w przeszłość. Bał się, że zwymiotuje. Miał wrażenie, że mówi coraz szybciej.

- Powiedzieli, że utną mi głowę. Ale najpierw musieli się pochwalić, że mnie złapali. Ustawili kamerę wideo i ponieważ trzeba było pokazać, kim jestem, zdjęli mi worek z głowy. Kiedy przestałem mrugać, zobaczyłem, że jestem w poobijanym pomieszczeniu z betonowych bloków razem z pół tuzinem mężczyzn. Mieli na głowach kaptury z otworami na oczy i usta. Facet, który mi groził... on jeden mówił po angielsku... wsunął rękę pod swoją szatę. Coś tam trzymał i nie trzeba było wielkiej wyobraźni, żeby domyślić się, że to miecz. Kamera stała przede mną na trójnogu. Mrugało na niej czerwone światełko. Facet kazał mi podać nazwisko i powiedzieć, dla kogo pracuję. Kazał mi błagać wszystkich Amerykanów, żeby wyszli z Iraku, bo w przeciwnym razie czeka ich to samo co mnie.

Balenger wiedział, że mówi za szybko, ale nie mógł na to nic poradzić, po prostu wyrzucał z siebie

słowa.

- Nie wiem, jak długo byłem nieprzytomny po tej eksplozji, ile czasu minęło, odkąd po raz ostatni coś jadłem albo piłem. Nazwisko, stopień, numer identyfikacyjny. Tego nas nauczono w rangerach. Na pewno nie miałem zamiaru błagać Ameryka nów, żeby wyszli z Iraku, ale nie było nic złego w tym, żeby zyskać na czasie i podać im swoje nazwisko. Jednak kiedy próbowałem się odezwać, z moich ust wydobył się tylko nieartykułowany charkot. Zanim zdołałem coś powiedzieć, domyślili się, że trzeba dać mi wody. Ktoś przytknął mi do ust butelkę. Pociągnąłem łyk i poczułem, że woda kapie mi po brodzie. Przelknąłem jeszcze trochę. A potem odebrano mi butelkę i facet kazał mi powiedzieć swoje nazwisko. Znowu spróbowałem się odezwać i znowu dali mi wody. Kiedy za trzecim razem nic z tego nie wyszło, facet, który mówił po angielsku, wyciągnął miecz. Sekundy tykały. Nie było przeszłości. Nie było przyszłości. Istniało tylko teraz. Tylko ten miecz. Przysiągłem sobie, że sprawię, żeby „teraz” trwało jak najdłużej. Facet schował miecz z powrotem.

Balenger opowiadał im swoją historię tak, jak to zawsze robił, tymi samymi słowami, w tym samym tempie, dokładnie tak, jak słyszał ją psychiatra może ze sto razy z rzędu.

- Nie wiem jak, ale w końcu udało mi się podać nazwisko. Facet znowu wyjął miecz i kazał mi powiedzieć, dla kogo pracuję. To było to samo co stopień i numer identyfikacyjny. Nie było w tym nic złego. Powiedziałem więc do kamery, dla jakiej firmy pracuję. Blackwater. Teraz. Chciałem, żeby „teraz” trwało jak najdłużej. Potem kazał mi błagać o życie. Nic nie szkodzi poprosić, pomyślałem. Wiedziałem, że to nic nie da, ale dzięki temu „teraz” trwało trochę

dłużej. Nie zdołałem jednak tego zrobić.

Mówił coraz szybciej.

- Ze strachu załamał mi się głos. Szlochałem i musieli dać mi więcej wody, ale nadal nie mogłem wydobyć z siebie tych słów. Facet wyciągnął miecz i „teraz” już się prawie kończyło. Nagle zatrzęsły się ściany i pokój wypełnił kurz. Betonowe bloki rozsypały się. Dzwoniło mi w uszach. Faceci w kapturach wrzeszczeli jeden na drugiego. Otworzyli drzwi i oślepiło mnie słońce. Na zewnątrz doszło do następnego wybuchu. Część z nich chwyciła karabiny. Dwaj wrzucili mnie do innego po mieszczenia, małego, z klepiskiem zamiast podłogi, i zamknęli drzwi na klucz. Słyszałem, jak uciekają. Usłyszałem kolejną eksplozję. I strzelaninę. Kiedy wrzucili mnie do tego pomieszczenia, byłem nadal przywiązany do krzesła, ale złamało się, kiedy padałem. Odpelzłem od niego. Byłem cały pobrudzony gównem i moczem. Wciąż miałem związane z tyłu ręce. Ale mogłem się poruszać i kiedy tylko odsunąłem się od krzesła, przełożyłem związane ręce pod nogami i biodrami. Wywichnąłem sobie prawy bark, ale miałem teraz ręce przed sobą. O tak.

W świetle świec i latarek Balenger uniósł skrepowane taśmą dłonie.

—Strzelanina i wybuchy były coraz intensywniejsze. W pokoju znajdowało się okno z drewnianą okiennicą. Pociągnąłem ją, ale była zamknięta od zewnątrz, złapałem więc siedzenie krzesła i zacząłem w nią walić. Nie potrafię wam powiedzieć, jak mocno to robiłem. W końcu wybiłem dziurę w okiennicy. Przecisnąłem się przez nią i upadłem na zwichnięty bark. Pamiętałem, żeby nie zemdlec z bólu. Musiałem iść dalej. Musiałem sprawić, by „teraz” potrwało trochę dłużej. Spanikowani

ludzie uciekali przed kulami i pociskami z moździerza. W pobliżu eksplodował granat z moździerza, fala uderzeniowa zbiła mnie z nóg. Tym razem straciłem przytomność. Kiedy ją odzyskałem, zorientowałem się, że w powietrzu wyleciał budynek, w którym byłem przetrzymywany. Pocisk z moździerza zrównał go z ziemią.

—I co? - zapytał Tod.

- Znalazł mnie patrol amerykańskich rangerów. Firma, dla której pracowałem, Blackwater, załatwiła mi leczenie. Byłem w Iraku tylko dwa tygodnie. Dali mi całomiesięczne wynagrodzenie. Zapłacili za bilet do domu. Miałem polisę, którą dla mnie wykupili. Pięćdziesiąt tysięcy, gdybym zginął. Dwadzieścia pięć tysięcy, gdybym został ranny. Dwadzieścia pięć tysięcy. Za te pieniądze żyłem. Psychiatra ze szpitala weteranów mówi, że mam posttraumatyczne zaburzenia stresowe. Bez jaj. „Stres” to właściwe słowo. Świat jest koszmarem na jawie. Jest cholera nie stresujący, zwłaszcza jeśli bez przerwy myślicie o facecie w kapturze, który chce wam ściąć głowę.

Balenger miał świadomość, że zmienił pierwszą na drugą osobę. Psychiatra nazywał to dysasocjacją. Głos drżał mu, serce biło tak szybko, że wystąpiły mu żyły na karku.

—Więc teraz wiecie, że nie jestem gliniarzem - powiedział.

—Czyżby? Jak spiknąłeś się z profesorem?

—Mówiłem wam, chodziłem do niego na wykłady. - Ubranie Balengera było przesiąknięte potem. - Kiedy świat jest koszmarem na jawie, jak się przed nim schronić? Irak jest wszędzie. Jak się schronić przed pierdolonym Irakiem? Uciekając w

przeszłość. Nie chciałem nic więcej. Mój psychiatra sądził, że pomoże mi lektura starych książek, że dzięki nim przeniosę się w przeszłość. Próbowałem Dickensa. Próbowałem Tołstoja. Próbowałem Aleksandra Dumas. Ale ten rozdział z *Hrabiego Monte Christo*, w którym uwięziony w worku bohater wpada do oceanu, był dla mnie zbyt realistyczny. Zacząłem więc czytać dzieła historyczne. Książki o Benjaminie Franklinie, Wordsworcie i o początkach domu Rotschildów. Miałem głęboko gdzieś Franklina, Wordswortha i dom Rotschildów, ale wszystko to działo się w bezpiecznej, niezagrażającej mi przeszłości. Nie w dwudziestym wieku. Wielkie opasłe książki, od których o mało nie dostałem przepukliny. Im grubsze, tym lepiej. Im więcej szczegółów, tym lepiej. Przypisy. Jak ja uwielbiam przypisy. Ze współczesnych powieści czytałem tylko Jacka Finneya i Richarda Mathesona. *Time and Again*.

Somewhere in Time. Bohaterowie tych książek pragną desperacko opuścić teraźniejszość i dzięki niesamowitej koncentracji przenoszą się w przeszłość. Gdyby tylko mogło się to udać. Podszywając się pod studenta, chodziłem na uniwersytet stanowy w Buffalo i zaliczałem wszystkie zajęcia z historii, na które zdołałem się zakraść. Kiedy profesor zdał sobie sprawę, że nie należę do jego studentów, odbyliśmy konferencję w jego gabinecie. Opowiedziałem mu o sobie. Pozwolił mi chodzić na swoje wykłady. Rozmawialiśmy potem jeszcze kilka razy i miesiąc temu, kiedy go wylali, zapytał, czy mu pomogę. Oznajmił, że zdobędziemy tyle forsy, że nigdy nie będziemy musieli martwić się o teraźniejszość.

Przez budynek przeszedł niewyraźny łoskot.

—Nałożyli ci worek na głowę, tak? - zapytał Tod. Balenger pokiwał głową.

—Tyle czasu w ciemności... - mruknął Mack.

—Tak.

- A teraz nie bałeś się wejść kanałami do hotelu i wdrapać po ciemku aż tutaj - powiedział JD. - Musiała ci się przypominać ta historia.

—Kilka razy - potwierdził beznamyślnie Balenger. Łoskot rozległ się ponownie.

—Twardziel z ciebie.

—Nie sądzę.

- Ależ tak. Uratowałeś tu obecnego Kłapoucha. Uratowałeś profesora.

Ale niestety nie udało mi się uratować Ricka, pomyślał Balenger.

- Tak, to bohater - rzekł Tod.

Łoskot stał się nieco głośniejszy.

- Ale jeśli spróbujesz znowu zgrywać bohatera... - Tod podniósł pistolet, wycelował w Balengera i wypalił.

Kula przeleciała obok głowy Balengera. Poczul powiew powietrza i usłyszał, jak pocisk trafia w ścianę za jego plecami.

—Jezu! - jęknął Vinnie.

—Wcale nie było tak blisko - zaznaczył Tod.

—Moje uszy! - zawołał Mack, zakrywając je dłońmi. - Na litość boską, dlaczego mnie nie ostrzegłeś! Dzwoni mi w uszach jak jasna cholera!

Balengerowi również dzwoniło w uszach, ale nie tak mocno, żeby nie usłyszał kolejnego łoskotu.

—Nie próbuj zgrywać bohatera - powtórzył Tod. - W przeciwnym razie całe to „teraz”, o którym opowiadałeś, nie potrwa długo.

—Chcę się tylko stąd wydostać.

—Zobaczymy, jak będzie. Na razie jesteś bezużyteczny. Gdzie jest sejf?

—Co to za hałas? - zapytał Mack.

—Dzwoni ci w uszach.

—Nie - powiedział JD. - Ja też to słyszę. Jakiś łoskot.

—To piorun - odparł Balenger. Spojrzeli na sufit.

—Piorun? - Yinnie potrząsnął głową. - Nie zapowiadano

żadnych burz z piorunami. Tylko przelotne opady o świcie. Profesor powiedział... - Vinnie urwał nagle. - Profesorze? Żadnej odpowiedzi.

—Profesorze? - powtórzył Vinnie, ruszając w stronę sofy.

—Łom! - zawołał ostrzegawczym tonem Tod. - Odłóż go, zanim się do nas zbliżysz!

Vinnie rzucił łom na podłogę i przeszedł przez pokój. Minał Córe, która nadal nuciła pod nosem, i podszedł do profesora, który siedział z odchyloną głową i zamkniętymi oczyma.

Vinnie trącił go w ramię.

—Powiedział pan, że zapowiadają przelotne opady o świcie. Conklin nie otworzył oczu.

—Powiedział pan nam...

—Skłamałem - odparł znużonym głosem Conklin.

—Co?

—W przyszłym tygodniu wkracza tutaj firma rozbiórkowa. Potrzebowałem was wszystkich, żeby spenetrować dzisiaj budynek. - Conklin ciężko odetchnął. - Pokazalibyśmy Frankowi, jak dostać się do hotelu i do sejfu, i jutro w nocy... - Profesor ponownie zaczerpnął powietrza. - Miał tu wrócić i zabrać tyle monet, ile zdoła udźwignąć. To musiało się odbyć dzisiaj i jutro.

—Ty kutasie.

—Przewidywałem, że kiedy rozpęta się burza, już nas tu nie będzie. - Na okolonej brodą twarzy profesora odmalował się żal. - Najwyraźniej się pomyliłem.

—Dlaczego tak się przejmujecie burzą? - zainteresował się JD.

—Chodzi o to, jak się stąd wydostać - odparł

zdesperowany Vinnie. - Jeśli będzie bardzo padało, woda może zalać kanały.

—W tym momencie mamy większe zmartwienia niż to, że woda może zalać kanały - powiedział Tod. - Będziemy musieli po prostu trochę poczekać i bliżej się poznać.

- No jasne - dodał Mack, kładąc dłoń na ramieniu Córy. - Spróbujemy przyjemnie spędzić czas.

Dziewczyna siedziała teraz na podłodze, obejmując rękoma kolana i opierając o nie głowę. Nie zdawała sobie chyba sprawy, że jej dotknął.

—Zostaw ją w spokoju - powiedział Vinnie.

—A co, zabronisz mi?

—Skarbiec - przypomniał im Balenger.

—Twój wspaniały pomysł nie wypalił, cwaniaczku - rzekł Tod. - Za ścianą po tej stronie też nic nie ma. Jeśli ta historia o sejfie i złotych monetach okaże się nieprawdziwa...

Balenger zbadał dziury w tynku, a potem zajrzał do sypialni i ocenił na oko grubość framugi i ściany między pokojami.

—Nie więcej niż pięć cali. Jesteś pewien, Bob, że w pamiętniku nie było mowy o ściennym sejfie?

—Skarbiec - wymamrotał profesor, walcząc z bólem. - Tak zawsze nazywał go Carlisle.

—W takim razie tracimy czas przy tej ścianie. Jest zbyt wąska. - Balenger omiótł wzrokiem długi salon, dwie okiennice i metalowe drzwi między nimi. - Tu też nie ma miejsca na skarbiec.

Otworzył drzwi garderoby i zobaczył płaszcze i garnitury, wszystkie w stylu lat trzydziestych. Stęchły zapach ubrań przyprawiał o mdłości. Zrzucił je z drewnianego prętu i cisnął na środek pokoju, po czym wszedł do garderoby i postukał w ścianę.

—Normalny dźwięk. Została nam jeszcze zewnętrzna ściana sypialni albo łazienki.

—Uważaj, bohaterze - mruknął Tod.

- Będę potrzebował światła w sypialni. Pomóż mi, Vinnie. Vinnie ruszył w ślad za Balengerem do

sypialni, rzucając

gniewne spojrzenie Maćkowi, którego ręka nadal spoczywała na ramieniu Córy. W świetle ich lamp ukazała się lakierowana czarna komódka z czerwonym obramowaniem, chromowaną

listwą na dole oraz okrągłym lustrem na górze. Fotel również był czarny i miał czerwone obramowanie.

W podobnym stylu utrzymane było łóżko, ale Balenger prawie tego nie zauważył, odsuwając je razem z Winniem. Stojący w progu Tod i JD oświetlili opukiwaną przez Balengera ścianę, która przez cały czas wydawała głuchy odgłos.

—Czerń i czerwień - mruknął Tod. - Za kogo się uważał ten Danata, za Księcia Ciemności?

—Ci, których zastrzelił, z pewnością go za niego brali - odparł Balenger.

—Sprawdzę łazienkę - oznajmił Winnie, biorąc popielniczkę z nocnej szafki.

Waląc łomem w ścianę, Balenger słyszał robiącego to samo w łazience Winniego. Głuchy odgłos nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Za ścianą nic nie było. Balenger dotarł do jej końca. Dysząc ciężko, cofnął się i skierował światło lampy na zrobione przez siebie dziury.

- Nic - stwierdził.

- Rzuć łom! - ostrzegł go od progu Tod.

Balenger rzucił łom na fotel i wrócił do salonu.

—Bob! - zawołał, budząc profesora. - Spróbuj sobie przypomnieć pamiętnik. Skarbca tu nie ma. Czy nie było tam mowy o jakimś innym miejscu, w którym mógłby się znajdować?

—Wszystko to bzdury - odezwał się JD.

—Jest w apartamencie Danaty - upierał się Conklin. - Może w suficie albo w podłodze. Boli mnie noga.

Balenger przyjrzał się taśmie na jego udzie. Była nadal szara, nie przeciekała przez nią krew, ale noga niepokojąco spuchła. Ambulans powinien go zabrać co najmniej pół godziny temu, pomyślał.

—Czy pulsuje?

—Ciągły ból. Ostry.

Może zostawiłem tam jakąś drzazgę? Balenger przyłożył dłoń do czoła profesora.

- Ma gorączkę.

- Oj ej ku - mruknął Tod.

Mack nadal gładził Córę po ramionach.

—Zestaw pierwszej pomocy - powiedział Balenger. - Musimy dać mu więcej leków przeciwbólowych.

—Musimy? - zdziwił się JD. - Nas obchodzi tylko...

—W porządku, dobrze. Czy dacie mu leki, jeśli uda mi się znaleźć sejf?

- To chyba uczciwy układ. Balenger gorączkowo się zastanawiał.

- Sufit nie wchodzi w grę. Danacie zależało na łatwym dostępie. Zostaje podłoga. Vinnie, przynieś łom. Może jest tu jakiś właz.

Vinnie nie odpowiedział. Wpatrywał się w Macka, który położył obie ręce na ramionach Córy.

- Vinnie! Łom! - Balenger odsunął meble, podniósł dywan i ukląkł, żeby przyjrzeć się podłodze. Pomiędzy panelami twardego drewna nie było żadnych wyraźnych szpar. – Musimy opróżnić pokój, usunąć wszystkie meble.

Jego lampa omiotła pierwszą ścianę, w której wybił dziury razem z Vinniem. Snop światła oświetlił mroczne wnętrza otworów. Balenger zadrżał, uświadamiając sobie, że trafił na rozwiązanie zagadki.

- Za tą ścianą jest dużo pustej przestrzeni - powiedział, kierując lampę w stronę największej dziury.

- Cholernie dużo pustej przestrzeni. - Wsunął dłonie w rękawicach do środka i próbował oderwać skraj tynku, ale ze skrzepowanymi nadgarstkami nie udało mu się go dobrze chwycić. - Łom! Gdzie jest...

Vinnie stanął nagle tuż obok niego, wbił łom w dziurę i oderwał kawał tynku.

- Tam coś jest! - zawołał.

- Skarbiec? - zapytał szybko JD.

Vinnie ukruszył kolejny kawał tynku.

- Nie! Nie skarbiec! - Balenger cisnął gruz na podłogę. - To chyba...

—Schody! - zawołał Vinnie.

—Co? - Mack odsunął się od Córy.

—Spiralne schody!

Vinnie zaczął poszerzać dziurę w ścianie. Balenger odrzucał gruz dalej. Wkrótce otwór był wystarczająco szeroki, żeby można było przecisnąć się na drugą stronę.

Balenger wzdrygnął się, słysząc huk wystrzału. Kula trafiła w ścianę po jego prawej stronie.

—Nie ruszać się! - rozkazał Tod. - Nikt tam nie wejdzie, dopóki otwór nie będzie o wiele szerszy i nie będziemy widzieli wszystkiego, co się dzieje. Któregoś z was mogłoby podkusić, żeby zbiec - po schodach. Pamiętajcie, że mamy tu obecnego profesora i jak jej tam... Córę.

—Kicię - dodał Mack.

—Zastrzelę ich, jeśli któryś z was spróbuje uciec. Czy dobrze się rozumiemy?

—Tak - wychrypiał Balenger.

—To rozwalcie tę ścianę.

Vinnie jeszcze bardziej poszerzył otwór. Wyginając w bok skrępowane dłonie, Balenger łapał kawały tynku i odrywał od ściany. Po chwili odsłonili kantówki, do których przybito gipsowe ścianki. Widać było coraz więcej przestrzeni po drugiej stronie.

- Ludzie, można by tam urządzić balangę - mruknął Tod.

Pomiędzy salonem Danaty i ścianą następnego pokoju była szeroka na sześć stóp luka. Po prawej stronie, tuż przy ścianie galeryjki, biegły w górę i w dół spiralne metalowe schody. Przypominały Balengerowi gigantyczny korkociąg.

- O co tutaj chodzi? - zapytał JD.

—Carlisle korzystał z tych schodów, żeby przemieszczać się niepostrzeżenie za ścianami -

wyjaśnił Balenger. - Założę się, że schodzą aż na parter.

—A ja założę się, że są i inne schody - dodał Vinnie.

—Świr, który zbudował ten hotel, był podglądaczem? - zainteresował się JD.

—Żył życiem innych ludzi. Musiał ograniczać swoje kontakty. Bał się urazów. Był chory na hemofilię.

—Na co?

—To taka choroba krwi. W krwi Carlisle'a brakowało czynnika, który umożliwia krzepnięcie. Najmniejsze stłuczenie albo skaleczenie mogło spowodować krwotok, którego nie sposób zatamować.

—Więc podniecał się, oglądając swoich gości? - zapytał Tod.

W świetle lampy Balengera ukazała się ściana po drugiej stronie przejścia. Co pięć stóp wystawało z niej coś, co przypominało z wyglądu okular mikroskopu.

—Robił to przez te otwory. W ścianie po drugiej stronie są prawdopodobnie małe dziurki ukryte z boku obrazu albo pod kinkietem. Soczewki po tej stronie powiększały obraz.

—Mógł patrzeć, jak ludzie się rozbierają? - zapytał Mack. - Jak idą do łazienki albo się ciupciają?

—Lub jak się kłóć - powiedział Balenger. - Albo jak mężczyzna upija się i bije swoją żonę. Albo jak kobieta przygotowuje sobie ciepłą kąpiel i popełnia samobójstwo, podcinając sobie żyły i wykrwawiając się na śmierć.

—Albo jak chłopiec używa kija baseballowego, żeby rozbić na miazgę głowę ojcu - dodał Vinnie. - To wszystko tu się wydarzyło. W ciągu długiego okresu działalności hotelu w każdym pokoju doszło w końcu do czegoś strasznego.

—Na tym polegał cały pomysł hotelu Paragon - ciągnął Balenger. - Wszystkie nasze emocje,

dobrze i źle. Carlisle chciał zobaczyć, do czego są zdolni ludzie, i dlatego zbudował sobie małą wersję świata.

—Czemu uważacie, że mnie to wszystko obchodzi? - zniecierpliwiał się Tod. - Gdzie jest ten cholerny skarbiec?

Balenger spojrział w głąb odsłoniętego korytarzyka. Jego wzrok spoczął na poprzecznej ścianie stanowiącej przedłużenie zewnętrznej ściany salonu.

—Między dwiema okiennicami w salonie są drzwi. Jak myślicie, dokąd prowadzą?

—Na balkon? - zasugerował Vinnie.

—Albo na patio. Każde z pięter hotelu jest cofnięte względem niższego - przypomniał Balenger. - Kiedy Danata wychodził przez te drzwi, stawał na dachu pokoju położonego piętro niżej. Założę się, że jest tam patio. Donice z drzewkami i krzakami. Ogrodowy stół i krzesła. Może nawet leżak. Żeby się na nim położyć. Napić się drinka. Pooglądać dziewczyny na plaży. Tak ja bym to sobie wyobrażał. Ale Danata miał za sobą długi gangsterski staż. Nie przeżyłby tak długo, gdyby był głupcem i przesiadywał na widoku. Ludzie z pokojów po prawej i lewej stronie mogliby go oglądać. Facet, któremu Danata zastrzelił kogoś bliskiego, mógłby wynająć sąsiedni pokój i wpakować mu kulkę w łeb, kiedy ten popijałby drinka i oglądał dziewczyny.

—I co z tego? - zapytał Tod.

—Na miejscu Danaty kazałbym przedłużyć ściany po obu stronach apartamentu. Tak żeby sięgały do końca patio i dachu. W takim układzie goście z sąsiednich pokojów nie mogliby go zobaczyć.

—I co z tego, do jasnej cholery?

—Może ten mur ma szerokość korytarzyka. Może korytarzyk biegnie dalej aż do skrajnego dachu.

Balenger przyjrzał się zamykającej korytarzyk, szerokiej na sześć stóp ścianie. Na wysokości ramienia wystawały z niej po lewej i prawej stronie dwie śruby. Nie pytając o pozwolenie, podszedł bliżej i postukał w ścianę.

- Brzmi głucho. - Ponownie przyjrzał się śrubom. – Ze skrepowanymi rękoma nie mogę ich wyciągnąć.

- Cofnij się - powiedział Tod, biorąc go na muszkę.

Kiedy Balenger cofnął się na bezpieczną odległość, JD przecisnął się między dwiema pionowymi kantówkami i podszedł do końca korytarzyka. Pociągnął za obie śruby, ale nic się nie wydarzyło.

—Są zamocowane na stałe.

—Pociągnij mocniej. Moim zdaniem to uchwyt.

JD szarpnął mocniej i zatoczył się do tyłu, kiedy od muru z prawej i lewej strony oderwała się cała ścianka działowa. W świetle lamp i latarek ujrzeli dalszy ciąg korytarzyka.

- Macie swój skarbiec - powiedział Balenger.

Sejf stał mniej więcej dziesięć stóp dalej, zajmując całą szerokość i wysokość korytarzyka. Miał ramę z czarnego metalu oraz mosiężne, zaśnieżone teraz drzwi. Balenger wyobrażał sobie, jak kiedyś lśniły. Pośrodku tkwiła klamka i tarcza. Na górze widniała nazwa firmy CORRIGAN SECURITY, jak przypuszczał Balenger, już nieistniejącej.

- Musieliśmy rozwalić całą ścianę, żeby tu się dostać - ocenił sytuację Vinnie. - Jak wchodził tutaj Danata?

Balenger zauważył wnękę po lewej stronie. Cofnął się do miejsca, gdzie JD oderwał od muru ściankę działową która maskowała dalszy ciąg korytarzyka i stanowiła przedłużenie ściany wychodzącej na plażę i promenadę. W salonie stała tam w rogu biblioteczka. Wcześniej nie ruszał jej, ponieważ był przekonany, że nic się za nią nie kryje.

Teraz wrócił do salonu i spróbował ją przesunąć.

- Pomóż mi, Vinnie.

Nawet we dwójkę nie mogli ruszyć ciężkiego mebla.

—Przyniosę łom - zaofiarował się Vinnie.

—Ostrożnie - ostrzegł ich JD.

—Zaczekaj chwilę.

Balenger odsunął skrzepowanymi dłońmi książkę na środkowej półce, pomacał tylną ściankę i znalazł metalowy uchwyt. Prze-

sunął go w górę i pociągnął do siebie biblioteczkę, a ta otworzyła się niczym drzwi na zawiasach. Za nią znajdowała się wnęka, którą widział po drugiej stronie.

—Przy ścianie dochodzącej do skraju dachu musi być skrzynia z jakimiś dekoracyjnymi kwiatami albo krzewami, żeby Danata, siedząc na zewnątrz, nie musiał gapić się na goły mur. Kwiaty albo krzewy zasłaniają przybudówkę, w której mieści się wnęka - powiedział, po czym wszedł do środka przez otwór w ścianie za biblioteczką i stanął przed skarbcem.

—No dobrze, wiemy już, jak Danata wchodził z salonu do skarbcza - rzekł Tod - ale to nadal nie wyjaśnia kwestii schodów. Czy to go nie wkurzało? Istnienie skarbcza nie było żadną tajemnicą, skoro wiedział o nim Carlisle. I czy Danata nie zaczął się zastanawiać, jakim czubem musi być Carlisle, skoro w ogóle używa tajnych schodów?

—Nie sędzę, żeby Danata o nich wiedział - odparł Balenger. - Cała przebudowa odbyła się na zewnątrz, na patio. Robotnicy nie mieli powodu burzyć wewnętrznej ściany.

—Obchodzi mnie wyłącznie skarbiec - powiedział Tod. - Otwórz go.

Balenger nacisnął klamkę i pociągnął. Drzwi nawet nie drgnęły. Poczul, że robi mu się słabo.

—Zamknięte.

—Błagałeś nas, żebyśmy nie zabijali starego. Powiedziałeś, że wie, jak się dostać do skarbcza.

Teraz nadeszła ta chwila, pomyślał Balenger. Chwila, dla której zachowali nas przy życiu. Spocony, przypomniał sobie irackiego rebelianta grożącego, że utnie mu głowę. Ponownie zadawał sobie to samo co

wówczas pytanie. Jak mam sprawić, żeby „teraz” trwało trochę dłużej?

Profesor nadal odchyłał się do tyłu, wyraźnie cierpiąc katusze.

—Bob... - powiedział Balenger, podchodząc do sofy. Conklin jęknął.

—Czy znasz kombinację szyfrową?

—Chyba znam...

—Chyba? - powtórzył Tod. Tatuaze na jego policzkach wyglądały jak prężące się do skoku zwierzęta.

—Skoncentruj się, Bob. To naprawdę ważne.

—Domyślam się.

—Domyślasz się! - Tod się zirytował. Conklin oddychał z wysiłkiem.

—Pamiętnik.

—Tak, opowiedz nam o pamiętniku - poprosił go Balenger.

—Carlisle obserwował przez jeden ze swoich wizjerów, jak Danata otwiera skarbiec. Widział, jak wykręca liczby.

—No i? - zapytał Mack. - Jakie to są liczby?

—Carlisle napisał w swoim pamiętniku, że kluczem do nich jest nazwisko Danaty.

—Co to ma znaczyć?

—Bob? Czy on miał na myśli jakiś system zamiany liter na liczby?

—Tak sędzę.

—„Tak sędzę” to za mało - warknął Tod.

Balenger nachylił się nad stojącym przy sofie stolikiem i przejechał palcem po jego powierzchni.

—To jest alfabet. Dopasuję liczbę do każdej litery - powiedział i zaczął szybko pisać na zakurzonej blacie. - „A” to jeden. „B” to dwa. „C” to trzy.

—Wiemy, kurwa, o co chodzi - mruknął Mack.

—Danata. „D” to cztery. „A” to jeden. „N” to czternaście. „A” to jeden. „T” to dwadzieścia. „A” to jeden. Jeśli ustawimy te liczby w ciągu, otrzymamy cztery, jeden, jeden, cztery, jeden, dwa, zero, jeden. Taka jest kombinacja: czterdzieści jeden, czternaście, dwanaście, zero jeden.

- Lepiej, żebyś się nie mylił - oświadczył JD.

Balenger wbiegł do otwartego korytarzyka i stanął przed skarbcem. Starając się opanować drżenie rąk, wykręcił 41 w prawą stronę.

- Następne liczby! Zapomniałem. Vinnie, przeczytaj mi! - zawołał.

Vinnie podał mu pozostałe liczby.

Balenger wykręcił 14 w lewo, 12 w prawo i w lewo. Z walącym wściekle sercem nacisnął klamkę i pociągnął drzwi do siebie. Nie otworzyły się.

Nie!

—Załatwmy ich wszystkich i zabierzmy ile się da tych świeczników i popielniczek za tysiąc dolców - powiedział JD.

—Dziewczyny nie załatwimy od razu - zastrzegł Mack. - Kicia i ja mamy randkę.

—Zacząłem od złej strony! - upierał się Balenger. - Powinienem zacząć od lewej, nie od prawej!

Wykręcił 41 w lewo, 14 w prawo, 12 w lewo i 1 w prawo, po czym modląc się w duchu, szarpnął klamkę. Drzwi nie poruszyły się nawet na milimetr.

Nie!

—Koniec pieśni - stwierdził Tod.

—Proszę. Dajcie mi chwilę pomyśleć. Ta teoria jest całkiem sensowna! - zawołał Balenger.

Zastanawiał się, co zrobił nie tak. Profesor mruknął coś pod nosem. Balenger dosłyszał tylko ostatnie słowo: „...nazwisko”.

—Co takiego?

—Nie nazwisko. - Conklin starał się mówić głośniej. - Nie Danata.

—Dziadek bredzi. - JD podszedł do profesora z łomem, szykując się do zadania uderzenia. Balenger zdał sobie sprawę, że ten chłopak,

jako najmłodszy w grupie, jest najbardziej skłonny do użycia przemocy. - Oszczędźmy staremu piernikowi cierpień.

—A ja tymczasem pokażę kici sypialnię - powiedział Mack.

—Imię - wymamrotał Conklin.

—Carmine! - powiedział Balenger. - Poczekajcie! - Podbiegł do innego stolika i napisał palcem CARMINE na zakurzonej blacie. - „C” to trzy. „A” to jeden. „R” to osiemnaście. „M” to trzynaście. „I” to dziewięć. „N” to czter-

naście. „E” to pięć. Razem to daje jeden, jeden, osiem, jeden, trzy, dziewięć, jeden, cztery, pięć. Taka jest kombinacja. Pięć liczb: trzydzieści jeden, osiemnaście, trzynaście, dziewięćdziesiąt jeden, czterdzieści pięć.

—Pięć liczb? - zdziwił się Tod. - Jeszcze przed chwilą byłeś pewien, że jest ich cztery.

—Zostawcie tylko w spokoju profesora! Dał nam wskazówkę. Zasłużył sobie, żeby jeszcze trochę pożyć!

Balenger poczuł dławienie w gardle. O to tylko się starał - żeby pożyć trochę dłużej. Jednak tym razem mimo łoskotu piorunu, który brzmiał zupełnie jak huk eksplozji, nie było w pobliżu rangerów, którzy mogliby go ocalić.

- Pokaż, co tam masz. - Ręce Macka zsunęły się po ramionach Córy.

Dziewczyna nie zwracała na to w ogóle uwagi, wpatrzona gdzieś w pustkę.

Balenger podbiegł do skarbca i starał się oświetlić tarczę lampą przy kasku.

- Vinnie, podaj mi te liczby!

Tym razem zaczął od lewej strony: 31, następnie 18 w prawo, 13 w lewo, 91 w prawo i 45 w lewo.

Zaświeciły za nim latarki. Do korytarzyka weszli Tod, Mack i JD, popychając przed sobą Vinniego.

- Obróć klamkę, bohaterze. Otwórz drzwi – powiedział JD.

Proszę cię, Boże, pomyślał Balenger, pociągając za klamkę. W tej samej chwili JD wrzasnął wniebogłosy.

Obracając się na pięcie, Balenger zobaczył ciemną zjawę, która skoczyła na JD i zbiła go z nóg.

- Mojego męża. Zabił mojego męża. - Córa trzymała w rękach popielniczkę i okładała nią dwa razy od siebie więk szego mężczyznę. - Skurwiel zabił mojego męża.

W powietrzu krzyżowały się promienie światła. JD jęknął.

- Skurwiel. - Córa zamachnęła się popielniczką, celując w jego zęby.

JD podniósł ramię i jęknął, kiedy popielniczka trafiła go w nadgarstek.

—Niczego nie próbuj, bohaterze - ostrzegł Tod, biorąc na cel Balengera.

—Nawet mi przez myśl nie przeszło.

—To twoja panna - powiedział Tod do Macka. - Myślałem, że masz ją na oku. Zrób porządek z tą dziwką!

—Ściągnij ją ze mnie! - wrzasnął JD, starając się gorączkowo ochronić twarz.

—Skurwiel. Skurwiel.

Córa chciała go uderzyć w czoło, ale JD zdołał się zasłonić. Mack złapał ją i próbował odciągnąć, lecz nie bardzo mu się to udawało. Nie spodziewał się, że furia doda jej tyle sił.

-Zabierz ją!

Mack wyrwał jej popielniczkę z rąk. Córa dalej okładała JD

pięściami.

- Robię to z prawdziwą przykrością - odezwał się Mack, biorąc do ręki łom. - To będzie nieodżałowana strata.

- Nie! - krzyknął Balenger. - Ja to zrobię! Ja ją po wstrzymam!

Skoczył w stronę Córy i zaczepił jej skrepowane ręce o swoje. Dziewczyna próbowała się uwolnić, ale on przewrócił się na bok, ściągnął ją z JD i nie pozwolił odpelznąć.

—Widzę, że w końcu się do czegoś przydałeś - powiedział Tod.

—Będzie wam potrzebna. Nie zabijajcie jej – błagał Balenger.

- Oczywiście, że będzie mi potrzebna - zgodził się Mack. - Ale potem...

JD zerwał się na nogi i otarł krew z ust.

—Dajcie mi ten łom.

—Nie! Będzie wam potrzebna! Będziemy wam wszyscy potrzebni! Złote monety!

—Wciąż o tym bredzisz? - zapytał Mack. - Te złote monety, nawet jeśli istnieją, są bezwartościowe. Nie możemy otworzyć tego cholernego sejfu.

—Możemy! Słyszałem kliknięcie cylindrów. Chyba go otworzyłem.

—Od samego początku tylko nas okłamujesz.

—Jeśli zdołam otworzyć sejf i pokażę wam złote monety, będziecie nas wszystkich potrzebować.

—Do czego?

- Do wyniesienia monet! Są ciężkie. Będziecie potrzebowali pomocy, żeby znieść je na dół i dźwigać

kanałami. W przeciwnym razie zajmie wam to dwa razy więcej czasu. Nie wydostaniecie się stąd przed burzą.

- Myślisz, że jest ich aż tyle?

- A po co Danata instalowałby taki wielki sejf?

Tod i Mack spojrzeli na siebie.

- Zrób to - powiedział Tod - a ja będę pilnował, żeby ci dranie nie wywinęli jakiegoś numeru.

Balenger poczuł ucisk w klatce piersiowej, która pod wpływem adrenaliny wydawała się puchnąć. Miał wrażenie, że zaraz eksploduje.

Trzymając w ręku łom, Mack wsadził latarkę pod pachę i złapał za klamkę skarbca.

Tik, tik, tik. Żadnej przeszłości. Żadnej przyszłości. A teraźniejszość dobiega końca, pomyślał Balenger.

Mack nacisnął klamkę. Pociągnął i drzwi skarbca się poruszyły. Czas stanął w miejscu.

- Ja pierdołę - mruknął Mack, cofając się, żeby otworzyć drzwi na oścież.

Do środka skarbca wpadło światło lampy Balengera. I lampy Vinniego. A także światło latarek, które skierowali tam Tod, Mack i JD. Gdzieś daleko zagrzmiało. Hotel zadygotał. A potem zapadła cisza. Wszyscy wstrzymali oddech.

Metalowe tacki ze złotymi monetami leżały na półkach, które zajmowały całą przestrzeń po prawej stronie skarbca. Było ich więcej, niż ktokolwiek z nich się spodziewał. Znakomicie zachowanych. W idealnym stanie. Nietknięte kurzem, wydawały się wchłaniać skierowane w nie światło i połyskiwać w mroku.

Ale to nie monetom się przyglądali. Nie z ich powodu otworzyli szeroko usta.

- Nie... - wyjąkał Vinnie.

W nozdrza uderzył ich zapach moczu i kału. Osłupiali wpatrywali się w kobietę ubraną w brudną, przezroczystą koszulę nocną, przez którą prześwitywały piersi, brodawki i trójkąt włosów łonowych.

Balenger nie mógł się oprzeć przekonaniu, że to

ktoś, kogo zna.

Jasne włosy kobiety zwiślały jej z głowy niczym
strączki.

Krucha, wymizerowana, zbliżająca się do trzydziestki, kulila się w najdalszym kącie sejfu. U jej stóp leżał wygnieciony śpiwór, a na nim opakowania od batoników i puste butelki po wodzie. W kącie stał kubeł na odchody. Kobieta podniosła dłoń, żeby osłonić oczy przed ostrym światłem.

Pod Balengerem ugięły się kolana i zakręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że osuwa się prosto w szaleństwo.

2.00

41

—Jezu - mruknął Vinnie.

—Co tu się, do cholery... - Mack urwał skonsternowany. Podnosząc się z podłogi, Balenger zauważył, że nawet Córa znieruchomiała z wrażenia.

Mack podszedł do drzwi sejfu. Głowa kobiety rzuciła ostry cień w świetle jego latarki.

- Jak się pani tu dostała? - zapytał.

Kobieta załkała i skuliła się jeszcze bardziej, jakby chciała przecisnąć się przez tylną ścianę skarbcza.

Mack nadal trzymał w ręku łom.

—Na litość boską, ona się ciebie boi - powiedział Tod. - Oddaj ten cholerny łom i zabierz ją stamtąd.

—Czy on tu jest? Czy on tu przyjdzie? - wyjąkała kobieta.

—Czy kto przyjdzie?

—To on was tu przysłał?

—Nikt nas nie przysłał.

—Pomóżcie mi.

Mack wszedł do skarbca. Kiedy wyciągnął do niej dłoń, jego cień zatańczył na ścianie.

—Kto ci to zrobił? - zapytał. Kobieta wpatrywała się w jego rękę.

—O kimkolwiek mówisz, to nie ja - powiedział Mack.

—...to nie ty. - Kobieta wpatrywała się w wiszące na jego szyi groteskowe gogle noktowizora.

—On mnie nie przysłał.

—...nie przysłał.

—Ale bardzo chciałbym wiedzieć, kim jest ten pojebaniec. Podaj mi rękę. Zabierzemy cię stąd.

Kobieta przeszła na niepewnych nogach po śpiworze. Wahając się i pociągając nosem, wzięła go za rękę.

—Jak ona tutaj oddychała? - chciał wiedzieć Tod. Mack przyjrzał się tylnej ścianie sejfu.

—Przez dziury. Ktoś je wywiercił.

—Musicie... - Kobieta potknęła się i o mało nie wywróciła. Mack podtrzymał ją. - Pośpieszcie się. Zabierzcie mnie stąd.

—Nie martw się - zapewnił ją JD. - Jeśli go spotkamy, to on będzie miał problem.

—Chce mi się pić.

—Od jak dawna tu...?

—Nie wiem. Straciłam poczucie czasu.

—Daj jej wody - polecił Tod.

Kobieta wypiała łączywie wodę. Była tak zdesperowana, że nie zauważyła chyba zdobiącej policzek Macka białej blizny po oparzeniu.

—Pośpieszcie się - rzekła błagalnym tonem. - On tu zaraz wróci.

—Jak się nazywasz? - Mack wyprowadził ją z korytarzyka do oświetlonego świecami salonu.

—Amanda. - Jej głos był schrypnięty od długiego milczenia. - Evert. Czy jesteśmy w Brooklynie? Mieszkam w Brooklynie.

—Nie. Jesteśmy w Asbury Park.

—W Asbury...? W New Jersey? - pytała, jakby dowiedziała się właśnie, że jest tysiące mil od

domu. Marszcząc czoło, przyjrzała się
ciemnemu zdemolowanemu wnętrzu. - Mój
Boże, co to za miejsce?

—Hotel Paragon. Jest nieczynny.

Amanda wzdrygnęła się, widząc preżące się na policzkach Toda tatuaże. Tod zasłonił mimowolnie twarz.

—Nie słuchacie mnie - poskarżyła się. -
Musimy stąd wyjść, zanim on wróci.

—Co to za facet? - zapytał Mack.

—Ronnie. Tak kazał mi się nazywać.

—Nie ma żadnego nazwiska?

Amanda pokręciła desperacko głową, tocząc dookoła dzikim wzrokiem.

—Jak wygląda?

—Nie mamy czasu - jęknęła, ciągnąc Macka w stronę drzwi.

—Jest nas trzech - powiedział JD. - Zaufaj mi, jeśli go spotkamy, sukinsyn nikomu już nie zrobi tego co tobie.

—Jest was trzech?

Amanda spojrzała na Balengera, Vinniego i Córę i jęknęła, widząc taśmę, którą obwiązane były ich nadgarstki. Gdzieś w pobliżu zagrzmiało.

—Do diabła z tym - mruknął JD. - Znaleźliśmy, co chcieliśmy. Ruszajmy stąd, zanim zaczniesz lać. Hej, Kłapouchu, czy to prawda, że kanały mogą zostać zalane?

—Po to je między innymi zbudowano. Żeby odprowadzały deszczówkę - odparł Vinnie.

—Opróżnijcie plecaki - rozkazał Tod. - Wrzucie do nich tyle monet, ile się zmieści. Wypchajcie nimi kieszenie.

—Ale co będzie z nimi? - zapytał JD, wskazując ich więźniów.

Tod podniósł pistolet.

—Zaczekaj - powiedział Balenger. - Coś jest nie w porządku. - Przeszedł go zimny dreszcz. Przez otwarte drzwi słyszał świst wiatru. Znowu

zagrzmiało. W powietrzu czuć było woń deszczu. Słyszał, jak woda bębni po ocalałych szybach świetlika i leje się po balustradzie i galeryjce.

—Jasne, że coś jest nie w porządku. Zaczęła się burza. - Mack wyrzucił z plecaka cały sprzęt i ruszył w stronę skarbcza.

- Nie o to mi chodziło - odparł Balenger, spoglądając na siedzącego na sofie profesora.

Padające z lampy Conklina światło powoli się przechyliło i w końcu padło na jego szeroką pierś. A potem przesunęło się na kolana i zaświeciło w górę, zupełnie jakby kask zsunął mu się z głowy. Ale Balenger pamiętał, że zapięty pod brodą kask Conklina trzymał się mocno, nawet kiedy runęły pod nim schody.

Na sztywnych nogach podszedł do profesora, nie wiedząc, czy ma odwagę się do niego zbliżyć. Proszę cię, Boże, niech okaże się, że nie mam racji. Ale im bliżej podchodził, tym bardziej woń deszczu ustępowała miejsca innemu, metalicznemu zapachowi. Zapachowi krwi. Sofa była nią cała przesiąknięta. Podobnie jak profesor, na którego kolanach leżał nie tylko jego kask. Leżała tam jego głowa.

Balenger poczuł w ustach smak żółci. Zaciśnął dłoń na wargach, mając nadzieję, że powstrzyma go to przed wymiotami. Krztusząc się, odwrócił się do Toda.

—Zabierz ją od tej sofy.

—Co takiego?

—Tę kobietę, Amandę. Zabierz ją gdzie indziej.

—O czym ty mówisz? - Tod zerknął przez ramię Balengera i zobaczył, co jest na sofie. - O kurwa! - zaklął i odwrócił się tak samo gwałtownie jak Balenger. - Mack, przynieś prześcieradło z sypialni!

—Po co?

—Po prostu zrób, co mówię!

—Co się stało? - zapytał JD, a potem zobaczył na sofie zakrwawiony bezgłowy tors profesora i jęknął.

—Ronnie... - załkała Amanda. Vinnie i Córa odwrócili się wstrząśnięci.

—Jest tutaj Ronnie - powiedziała Amanda.

—Jakim cudem? - zapytał Tod.

- Byliśmy wszyscy w korytarzyku. - Balenger starał się opanować zawrót głowy. Ręce i nogi drętwiały mu ze strachu. Obezwładniały go emocje, które pamiętał z Iraku. Nie mógł na to pozwolić. Jeśli im ulegnie, zginie. Bierność to śmierć. Na dworze znowu zagrzmiało. Deszcz padał na galerijkę. - Zostawiliśmy otwarte drzwi. Ktoś wszedł tutaj, kiedy otworzyliśmy sejf i znaleźliśmy Amandę.

—Ronnie... - powtórzyła Amanda.

—Stał po ciemku na korytarzu. Musiał nas długo podsłuchiwać - powiedział załamującym się głosem Balenger.

—Długo? - Tod wbił oczy w mrok za otwartymi drzwiami. - Skąd wiesz?

—Dwadzieścia minut temu opowiedziałem wam o Iraku, o facecie, który groził, że utnie mi głowę, a teraz odnaleźliśmy profesora z uciętą..

Mack wybiegł z sypialni i zarzucił prześcieradło na ciało profesora. Po chwili i ono przesiąkło krwią. Leżąca między nogami Conklina lampa rzucała rozproszone światło przez materiał.

—Śmierdzi - rzekł ze wstrętem Mack. - Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo...

—Owszem - zgodził się Balenger. - Krew śmierdzi. Okaleczone ciała śmierdzą.

—Ronnie... - powtórzyła Amanda. Można by pomyśleć, że to jedyne słowo, które zna.

—On może tu nadal być! - JD omiótł światłem latarki wszystkie kąty.

—Zamknij drzwi - rozkazał Tod. - Na zasuwkę.

—Jak mam je zamknąć? Wyłamaliśmy je łomem.

—Zastaw je meblami.

JD zaczął ciągnąć pod drzwi biblioteczkę.

- Niech mi ktoś pomoże! - zawołał.

Vinnie posłuchał go. Balenger złapał za blat ciężko wyglądającego stołu. Córa, szlochając, pomogła mu dosunąć go do drzwi. Mack postawił na nim krzesło.

—Teraz nikt tędy nie wejdzie - stwierdził, biorąc do ręki łom.

—A jeśli on jest nadal w pokoju?

JD ponownie omiótł latarką kąty. W jej drżącym świetle zatańczyły cienie.

—Ronnie tu jest - upierała się Amanda.

—Sprawdźcie sypialnię, łazienkę i garderobę! - zawołał Tod. Ruszył szybkim krokiem do sypialni i nagle odwrócił się i wycelował w Balengera. - Ty nigdzie stąd nie odchodź.

—Nie mam takiego zamiaru. W tym momencie wolę być z wami.

Balenger złapał młotek ze stosu wyrzuconych z plecaka rzeczy, przeszedł przez dziurę w ścianie do ukrytego pasażu i zgasił lampę, żeby nie było go widać. Trzymając w pogotowiu młotek i stojąc przy samych schodach, nasłuchiwał, czy nikt po nich nie wchodzi. Usłyszał jednak tylko własne tętno i łoskot kolejnego gromu.

Zdał sobie sprawę, że Córa i Vinnie podeszli do niego i również zgasili lampy. Każde z nich trzymało latarkę niczym pałkę. Amanda nadal kulila się w salonie, powtarzając płaczliwym głosem imię Ronniego.

- Może powinnaś z nią zostać, Córa - powiedział Balenger. - Spróbować ją uspokoić.

Córa otarła łzy z twarzy.

- Czy ja wyglądam na osobę, która może kogoś uspokoić? - odparła, ale wróciła do Amandy.

Balenger patrzył, jak dotyka jej ramienia i mówi coś półgłosem. A potem ponownie skupił uwagę na czarnym wylocie spiralnych schodów. Z tego, co wiedział, ktoś tam był i go obserwował.

- Nie ma go ani w garderobie, ani w sypialni, ani w łazience - poinformował ich Tod, wracając z Maćkiem i JD dosalonu.

Mack podniósł z podłogi butelkę z wodą i wypił połowę.

—Może będziemy musieli racjonować resztę wody - zasugerował Balenger.

—My? - zdziwił się Tod.

—Muszę iść do... - bąknęła Amanda.

—Gdzie?

—Opróżnić pecherz.

—Ja też - powiedziała Córa.

—Co was powstrzymuje?

—Zabraliście butelki, do których...

—Idźcie do łazienki. Najwyżej nie spuścicie po sobie wody.

—Nie chcę być sama.

—Pójdę z wami - zaproponował Mack, szczerząc zęby.

—Ja to zrobię - powiedział Vinnie. Zapalił swoją lampę i dał znak obu kobietom, żeby poszły z nim do sypialni. - Będę stał tuż przy drzwiach.

Córa objęła Amandę i zaprowadziła do sypialni. Balenger zauważył, że Mack nie odrywa oczu od jej koszuli nocnej. Obie kobiety i Vinnie zniknęli w ciemności.

Lustrując wzrokiem zniszczony salon, połamane meble i podziurawione ściany, Balenger przypomniał sobie zalecenia Ricka. „Nie zostawiajcie niczego poza odciskami stóp. Nie róbcie niczego poza zdjęciami”. Nie zostało im zbyt wiele do zdemolowania.

—I co teraz, bohaterze? - zapytał Tod. - Jakieś sugestie?

—Zadzwońcie z komórki na policję.

—Zapomniałeś, że nie działa miejscowy numer awaryjny? A na zgłoszenie się normalnego dyżurnego trzeba czekać wieki.

—Więc zadzwońcie na policję do innego miasta.

—Tak, oczywiście. Wtedy zamiast stawić czoło temu popapranemu Ronniemu, zostaniemy oskarżeni o zabicie waszego kumpla, nie mówiąc już o porwaniu całej reszty. Coś mi mówi, że mamy większe szanse w starciu z Ronniem.

—Jak na razie nie idzie wam najlepiej.

—Zgoda, jeszcze przed chwilą nie byliśmy zbyt dobrze zorganizowani. Nie wiedzieliśmy, z czym mamy do czynienia.

—Nadal tego nie wiecie.

—Będziemy wiedzieli, kiedy ta kobieta wróci i wyciągniemy z niej kilka informacji.

JD wszedł z pustym plecakiem do skarbca.

- Człowieku, ale tutaj śmierdzi - mruknął i zaczął wrzucać monety do plecaka. Wpadały do środka z głuchym brzękiem.

—Mam dla was inną radę - powiedział Balenger. Trzeba ich utrzymywać w przekonaniu, że działamy wspólnie, pomyślał. - Kolekcjonerzy nie zapłacą siedmiuset dolarów za monety, które są porysowane. Były w idealnym stanie, ale on je niszczy.

—Hej, dupku! - zawołał Tod. - Uważaj na nie. Nie porysuj ich. Wkładaj je do plecaka razem z tackami. Przed chwilą miałem mętlik w głowie - zwrócił się do Balengera. - Musiałem się zastanowić. Ale teraz wiem już, co robić. W goglach zobaczymy Ronniego, zanim on zobaczy nas.

—Nie przyszło ci do głowy, że on też może mieć noktowizor?

Tod zmarszczył brwi. Na jego twarzy wykrzywiły się tatuaże. Na odgłos kroków odwrócił się w stronę wracających do salonu Vinniego, Córy i Amandy.

- Opowiedz nam o Ronniem - zażądał.

Twarz Amandy stężała. Przytłoczona wspomnieniami, wzięła głęboki oddech.

—On jest... - Przygryzła wargę i zmusiła się, by mówić dalej. - Pracuję w księgarni na Manhattanie. Przyszedł tam kilka razy. Zachowywał się przyjaźnie. - Objęła dłońmi ramiona. - Musiał mnie śledzić aż do mojego domu w Brooklynie. Zaplanował wtedy, gdzie zaparkować samochód, gdzie się ukryć. Kilka dni wcześniej wyprowadził się ode mnie mój chłopak. Zostałam sama w mieszkaniu, na które nie było mnie stać. Byłam tak zmartwiona tym, że muszę zapłacić czynsz, że wysiadając z metra i idąc do domu, nie zwracałam na nic uwagi.

—Kiedy to było? - zapytał Mack.

—Nie mam pojęcia. - Amanda zadrżała. - Jaki mamy dziś dzień?

—Dwudziesty czwarty października.

—Och. - Amanda umilkła i osunęła się na fotel.

—Co się stało? - zapytał Balenger.

—Ronnie porwał mnie w nocy czternastego czerwca. - W oczach Amandy pojawiły się konsternacja i żal. - Tego wieczoru księgarnia była otwarta aż do dziesiątej. Autor pod-

pisywał książki. Dotarłam do domu o północy. Miał szmatkę z jakimiś chemikaliami, przytknął mi ją do ust, kiedy przechodziłam alejką. - Amanda ponownie głęboko odetchnęła. - Kiedy się obudziłam, leżałam na łóżku na górze. On siedział obok i trzymał mnie za rękę. - Mówiąc to, zamknęła oczy, spuściła głowę i zadrżała, jakby spróbowała czegoś wstrętnego. - Wtedy właśnie wyjaśnił mi, jak będzie wyglądało moje nowe życie.

- Jak on wygląda? - zapytał Tod. - Czy ma broń? Czego powinniśmy się spodziewać, jeśli będziemy musieli z nim walczyć?

- Jest stary.

- Co?

- O wiele starszy ode mnie. Starszy od ciebie - dodała, spoglądając na Balengera, który miał trzydzieści pięć lat.

- Ile może mieć lat? - dopytywał się Tod.

- Nie potrafię tego dobrze ocenić. Każdy, kto ma powyżej czterdziestki, wydaje mi się...

- Myślisz, że ma powyżej czterdziestki? - drążył temat Balenger.

—Tak.

—Jest naprawdę stary? Nie może być, skoro cię obezwładnił.

—Ma chyba koło pięćdziesiątki. Wysoki. Chudy. Denerwująco chudy. Ma obojętny wyraz twarzy. Nawet kiedy się uśmiecha, jest obojętny.

—Chudy facet koło pięćdziesiątki? - Tod zaczynał odzyskiwać pewność siebie. - Moim zdaniem nie powinniśmy z nim mieć problemów.

—Jest bardzo silny.

—Silniejszy niż to? - Tod podniósł pistolet.

—Podnosi ciężary.

—Chudzi sztangiści raczej nie przypawiają mnie o dreszcze. - Tod spojrział na Macka i JD. - Jakieś

pytania?

—Mam jedno - mruknął JD. - Po co tutaj jeszcze
sterczymy?

Mack spojrział tęsknie na Córkę, a potem kiwnął głową.

—Zgadza się. Zabierajmy monety i wynośmy się stąd.

—A co z nimi? - zapytał JD.

—Przywiążemy ich taśmami do krzeseł - odparł Tod, po czym wyjął młotek z rąk Balengera i cisnął go na stertę sprzętu. - Niech zajmie się nimi Ronnie. W tym układzie to on będzie wszystkiemu winien. Gliniarze pomyślą, że ma również na sumieniu tego faceta, którego wyrzuciłeś przez balustradę.

—Proszę - jęknęła Amanda. - Zabierzcie mnie stąd.

—Nie możemy.

—Pomóżcie mi!

—Bardzo mi przykro, ale to z twojego powodu jest taki wkurzony. Jeśli cię stąd zabierzemy, będzie cię ścigał, a to oznacza, że będzie ścigał i nas. Nie sądzisz chyba, że jesteśmy tacy głupi.

—Ty sukinsynu.

—Skoro tak to ujmujesz, to siadaj - mruknął Tod, popychając ją na krzesło.

JD złapał taśmę samoprzylepną z leżącego na podłodze stosu.

—Siadaj tutaj, kiciu - polecił Mack Córze.

—Ty spocznij tutaj, bohaterze - rozkazał Tod. Ostatnie wolne krzesło stało oparte o drzwi. - A ty, Kłapouchu, stań przy tej kantówce.

JD przywiązał Amandę do krzesła, unieruchamiając jej ramiona i nogi w kostkach, po czym podszedł do Córy.

- Daj, ja to zrobię - ubiegł go Mack.

Balenger zobaczył, że krępując taśmą Córkę, obmacuje jej nogi i piersi.

Tod, Mack i JD założyli plecaki, weszli do skarbcza i napelnili kieszenie monetami. Ciężar złota ściągał w dół ich wypchane kurtki i spodnie.

- Przykro mi, że nie możemy wykorzystać kieszeni wyłącz nie na złoto, ale powinniśmy chyba zabrać krótkofalówki. Na wypadek gdybyśmy się rozdzielili - oświadczył Tod.

Stąpając nieporadnie, podeszli do drzwi. Tod wycelował w nie z pistoletu, a Mack i JD odsunęli na bok meble. Mack otworzył drzwi i cofnął się o krok.

Na dworze zagrzmiało. Krople deszczu zabębniły o galeryjkę. Do pokoju wpadł chłodny podmuch wiatru.

- Nie musisz się denerwować, Ronnie! - zawołał Tod, przekrzykując odgłosy burzy. - Nie zabieramy twojej panienki! Zostawiamy ją dla ciebie! I jest jeszcze mała premia! Zostawiamy ci jej nowych przyjaciół! Są ślicznie zapakowani i czekają, aż się z nimi zabawisz! Co złego to nie my! Schodzimy ci z drogi! Może tego nie wiesz, ale ten hotel ma zostać zburzony! W przyszłym tygodniu wchodzi tutaj firma rozbiórkowa! Być może będziesz chciał założyć bazę gdzie indziej!

I co ty na to? Doceniasz chyba naszą życzliwość? Przepraszamy, że tu wtargnęliśmy! Bez urazy! Już odchodzimy! Miłej zabawy!

Założyli gogle i ruszyli w stronę schodów. W ostatniej chwili Tod przystanął i spojrzał na Balengera.

- Jestem artystą, wiesz? - mruknął, po czym przeszedł przez salon i zniknął w sypialni.

Wykręcając z trudem głowę, Balenger zobaczył, że wychodzi stamtąd z jakimś przedmiotem w rękach.

—Potrzebujesz tego dla pełni obrazu - wyjaśnił Tod, podchodząc bliżej.

—Nie - jęknął Balenger.

Świadomość tego, co go czeka, doprowadzała go do rozpacz. Tod zdjął mu z głowy kask.

- Proszę, nie. - Balengerowi załamał się głos.

Tod trzymał w rękach poszwę poduszki. Rozsunął ją i włożył Balengerowi na głowę.

Poszwa cuchnęła starością i kurzem.

—Nie - błagał Balenger. - Zabierz to.

—Gdybym to zrobił, byłoby o wiele mniej zabawnie. Spanikowany, oślepiiony Balenger słyszał, jak Tod przechodzi przez salon.

—Trzymajcie się wszyscy! - powiedział Mack.

—Było bardzo miło - dodał JD.

Balenger słyszał, jak schodzą po schodach. Ich kroki powoli cichły w oddali.

Udręczona pamięć podsuwała mu obraz drewnianego krzesła, na którym siedział z workiem na głowie w brudnym betonowym pomieszczeniu w Iraku, podczas gdy porywacz, który mówił po angielsku, groził, że utnie mu głowę. Aż do tej chwili był przekonany, że w życiu nie przydarzy mu się nic straszniejszego.

Zdał sobie sprawę, jak bardzo się mylił. Teraz było gorzej. Huk piorunów. Szum deszczu. Poszwa, która nie pozwalała zobaczyć niczego poza niewyraźnym migotaniem świec i światłem lampy prześwitującym przez prześcieradło okrywające bezgłowe ciało profesora.

Tak, to było gorsze. Taśma, którą przywiązano go do krzesła. Kaptur, pod którym się dusił. Świadomość, że trzy inne osoby dzielą z nim wyrok śmierci. Fakt, że nie mógł zobaczyć zbliżającego się doń Ronniego. Nie mógł usłyszeć jego kroków, ponieważ wszystkie dźwięki zagłuszały pioruny, wiatr i deszcz. Ronnie mógł stać przed nim dokładnie w tej chwili i szykować się do zadania ciosu tym samym narzędziem, którym pozbawił głowy profesora.

Pierś Balengera unosiła się w spazmatycznym oddechu. Miał trudności z zaczerpnięciem powietrza, nie wierzył, że to przeżyje. Pot lał się z niego

strumieniami. Balenger nie podejrzewał, że kiedykolwiek wycisnie z siebie tyle potu. Przesiękło nim całe jego ubranie. Robiło mu się gorąco, a potem nagle zimno. Drżąc, powtarzał sobie, że „teraz” musi się kiedyś skończyć. Nie może trwać wiecznie. Udało mu się przedłużyć je do całego roku. Rok to było coś. Więcej, niż się spodziewał. Ale teraz ten czas dobiegał końca.

Grom zatrzęsł budynkiem. Czy Ronnie stał przed nim w milczeniu, ściskając w ręku kosę, miecz albo rzeźnicki nóż? Czy poczuje siłę uderzenia, nim z gardła tryśnie mu strumień krwi i wyłączy się umysł?

Bohater. Tak nazwał go Tod. Bohater. To miał być żart. Kpina. Bohater? Co noc dręczył go ten sam koszmar. Budził się skonany, bojąc się wstać z łóżka. Wykrzesał z siebie wszystkie siły, żeby zmusić się do wyprawy w to diabelskie miejsce. Nie zostało mu już ich ani trochę. Bohater? Sukinsyn. Zostawił nas, żebyśmy zginęli. Skurwiel. Nałożył mi poszwę na głowę. Nie daruję mu tego. Odnajdę go. Wytropię. Zacisnę mu ręce na szyi. Dopadnę...

—Vinnie! - Poszwa stłumiła jego głos. -
Słyszysz mnie?

—Tak!

—Czy możesz się poruszyć? Może jest tam jakiś gwóźdź albo ostra krawędź drewna, o którą mógłbyś potrzeć taśmę i ją przeciąć?

—Za mocno mnie skrępowali!

Balenger usłyszał, jak ktoś płacze. Z początku myślał, że padł ofiarą dysasocjacji i że szloch wydobywa się z jego własnego gardła, ale potem zdał sobie sprawę, że to Amanda.

- Nie zostaliśmy sobie przedstawieni, Amando.
- Wiedział, że w okolicznościach, w jakich się znaleźli, jego oficjalny ton zakrawa na szaleństwo, ale musiał

spróbować ją uspokoić. Jeśli mają z tego jakoś wybrnąć, nikt nie może wpaść w histerię. - Nazywam się Frank. Tam jest Vinnie. A Córa to ta laska obok ciebie. Chociaż może nie powinienem mówić „laska”. To nie jest politycznie poprawne.

Szlochanie Amandy zmieniło rytm i osłabło. Balenger wyczuł, że ją zaintrygował.

- Teraz, kiedy już się poznaliśmy, chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Nie sądzisz, że udałoby ci się przesunąć taśmę i wstać z krzesła?

—Spróbuję. Balenger czekał.

—Nie...

Pocąc się obficie, odmierzał w duchu kolejne sekundy.

—Nie. Taśma jest zbyt napięta.

—Córa?

- Nie mogę. Obmacując mnie, sukinsyn skrepował mnie naprawdę mocno.

Co teraz zrobimy? - zastanawiał się Balenger. Wydychane przez niego ciepłe powietrze zgromadziło się w poszwie i miał wrażenie, że zaraz się udusi. Próbował przypomnieć sobie rozkład pokoju, zidentyfikować coś, co mogłoby im pomóc. Szkło. Okruchy szkła na podłodze ze stolika, który rozbił.

- Amanda?

Dziewczyna pociągnęła nosem.

—Co?

—Czy widzisz na podłodze rozbite szkło? W połowie drogi między mną i Vinniem.

Chwila milczenia.

—Tak.

—Czy gdybym zdołał przewrócić krzesło i pociągnąć je za sobą mogłabyś dać mi wskazówki, jak dostać się do jego kawałków?

—...tak.

- Naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

Krzesło było ciężkie. Balenger przesunął ciężar ciała z jednego boku na drugi, ale krzesło w ogóle się nie poruszyło. Kiedy zaczął się bujać szybciej i bardziej zdecydowanie, zakołysało się i nagle przewróciło na bok. Nic nie widząc i nie mogąc ocenić wysokości, nie przygotował się na upadek.

Zderzenie z podłogą ogłuszyło go. Potarł głową o dywan, starając się ściągnąć z niej poszwę, ale przesiąknięty potem materiał przykleił mu się do włosów i nie chciał zejść.

Nie było na to czasu! Z tego, co wiedział, Ronnie mógł stać nad nim z nożem w ręku i w tym opisanym przez Amandę obojętnym uśmiechem na twarzy, natrzęsając się w duchu z jego żalonych wysiłków.

Teraz! - nakazał sobie Balenger. Czołgaj się. Chociaż taśma mocno krępowała jego kostki, mógł poruszać kolanami, wyginając tors i wysuwając do przodu biodra. Wbił prawe ramię i prawe kolano w dywan i ze wszystkich sił starał się przesunąć razem z krzesłem. Ponownie oblała go fala potu. Jęcząc, poczuł, że krzesło trochę się poruszyło.

Mocniej. Musisz odpychać się mocniej, powiedział sobie. Bolały go obtarte o dywan ramię i kolano. Krzesło przesunęło się trochę dalej. Balenger dyszał z wysiłku.

—Amanda? Jak daleko mam do rozbitego szkła? Pod poszwą od poduszki na jego twarzy osiadała para.

—Dwanaście stóp.

Nie! To mi zajmie całe wieki!

Próbuj!

Nie mogę.

Ruszaj się!

Zagrzmiało. Ściany się zatrzęsły. A potem w hotelu zapadła złowróżbna cisza i Balenger usłyszał jakiś inny odgłos. Niewyraźny. Daleki. Dobiegający od strony schodów. Odbijający się echem.

Odgłos wystrzału.

- Co to było? - zapytał Vinnie.

- Nie myśl o tym.

Ruszaj się! Balenger zmobilizował wszystkie siły i przesunął się o cal do przodu. Dwanaście stóp? To za daleko. Nie może się udać.

Kolejny strzał.

I kilka następnych. Jeden po drugim.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece - jęknął Vinnie.

Bardziej się postaraj, pomyślał Balenger. Słyszał teraz krzyki, daleko na dole, odbijające się echem od ścian klatki schodowej, szybujące w górę.

—Proszę, Boże, miej nas w opiece - powtórzył Vinnie. Balenger sprężył się i przesunął krzesło o trzy cale.

—Zaczekaj - powiedziała Amanda.

—Co się stało?

- Zaraz zderzysz się ze stolikiem do kawy. Stoi na nim świeczka. Przewrócisz ją.

Przewrócę ją, wznienę pożar i spłonimy żywcem, zanim Ronnie zdąży nam uciąć głowy, pomyślał Balenger. Czując, że za chwilę straci zmysły, chciał krzyczeć tak długo, aż struny głosowe spłyną mu krwią.

- Gdzie jest ten stolik?

—Mniej więcej dziesięć cali od boku twojego krzesła. Z klatki schodowej dobiegły kolejne krzyki.

—Gdzie jest świeczka?

—W rogu, który jest najbliżej ciebie.

Nigdy nie dopełnę do tego rozbitego szkła, pomyślał. Kompletnie wyczerpany przesunął krzesło w innym kierunku.

—Za chwilę zderzysz się ze stolikiem - ostrzegła go Amanda.

—Taki mam zamiar.

—Co?

—Potrzebna mi świeczka.

Na schodach zapadła cisza. Dwanaście stóp albo dziesięć cali. Balenger jęknął, napiął mięśnie i przesunął krzesło. Na dworze zagrzmiało.

- Róg stolika jest przy twojej twarzy -
powiedziała Amanda.

Balenger zaczerpnął powietrza. Na jego górnej wardze osiadły kropelki wilgoci. Taśma krępowała jego ramiona, ale mógł zginać łokcie i poruszać przedramionami. Dotknął gładkiej metalowej nogi stolika. Krzywiąc się z bólu, bojąc się, że wywichnie sobie barki i łokcie, sięgnął wyżej i wyczuł pod palcami róg szklanego blatu. Jeszcze trochę wyżej, pomyślał. Nie mogąc znieść bólu w wykręconych łokciach i nadgarstkach, uniósł dłonie i załkał z ulgi, gdy jego rękawice dotknęły świeczki.

Ściągnął ją z podstawki i zsunął z blatu, czując, jak stearyna kapie mu na wiatrówkę. Trzymając poziomo świeczkę, wsunął ją między nogi i przytrzymał mocno udami. Widziany przez poszwę płomyk był wystarczająco wyraźny, by Balenger mógł ustawić nad nim skrepowane taśmą nadgarstki. Poczuł żar przez rękawice i rękawy.

Samoprzylepna taśma nie pali się, lecz topi. Starając się odsunąć od siebie nadgarstki, wyobrażał sobie, jak się kurczy i jak wyskakują na niej bąble. Żar był coraz większy, płomień parzył go w ręce. Poczuł, jak taśma mięknie i rozciąga się. W końcu puściła. Odsunął czym prędzej dłonie od płomienia i ostro je wykręcił, uwalniając od resztek taśmy.

Czując, jak kręci mu się w głowie od nadmiaru dwutlenku węgla, ściągnął z głowy przepoconą poszwę i głęboko odetchnął. Wspaniale było móc użyć obu rąk. Wyciągnął świeczkę spomiędzy ud i przystawił jej płomyk do lewego ramienia, topiąc taśmę, którą Tod przywiązał go do krzesła. Zaczęła się palić jego wiatrówka. Czuł, że na skórze wyskakują mu pęcherze. Przełożył świeczkę do lewej ręki, a prawą ugasił płomień na piersi.

Od smrodu topiącego się plastiku zrobiło mu się niedobrze, ale opanował mdłości i pociągnął za końce taśmy, uwalniając ramiona. Rozgorączkowany nachylił się, stopił taśmę, która krępowała jego kostki i zerwał się na nogi. Nasłuchując odgłosów dobiegających z klatki schodowej, sięgnął po kawałek szkła, ale w tym samym momencie wśród sprzętu wyrzuconego z plecaków dostrzegł nóż. Jasne, pomyślał, Tod, Mack i JD mieli więcej noży, niż potrzebowali. Któryś z nich chciał zrobić więcej miejsca na monety.

Na schodach rozległy się czyjeś kroki.

Balenger podbiegł do Vinniego i przeciął taśmę na jego barkach, nadgarstkach i kostkach. Kroki na schodach zbliżały się. Vinnie złapał kawałek szkła i podbiegł do Córy, a Balenger do Amandy. Obaj zaczęli ciąć taśmę, starając się jak najszybciej uwolnić kobiety.

Zagrzmiało. W ciszy, która nastąpiła zaraz po uderzeniu pioruna, ponownie dały się słyszeć kroki. Powolne i odmierzone, przywodziły na myśl kogoś, kto stąpa z bolesną ostrożnością, odurzony alkoholem albo narkotykami. Albo kogoś tak przekonanego o swojej przewadze, że nie musi się śpieszyć.

Córa i Amanda ściągnęły z rąk i nóg resztki taśmy i zerwały się z krzeseł. Balenger zauważył młotek, który Tod zostawił na stercie sprzętu. Rzucił go Vinniemu, a sam stanął z gotowym do ataku nożem.

- Zgaście lampy przy kaskach - szepnął i skupił całą uwagę na oświetlonym świeczkami czarnym wylocie schodów.

Kroki coraz bardziej się zbliżały. Powolne. Cierpliwe. W głębi schodów pojawił się cień. Balenger przygotował się do ataku. Czyjaś dłoń podniosła się i opadła. Trzymała pistolet, który jednak w nic nie celował. Ręka poruszała pistoletem w podobny sposób, w jaki ślepiec porusza laską, sprawdzając teren przed

sobą. Pojawiła się głowa. Noktowizor. Tatuże. To był
Tod. Stanął na podeście. Sprawiał wrażenie
zamroczonego. W blasku świec Balenger zobaczył, że
jest cały zakrwawiony.

- To tu... To wy...

Tod zsunął z oczu gogle, jakby doszedł do wniosku, że pokazywany przez nie obraz nie może być prawdziwy. Nie wydawał się zaskoczony tym, że Balenger, Vinnie, Córa i Amanda uwolnili się z więzów. Najwyraźniej nie obawiał się również, że cała czwórka zdoła go obezwładnić, nim zdąży się obronić. Na jego twarzy malowała się ulga.

—Dzięki Bogu. - Ciężar złotych monet, którymi wypchał plecak i kieszenie, spowalniał jego ruchy. Cofnął się od schodów i bacznie im się przyjrzał. - Musimy się teraz trzymać razem. Potrzebna nam będzie każda para rąk.

—Jesteś ranny? - zapytał Balenger. - Masz krew na...

—To nie moja krew. - Tod usłyszał plusk deszczu i spojrzał w stronę otwartych drzwi, za którymi rozciągał się mrok. - Nie! Jezus. Musimy je zamknąć. Musimy je znowu zabarykadować. Pośpieszcie się. Nie ma czasu. Zamknijcie je. Już. Ja popilnuję schodów. Zastrzelę każdego, kto wejdzie po tych schodach.

W blasku świec widać było jednak, że zamek pistoletu jest cofnięty. Magazynek był pusty.

- Daj mi pistolet - polecił Balenger.

—Potrzebuję go.

—Wystrzeliłeś wszystkie pociski.

—Co takiego?

—Opróżniłeś magazynek.

—Opróżniłem?

—Vinnie! Amanda! - zawołała Córa. -

Pomóżcie mi przy drzwiach!

Razem zamknęli je i zastawili meblami.

- Zapasowy magazynek - powiedział Balenger.

- Gdzie on jest?

Tod nadal wpatrywał się jak w transie w wyłot schodów.

- Oddaj mi tę cholerną broń.

Balenger wyrwał mu pistolet z dłoni, zdumiony tym, jak bardzo zmieniła się sytuacja. Jeszcze przed chwilą Tod zastrzeliłby go za sam zamiar odebrania broni.

Znalazł zapasowy magazynek przy pasie Toda, po czym z wojskową wprawą wyrzucił pusty, wsunął pełny i wcisnął przycisk zwalniający rygiel, dzięki czemu zamek przesunął się do przodu i pocisk znalazł się w komorze. Świadomość, że jest ponownie uzbrojony, dodała mu na chwilę pewności.

—Co się stało? - zapytał, celując w stronę schodów.

—Nie jestem pewien - odparł Tod i skrzywił się. - To znaczy, wiem dobrze, co się stało. Nie jestem tylko pewien jak.

—Gdzie są twoi kumple?

—Schodziliśmy po schodach.

—Wiem o tym. Opowiedz mi o...

—Schodziliśmy i schodziliśmy. Kręcąc się w kółko. Na każdym piętrze był korytarzyk taki jak tutaj. Każdy trochę dłuższy.

—Jasne. Każde piętro pod nami jest szersze od poprzedniego. Żeby dotrzeć do wszystkich pokoi i podglądać, co się w nich dzieje, Carlisle musiał przedłużyć korytarzyki.

—Każdy był coraz dłuższy - powtórzył Tod. - W końcu zeszliliśmy na dół.

—Vinnie - powiedział Balenger. - Zdejmij mu razem z Córą i Amandą plecak. Wyrzucicie monety i włożcie tam tyle sprzętu, ile się zmieści. Resztę będziemy nieśli.

—Ale nie było tam drzwi - kontynuował Tod. - Nie mogliśmy znaleźć żadnych drzwi. - Tatuże na jego twarzy zniknęły niemal pod plamami krwi. - Nie mogliśmy żadnych znaleźć, choć bardzo nam na tym zależało. Przebiegliśmy cały korytarz. W ogóle nie miał końca. Nigdzie nie było drzwi. Ale wreszcie znaleźliśmy coś innego.

—Co takiego?

—Zwłoki.

Z ust Arhandy wydobył się gardłowy jęk.

—Była martwa od bardzo dawna - powiedział Tod.

—Była?

—Kobieta. Miała na sobie suknię. Staromodną suknię. Ale wyglądała jak mumia. Od tak dawna już nie żyła. Cała zasuszona, z pustymi oczodołami. W goglach trudno powiedzieć, bo wszystko jest zielone, ale miała chyba blond włosy. Tak jak ona. - Tod pokazał Amandę. - Siedziała w rogu, jakby dobiegła tam, usiadła, żeby odpocząć, i nigdy się już nie obudziła. Na kolanach miała torebkę.

Z ust Amandy ponownie wydobył się jęk.

—Pobiegliśmy z powrotem do schodów. Mack był taki przerażony, że podniósł łom, żeby wybić w ścianie otwór, przez który moglibyśmy przeleźć. Ale zanim zdążył się zamachnąć, ktoś walnął w ścianę po drugiej stronie.

—Ronnie - wymamrotała Amanda.

—Widziałem miejsce, w którym zadrzała

ściana. Strzeliłem tam. A potem stuknięcie rozległo się w innym miejscu i tam też strzeliłem. Nagle stukanie słychać było wzdłuż całej ściany, a ja strzelałem i strzelałem. Mack i JD pobiegli na górę po schodach. Ja ruszyłem za nimi. Bez przerwy trzeba było się kręcić w kółko. Nad sobą usłyszałem krzyk. To był Mack. Spadał na mnie. Miał rozcięte nogi. Krew tryskała z nich jak ze szlauchu. Spadł w dziurę między schodami i balustradą.

„Co go przecięło?” - wrzasnął JD. Nie zdążyłem się nawet odezwać. „Apartament z sejfem! Wiemy, jak się z niego wydostać!” - zawołał JD i pognął na górę. I nagle on też spadał. Jego nogi też były rozcięte. Z nich też tryskała krew. Myślałem, że tracę zmysły. Chciałem puścić się biegiem, ale powtarzałem sobie, że muszę zwolnić, muszę odkryć, co jest na tych schodach. Zacząłem więc iść bardzo powoli, machając przed sobą pistoletem i wtedy właśnie go dotknąłem...

—Dotknąłeś czego?

—Drotu tnącego nad schodami. Napiętego. Cienkiego. W goglach w ogóle go nie widziałem. Wyczułem go pistoletem, a potem dotknąłem palcem. Jezu, był taki ostry, że wystarczyło go lekko nacisnąć, żeby się skaleczyć.

—Drot tnący - powiedział Balenger.

—Może i straciłem zmysły. Przelazłem pod drutem i zacząłem nogą za nogą wspinać się po schodach, wymachując pistoletem i szukając następnych zasadzek.

—Zostawiłeś ich tam na dole żywych?

- Wierz mi, krwawili tak obficie, że nie pożyją długo.

Z dołu dobiegł czyjś krzyk.

- Wygląda na to, że któryś z nich żył dłużej, niż sądziłeś - rzekł Balenger.

Ktoś znowu krzyknął.

—Wszyscy straciliśmy zmysły - mruknęła Córa.

—Ale jak Ronnie...?

—Szedł za wami z góry - oznajmił Balenger.

—Był za nami na schodach? - zdziwił się Tod.

—Kiedy zeszliście na parter, naciągnął druty. A potem przeszedł przez ukryte drzwi do głównej części hotelu. Zaczął walić w ściany, żebyście wpadli w panikę i popędzili z powrotem na górę. Tod wyciągnął komórkę.

—Co robisz? - zapytał Vinnie.

—Dzwonię do brata w Atlantic City. On zawiadomi policję. Sprowadzi pomoc.

—Więc uznałeś, że więzienie jest lepsze niż stawienie czoła Ronniemu? - zapytała z odrazą Córa.

—Brat mnie uratuje. - Tod skończył wciskać cyfry i przystawił telefon do ucha. - Brat sprowadzi tutaj policję i... Nie! Nie! Nie! - zawołał nagle.

—Co się stało?

Gdzieś blisko uderzył piorun.

- Nie działa! - wrzasnął Tod. - Ta pierdolona burza

zakłóciła łączność!

—Powinieneś zadzwonić trochę wcześniej. - Vinnie poczerwieniał z wściekłości. - Teraz chyba my przywiążemy cię do krzesła i pozwolimy, żeby Ronnie się z tobą zabawiał.

—Nie zrobicie tego.

—Jesteś pewien? Myślisz, że nie jestem na ciebie wystarczająco wkurzony, żeby...

—Nie możecie sobie na to pozwolić. Jesteśmy teraz kumplami - odparł Tod. - Nie rozumiesz tego? Musimy się trzymać razem. Potrzebna wam będzie każda para rąk.

—Wsadzimy do plecaka tyle sprzętu, ile się da - powiedział Vinnie do Balengera. - Co się nie zmieści, przytroczymy do pasków. Raporty policyjne są nadal w kieszeni plecaka. Domyślałam się, że nie wiedzieli, że tam są. W przeciwnym razie też by je wyrzucili. Chcesz na pamiątkę? - zapytał, dając mu monetę.

Balenger wziął ją, czując, jaka jest ciężka, gruba, jakie ma idealne brzegi. Po jednej stronie widniał na niej wspaniały orzeł. Po drugiej dorodna Statua Wolności. Złoto świeciło się. DWADZIEŚCIA DOLARÓW POKŁADAMY UFNOŚĆ

W BOGU.

- To wielkie słowo: „pamiątka” - rzekł. - Oznacza, że mamy szansę to przeżyć i zapamiętać. Brzmi w nim nadzieja. - Ucałował monetę i schował ją do kieszeni. – Może przyniesie nam szczęście.

- To sprzęt, który zostawiliśmy dla ciebie – poinformowała go Córa, wskazując stos rzeczy.

Balenger założył pasek z narzędziami i przytroczył do niego krótkofalówkę, młotek oraz w połowie napełnioną butelkę wody.

—Gdzie jest łom?

—Mówiłem ci, że miał go Mack.

—Ty cholerny głupcze... - Balenger przyjrzał się wskazaniom na czujnikach gazu i zostawił je na podłodze. Stanowiły teraz niepotrzebny luksus. - Jest coś jeszcze, co możemy zostawić - dodał, podnosząc pistolet na wodę. - Wyrzucili go, żeby zabrać więcej monet.

—Daj mi go.

Córa podniosła pistolet do nosa, jakby łudziła się, że poczuje zapach nieżyjącego męża, ale odraza, z jaką potrząsnęła głową, wskazywała, że w nozdrza wpadła jej wyłącznie woń octu.

Amanda wyglądała, jakby przemarzła na kość.

- Proszę. Weź moją wiatrówkę - powiedział Vinnie, zarzucając jej kurtkę na ramiona.

Amanda włożyła ją na koszulę nocną, wdzięczna za odrobinę ciepła. Wiatrówka sięgała jej do bioder.

—Gotowi? - zapytał Balenger.

—Do czego? - chciał wiedzieć Tod. - Nic więcej nie możemy zrobić.

—Możemy zająć wyższą pozycję.

—Wyższą pozycję? Co masz na myśli?

—Penthouse. - Balenger podniósł z podłogi

swój kask. Lampa nie paliła się. Przekręcił wyłącznik, ale to nic nie dało. - Ty gnoju, rozbiłeś mi lampę.

—Penthouse? - powtórzył z obawą w głosie Tod.

—Nie mogę. - Amanda zadrżała. - Tam właśnie zabierał mnie Ronnie.

—Są inne tajne klatki schodowe. Jestem tego pewien - ciągnął Balenger, spoglądając z zalem na bezużyteczną lampę przy kasku. - Wszystkie prowadzą do penthouse'u. Ronnie nie może ich wszystkich obstawić. Znajdziemy schody,

które tam prowadzą, zanim on zda sobie sprawę, że nas tu nie ma.

—Jasne, ale możemy również wybrać schody, które zaprowadzą nas prosto do niego - mruknął Tod.

—Twój pomysł polega na tym, żebyśmy czekali, aż nas zaatakuje.

—Mamy pistolet.

—Tylko z trzynastoma pociskami, dzięki tobie. I skąd wiesz, że Ronnie także nie jest uzbrojony?

Tod wyglądał, jakby zrobiło mu się niedobrze.

—Powinieneś wyrzucić te monety. - Balenger wskazał wypchane kieszenie Toda. - Będziesz się z nimi wolniej poruszał.

—Nie ma mowy, żebym wyrzucił tyle forsy.

—Vinnie i Córa mają lampy przy kaskach. Gdzie jest twoja latarka?

—Zgubiłem ją.

—Wspaniale, kurwa - zaklął Vinnie. - Więc została nam tylko ta jedna, którą Mack albo JD wyrzucili, żeby zabrać więcej monet - dodał, pokazując latarkę, którą przypiął wcześniej do paska.

—Mamy niewiele światła. Lepiej zgaśmy te świece i zabierzmy je ze sobą - powiedział Balenger. - I weźmy coś jeszcze.

Kiedy siedział przywiązany do krzesła, czekając, aż Ronnie utnie mu głowę, powtarzał sobie, że nigdy już nie doświadczy gorszego koszmaru. Ale życiowe doświadczenie podpowiadało mu, że się mylił. Wszystko zmierza ku gorszemu. Wszystko zawsze zmierza ku gorszemu. Świadczyło o tym to, co musiał teraz zrobić.

Spojrzał na spoczywające na sofie bezgłowe

ciało profesora. Leżąca między nogami Conklina lampa nadal świeciła przez materiał. Starając się opanować wstręt, uniósł skraj zakrwawionego prześcieradła i dotknął drżącymi dłońmi brody profesora. Z jeszcze większą odrazą odpiął pasek i pociągnął kask, czując, jak wysuwa się z niego ucięta głowa. Wyciągnął kask spod prześcieradła i o mało się nie popłakał, widząc, jaki jest zakrwawiony.

—Przykro mi, Bob - szepnął. - Tak mi przykro.
Wkładając kask na głowę, poczuł, jak łapie go skurcz.

—Chodźmy - rzekł.

Balenger zerknął uważnie w dół i zaczął wchodzić po metalowych stopniach na najwyższe piętro. Za sobą słyszał kroki pozostałych.

- Za belką po twojej prawej stronie jest przełącznik - powiedziała Amanda, kiedy chciał unieść klapę. - Ronnie zawsze go wciska, zanim uniesie właz. Moim zdaniem unieszkodliwia w ten sposób jakąś pułapkę.

Balenger obmacał belkę, znalazł przełącznik, wcisnął go i dopiero wtedy podniósł klapę. Otworzyła się bez skrzypienia zawiasów, które słyszał gdzie indziej w hotelu, i przyjął to z ulgą, choć po chwili wydało mu się to podejrzane. Zamiast skrzypienia zawiasów usłyszał wyraźniejsze odgłosy burzy. Światlik nie sięgał tutaj i do środka nie lała się woda. Deszcz szukał jednak drogi na dół, bębniąc zawzięcie o dach.

W świetle jego lampy ukazało się mroczne pomieszczenie. Krzesło. Biurko. Łóżko z baldachimem. Tapety na ścianach. Wszystko utrzymane w wykwintnym wiktoriańskim stylu. W nozdrza wpadł mu zapach silnych detergentów.

Ostrożnie omiół wzrokiem podłogę i zauważył dźwignię, która uniosła się razem z klapą. Przymocowane były do niej przewody prowadzące do metalowej skrzynki. Wyobraził sobie, co by się stało, gdyby Amanda nie przypomniała sobie o przełączniku.

- Wygląda mi to na materiały wybuchowe - powiedział. - Ronnie uznał pewnie, że jeśli wejdzie tędy niewłaściwa osoba, trzeba zadbać o usunięcie wszystkich dowodów.

Omiatając w dalszym ciągu pokój światłem

lampy, wdrapał się na górę i wycelował w mrok z pistoletu. Tod, Amanda, Córa i Vinnie weszli w ślad za nim. Ich lampy oraz latarka Vinniego oświetliły różne zakamarki pokoju.

—Nie ma kurzu ani pajęczyn - zdumiała się Córa.

—Ronnie zachowuje tutaj nieskazitelną czystość - odparła drżącym głosem Amanda.

Zamknawszy klapę, Vinnie zauważył przy niej rygiel i wsunął go w metalową obejmę przykręconą do podłogi.

- Od spodu nie da się jej otworzyć - oznajmił.

W porównaniu z chłodem panującym w apartamencie Danaty tutaj było, co dziwne, o wiele cieplej.

- Pośpieszcie się. Musimy znaleźć inne włazy i zamknąć je, zanim Ronnie wejdzie przez jeden z nich – zakomenderował Balenger i ruszył w stronę najbliższych drzwi.

- Nie. Tam jest łazienka - poinformowała go Amanda. Kiedy skręcił ku drzwiom znajdującym się po lewej stronie, pokój zalało padające z góry jaskrawe światło. Oślepiony, osłonił lewą ręką oczy i kucnął z gotowym do strzału pistoletem.

- Skąd to...? - wyjąkał.

Amanda stała przy ścianie z dłonią na kontakcie.

- W penthousie jest elektryczność - rzekła.

Ta informacja była tak zaskakująca, że Balenger potrzebował dłuższej chwili, by ją sobie przyswoić. Teraz zrozumiał, dlaczego na górze było ciepło - działało ogrzewanie.

- Chryste - jęknął Tod i to jedno słowo mimowolnej modlitwy wyrażało całą jego konsternację.

Balenger wbiegł do sąsiedniego pokoju, znalazł na ścianie kontakt... po raz kolejny poraziło go światło.

Mrużąc oczy, zobaczył cały rząd elektronicznych urządzeń i ekranów.

—To system monitoringu Ronniego - wyjaśniła Amanda.

—Włącz wszystko - polecił jej Balenger. Zauważył, że metalowa okiennica po jego lewej stronie jest mniejsza od tych, które widział w innych miejscach w hotelu. Całą uwagę skupił jednak na mieszczącym się w podłodze włazie. Był zaryglowany i od niego również biegły druty do metalowej skrzynki.

Następne drzwi prowadziły w innym kierunku. Uświadomił sobie nagle, jak wygląda rozkład całego najwyższego piętra. Podzielone było na cztery sektory, po dwa pokoje w każdym. Wewnętrzne ściany sektorów okalały sięgający szklanego dachu pusty centralny trzon hotelu, tam gdzie znajdowały się główne schody.

W następnym pokoju, w którym zapalił światło, była biblioteka: sięgające od podłogi do sufitu półki, niezliczone, oprawne w skórę książki, dwa wiktoriańskie fotele oraz kolejny zaryglowany właz z drutami podłączonymi do metalowej skrzynki. Balenger czuł się coraz bardziej nieswojo. Na półkach przy wewnętrznej ścianie nie było książek. Zamiast nich z tynku wystawały okulary małych teleskopów, które pozwalały Carlisle'owi obserwować to, co działo się w hotelu, stanowiąc jakby prymitywną wersję systemu Ronniego.

Wchodząc do następnego pokoju, przeskoczył niemal całe stulecie. Mieściło się tutaj nowoczesne studio multimedialne, z płaskoekranowym telewizorem, systemem dźwięku przestrzennego, odtwarzaczami DVD i VHS, półką na płyty DVD i taśmy wideo oraz sofą, z której można się było delektować tym wszystkim. Tu również do zaryglowanej klapy podłączone były druty biegnące do metalowej skrzynki.

Kolejne drzwi prowadziły do następnego sektora. Balenger zobaczył kuchnię urządzonej w stylu lat sześćdziesiątych: lodówkę i kuchenkę w popularnym w tamtej epoce zielonym kolorze awokado. Zbyt to go nie zdziwiło. Ronnie mógł tutaj wnieść niepostrzeżenie sprzęt audio i wideo, ale instalacja nowej lodówki i kuchenki, nie wspominając już o nowych szafkach, wzbudziłyby zbyt wielkie zainteresowanie. Zielony był nawet zlewozmywak.

Tu również był wąż, taki sam jak inne.

Schizofreniczny przeskok w czasie czekał go i w następnym pokoju. Zapalając światło, znalazł się ponownie w roku 1901, w wiktoriańskiej jadalni.

Kolejny wąż, nie różniący się od innych. Kolejne teleskopy w ścianie.

Drzwi po prawej stronie prowadziły do następnego sektora. W świetle podsufitowej lampy ukazał się prymitywny sprzęt do ćwiczeń, wczesna wersja bieżni oraz rower stacjonarny. Balenger wyobraził sobie Carlisle'a, wyrabiającego tu sobie mięśnie, które wraz ze sterydami i witaminami miały mu pomóc zwalczyć krwotoki. Stojące w rogu ciężary musiały jednak należeć do Ronniego, nie do Carlisle'a. Ich dźwiganie prędzej spowodowałoby krwawienie w mięśniach, aniżeli mu zapobiegło.

Tam gdzie spodziewał się ujrzeć zaryglowaną, podłączoną do przewodów klapę i małą metalową okiennicę, znajdowała się niewielka budka z drzwiami. Obok nich zamontowany był przycisk. Winda. Celując w drzwi, Balenger otworzył je i zobaczył mosiężną przesuwaną kratę i ciemny szyb.

Zamknawszy drzwi windy, zastawił je kilkoma ciężarami i przeszedł do ostatniego sektora, gdzie zastał zatroskanego Vinniego, który zdążył już tam wejść z sypialni i zapalić światło. Kiedy dołączyli do nich Córa,

Amanda i Tod, Balenger zobaczył kolejny zaryglowany i podłączony do przewodów właz. Tym razem jednak bardziej zainteresowało go wyposażenie, które upodabniało pokój do gabinetu lekarskiego. Szklana szafka z lekami. Strzykawki. Stół do badań. Wieszaki z nierdzewnej stali na pojemniki z krwią, którą można było przetoczyć do żył Carlisle'a. W tej desperacji było coś niezdrowego. Jak nie doprowadzić do krwawienia u pacjenta, wbijając mu w żyłę igłę z lekarstwem, które miało go uchronić przed krwawieniem?

- Wszystkie włazy są zaryglowane - oświadczył.

- Zyskaliśmy nieco na czasie - odezwał się Vinnie - ale powinniśmy chyba unieszkodliwić jakoś materiały wybuchowe. Nie wiadomo, czy Ronnie nie może ich zdetonować pilotem.

Wszyscy spojrzeli wyczekująco na Balengera, który rozłożył bezradnie ręce.

—W wojsku materiały wybuchowe nie były moją specjalnością - przyznał.

—Ale musiałeś się o nich czegoś dowiedzieć na szkoleniu - upierała się Amanda.

—Niezbyt wiele - odparł.

—Dlaczego te okiennice są takie małe? - zapytał za jego plecami Tod.

—Mówiliśmy ci już, Carlisle cierpiał na agorafobię - powiedział Vinnie. - Otwarta przestrzeń napawała go przerażeniem. Nigdy nie wyszedł z hotelu.

Z wyjątkiem tego jednego razu, kiedy zastrzelił się na plaży, pomyślał Balenger.

—Tolerował tylko widok z małych okien - dodała Córa.

—Co za popapraniec. - Tod przyjrzał się kilku ampułkom. - O niektórych z tych leków nigdy nie słyszałem.

—Poprawiają krzepliwość krwi - wyjaśnił Vinnie.

—Ten nie. To morfina. Lubił dawać sobie w żyłę?

—Carlisle potrzebował jej, żeby uśmierzyć ból, kiedy krew sączyła się do jego stawów.

—Do stawów? Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Na nalepce na morfinie jest data tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt jeden. - Toda najwyraźniej kusiło, żeby schować ampułkę do kieszeni, ale po chwili zmienił zdanie. - Ten

towar chyba już nie działa. Można się nim tylko zatruć.

Balenger rozpiął wiatrówkę i schował pistolet do kabury pod pachą. Klękając, przyjrzał się drutom podłączonym do dźwigni przy klapie.

- Może wolicie przejść do drugiego pokoju, kiedy będę to robił - powiedział.

Nikt się nie poruszył. Z wyjątkiem Toda.

—Ja jeden mam dość oleju w głowie, żeby się schować - mruknął i wyszedł do sypialni.

—Jeśli ten ładunek wybuchnie - wtrąciła Córa - nie będzie chyba miało dużego znaczenia, gdzie się schowamy.

Vinnie uklęknął przy Balengerze.

- Poza tym, jak będziemy mogli ci pomóc, nie wiedząc, co robisz?

Balenger spojrział na nich z respektem i wstrzymując oddech, wyciągnął druty z wtyczek przy dźwigni. A potem wypuścił z płuc powietrze i uniósł pokrywę skrzynki.

Pozostali zaglądali mu przez ramię.

—To plastik - oświadczył spokojnym tonem Balenger. - Detonator jest wciśnięty w sam środek.

—Czy to ten przedmiot, który wygląda jak krótki ołówek? - zapytała Córa.

—Tak. Jest do niego podłączone jakieś elektroniczne urządzenie. Unosząca się klapa przesuwając dźwignię i te przewody stykają się z inną parą drutów. To zamyka zasilany baterią obwód i uruchamia detonator.

—Czy to elektroniczne urządzenie może zostać uruchomione pilotem? - zapytał Vinnie.

—Nie wiem. Niewykluczone, że jest również tak zaprogramowane, by wybuchło, kiedy ktoś

przetnie druty. Najprościej będzie... - Balenger uspokoił oddech - ...wyciągnąć detonator z bloku materiałów wybuchowych.

—To również może spowodować wybuch - zauważył Vinnie.

—W takim razie wracamy do punktu wyjścia i czekamy, żeby przekonać się, czy Ronnie zdetonuje te bomby na odległość.

—Jesteśmy zgubieni, jeśli to zrobimy, i zgubieni, jeśli tego nie zrobimy - mruknął Vinnie.

—Zgubieni tak czy inaczej - podsumowała Amanda.

Balenger otarł pot z czoła. Sięgnął do metalowej skrzynki, a potem zawahał się, zdjął rękawice i sięgnął ponownie. Na odgłos pioruna wzdrygnął się. Starając się uspokoić drżące palce, wyciągnął detonator, wyjął blok plastiku, który był miękki jak wosk, i położył go w pewnej odległości od skrzynki.

—Czy przekładanie go nie jest niebezpieczne? - zapytał Vinnie, cofając się.

—Jak w przypadku nitrogliceryny, która wybucha przy najmniejszym wstrząsie? Nie. - Balenger wytarł dłonie o dzinsy. - Plastik jest stabilny. Można walić w niego młotkiem. Można nim ciskać o ścianę. Można przystawić do niego zapaloną zapalkę. Nie wybuchnie, póki nie dojdzie do wstępnej eksplozji, która dostarczy niezbędnego ciepła. W tym momencie to jedna z najmniej niebezpiecznych rzeczy w tym hotelu - powiedział, wskazując blok plastiku.

—Nie dodało mi to specjalnie otuchy - wyznała Córa.

—Zostało nam jeszcze sześć ładunków - stwierdził Balenger tonem kogoś, kto toczy głaz po zboczu góry. - Jeśli Ronnie może zdetonować je pilotem, po ich usunięciu wybuchną same detonatory. Ale nawet one mają niezłego kopa. Trzymajcie się od nich z daleka.

Świadom tego, że zostało im mało czasu, ruszył do sypialni, żeby rozbroić znajdującą się tam bombę.

—W siłowni jest winda - zwrócił się do Amandy. - Czy działa?

—Nie wiem.

—Córa? Mówiłaś, że nie mogłaś znaleźć kluczy do niektórych pokoiów.

—Tak. Do penthouse'u, apartamentu Danaty i

całego pionu od numeru trzysta dwadzieścia osiem do sześćset dwadzieścia osiem.

—Chyba wiemy, co jest za tymi drzwiami. Szyb prywatnej windy Carlisle’a.

—Zapaliliśmy tyle świateł - burknął Vinnie. -
Może są widoczne z zewnątrz. Może ktoś przyjdzie i nam pomoże.

- Nie - odparła Amanda. - Nikt ich nie zobaczy.

Ronnie przechwalał się, że penthouse jest kompletnie zaciemniony.

Balenger zaklął i ruszył z powrotem do sypialni.

—Patrzyłem, jak to robiłeś - powiedział Vinnie.

- Postaram się rozbroić inne skrzynki.

—Powoli i ostrożnie.

—Możesz być tego pewien.

—Tod? - zawołał Balenger.

—Jestem w sali z monitorami. Oglądam obraz z kamer!

Balenger podszedł do drzwi po drugiej stronie sypialni i zajrzał do środka. Na ustawionych w rzędach monitorach widać było zielonkawe obrazy z kamer noktowizyjnych.

Tod był tak skupiony, że tatuaże na jego twarzy zupełnie znieruchomiały.

- Może uda mi się zobaczyć, co robi ten psychol - mruknął.

Na monitorach w górnym rzędzie widać było rejestrowane pod różnymi kątami obrazy hotelu z zewnątrz. Dolne monitory przedstawiały mroczne wnętrza: hol wejściowy, zniszczoną klatkę schodową, schody przeciwpożarowe, a także kotłownię, gdzie ukryta kamera wycelowana była w drzwi, przez które wyszli z kanału. Drzwi były otwarte, co potwierdziło podejrzenia Balengera, że Tod i jego kumple nie zamknęli ich po wejściu do hotelu.

—Na razie widziałem tylko szczury, ptaka i dziwnego kota z trzema tylnymi łapami - poinformował go Tod.

—Na tle całej reszty kot zaczyna wyglądać normalnie. - Balenger nie rozpoznawał jednego z wnętrz: opuszczonego garażu, w którym kamera wycelowana była w metalowe drzwi. - To tedy Ronnie musi wchodzić do hotelu - powiedział, po czym wrócił do sypialni.

Odłączył tam przewody od dźwigni przy kłapie, otworzył pokrywę skrzynki i wyciągnął detonator z ładunku.

- Trzy rozbrojone - usłyszał głos Vinniego z sąsiedniego pokoju.

—Cztery - dobiegł go z większej odległości
głos Córy.

—To on - rzekła nagle Amanda.

Balenger nie bardzo wiedział, o co jej chodzi.
Słuchając bębniącego o dach deszczu, podniósł wzrok i
zobaczył, że Amanda trzyma w rękach oprawioną w
ramki fotografię.

- Ronnie - powiedziała, pokazując zdjęcie. - To
jest Ronnie.

Czując, jak przechodzi go dreszcz, Balenger wyprostował się i wbił wzrok w trzymaną przez Amandę czarno-białą fotografię. Widać było na niej starszego mężczyznę w garniturze, stojącego obok młodzieńca w swetrze. Szerokie bary i potężna klatka piersiowa starszego mężczyzny musiały nadawać mu kiedyś wygląd siłacza. Mimo głębokich zmarszczek kwadratowe szczęki sugerowały, że w młodości był całkiem przystojny. Okolona siwymi włosami głowa przypominała Balengerowi Billy'ego Grahama w podeszłym wieku. Właściwie wszystko w nim, zwłaszcza przenikliwe oczy, przypominało telewizyjnego kaznodzieję.

- Morgan Carlisle - wyszeptał. - Tak właśnie opisywał go Bob. Te hipnotyzujące oczy.

Na fotografii Carlisle uśmiechał się, podobnie jak towarzyszący mu chudy młodzieniec, który niedawno musiał skończyć dwudziestkę. Pociągła twarz i przycięte po bokach włosy podkreślały jego smukłą sylwetkę. W przeciwieństwie do oczu Carlisle'a oczy młodzieńca nie wyrażały kompletnie nic. Podobnie jak jego uśmiech, który był całkowicie sztuczny.

- To Ronnie - oznajmiła z odrazą Amanda.

Balenger przyjrzał się uważniej fotografii. Ciemna boazeria w tle przypominała tę w hotelu. Starszy pan, choć uśmiechnięty, zachowywał dystans, trzymając ręce po bokach. Sweter młodzieńca miał pod szyją wycięcie w charakterystycznym stylu, który Balenger zapamiętał z filmów z lat sześćdziesiątych. Na płaskiej twarzy słabo uwydatniały się kości policzkowe i podbródek.

- Ten drugi mężczyzna to ojciec Ronniego – powiedziała.

Amanda, pokazując palcem starca.

—Carlisle? Nie, nie mógł nim być.

—Ronnie twierdził, że ten człowiek jest jego ojcem.

—Nie ma żadnych dowodów na to, że Carlisle się ożenił.

—Co pic nie znaczy - oznajmił Vinnie, stając w progu pokoju z monitorami. On i i Córa skończyli rozbierać materiały wybuchowe. - Dziecko mogło się urodzić w związku pozamałżeńskim.

- Ale Carlisle był podglądaczem. Romantyczne porywy były obce jego naturze.

- Chyba że zakochał się w jednej z podglądanych kobiet - wtrąciła Córa, wchodząc do pokoju i zerkając na fotografię. - Carlisle. Możemy go w końcu zobaczyć. Potwora, który stworzył hotel Paragon. Jak ktoś tak pokręcony mógł być tak atrakcyjny? Założę się, że kiedy ten sukinsyn był młody, nie sposób było mu się oprzeć. Te oczy. Znalezienie chętnej partnerki nie powinno stanowić trudności.

- Może wcale nie była taka chętna - powiedział Vinnie.

Balenger energicznie pokręcił głową.

- Gwałt jest raczej wykluczony. Ofiara, nawet nafaszerowana narkotykami, mogłaby stawiać opór. Carlisle bałby się zadrapań i urazów, tego, że nie powstrzyma ewentualnego krwawienia.

—Ale gdyby miał syna, napisałby o tym w swoim pamiętniku - upierała się Córa.

—Nie, jeśli był nieślubny - odparł Vinnie. - Może chciał zachować istnienie dziecka w tajemnicy.

—Nadal wydaje mi się to mało prawdopodobne

- powątpiewał Balenger. - Z tego, co czytałem o chorych na hemofilię, wielu z nich woli nie mieć dzieci z obawy, że mogłyby odziedziczyć po nich chorobę.

- Ronnie powiedział mi, że to jego ojciec – powtórzyła z naciskiem Amanda, wskazując zdjęcie.

- Kiedy zostało zrobione? - zapytała Córa.

Balenger zdjął tył ramki i przyjrzał się odwrotowi fotografii.

- Jest tu data wywołania: trzydziesty pierwszy lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku.

- Carlisle miał wtedy osiemdziesiąt osiem lat.

Balenger usłyszał uderzający w pobliżu piorun.

- Powiedziałaś, Amando, że Ronnie ma koło pięćdziesiątki. To oznacza...

Vinnie szybciej od niego dokonał obliczeń.

—Zdjęcie zrobiono trzydzieści siedem lat temu.

Ma na nim koło dwudziestki. To oznacza, że dzisiaj może mieć koło pięćdziesięciu siedmiu lat. Nie ulega kwestii, że w piątkę damy sobie z nim radę.

—Jest silny - zaznaczyła Amanda.

—Widzisz coś na monitorach, Tod?

—Tylko kolejne szczury.

—Ja obserwuję windę - oznajmił Vinnie, zerkając w stronę siłowni.

—Co jeszcze powiedział ci Ronnie, Amando? - zapytał Balenger.

—Przechwalał się, że nigdy nie brakowało mu dziewczyn. Często recytował ich imiona.

—Imiona? - Balenger poczuł, jak lodowacieją mu dłonie.

—Iris, Alice, Vivian, Joan, Rebecca, Michelle. I wiele innych. Zawsze w tej samej kolejności. Imiona na liście były zawsze takie same.

Powtarzał mi je wystarczająco często, żebym zapamiętała.

Balenger czuł, jak rośnie w nim napięcie. Oddychając szybko i czując, jak coraz mocniej wali mu serce, starał się opanować targające nim emocje.

- Chcę, żebyś się dobrze zastanowiła. Czy recytując tę listę, wymienił kiedykolwiek imię Diane?

—Dianę? - Vinnie zmarszczył brwi. - Kim jest...

—Czy wymienił je, Amando? - Balenger położył jej dłoń na ramieniu. - Czy mówił kiedykolwiek o kobiecie, która nazywała się Dianę?

Amanda przez chwilę nie odpowiadała.

- Pod sam koniec.

- Kim jest Dianę? - zapytała zaintrygowana Córa.

Teraz to Balenger wstrzymywał się chwilę z odpowiedzią.

- To moja żona - wykrztusił w końcu.

3.00

- Żona? - szepnęła wstrząśnięta Córa.

Balenger spojrział na dyżurującego przy monitorach Toda.

- Powiedziałem wam prawdę. Nie jestem gliniarzem. Ale kiedyś nim byłem - dodał po krótkim wahaniu.

Tod potrząsnął z niesmakiem głową.

—A te opowieści o Iraku, kapturze na głowie i facecie z mieczem?

—To wszystko prawda. Byłem policjantem w Asbury Park. Moja żona i ja mieszkamy... mieszkaliśmy tutaj. Pracuje... pracowała... kiedy o niej myślę, nie wiem, jakiego użyć czasu. Dwa lata temu zniknęła.

Słuchali go tak uważnie, że mimo deszczu odnosiło się wrażenie, że w sypialni zapadła cisza.

- Była blondynką. Szczupłą. Jak Amanda. Miała trzydzieści trzy lata. Ale wyglądała młodziej, najwyżej na dwadzieścia kilka. Jak Amanda. - Balenger przyjrzał się swoim splecionym dłoniom. - Kiedy Mack otworzył drzwi skarbca i zobaczyłem tam Amandę, pomyślałem w pierwszej chwili, że to Dianę. Pomyślałem, że w końcu ją znalazłem, że wydarzył się cud i moja żona nadal żyje.

Patrząc na Amandę, która tak bardzo przypominała mu żonę, Balenger poczuł ucisk w piersi.

- Dianę pracowała tu w mieście dla firmy developerskiej, tej samej, która za dwa tygodnie zburzy ten hotel. Często jeździła do Nowego Jorku, żeby negocjować z zarządem powierniczym Carlisle'a sprzedaż gruntu, na którym stoi Paragon. Zarząd stale odmawiał. To straszna ironia losu, że musieli w końcu oddać teren za zaległe podatki. Ale przed dwoma laty nic na to nie wskazywało. I w trakcie ostatniej podróży na Manhattan Dianę zaginęła.

Balenger zaczerpnął z trudem powietrza.

- W Nowym Jorku znika mnóstwo ludzi. Jeździłem tam w weekendy i nieoficjalnie pomagałem w biurze osób zaginionych. Odwalałem w większości czarną robotę. Zdzierałem obcasy. Sprawa w końcu tak się odleżała, że byłem jedyną osobą, która nią się zajmowała. Stale brałem zwolnienia z pracy, żeby szukać Dianę, i w końcu mój szef doszedł do wniosku, że będzie lepiej, jeśli złożę dymisję i będę miał tyle wolnego czasu, ile zapragnę. Skończyły mi się pieniądze. A potem kumpel z wojska powiedział, że mogę zarobić szybko dużą kasę w Iraku, strzegąc konwojów, pod warunkiem że nie przeszkadzają mi bomby i snajperzy. Do cholery, w tym momencie nie dbałem o to, czy przeżyję, czy zginę. Ważne było, że zarobię w ciągu miesiąca dwadzieścia tysięcy dolarów i będę mógł dalej szukać żony.

Balenger zmusił się, żeby mówić dalej.

- Po roku raczej nie łudziłem się, że jeszcze żyje. Ale musiałem jej szukać. Możecie wyobrazić sobie, jak bardzo byłem zdesperowany, skoro pojechałem znowu do Iraku. Dianę postawiła mnie na nogi po pierwszej kampanii. Cholerny syndrom wojny w Zatoce. Ani na chwilę nie przestawała się mną opiekować. To był jej pomysł, żebym wykorzystał wojskowe doświadczenie i złożył podanie o pracę w

policji. Nie chodziło o to, żebym robił tam jakąś wielką karierę, ale po prostu poczuł się użyteczny. Pierdolony Irak. Mówiłem wam już, jak zakończył się mój drugi wyjazd. Ale za zarobioną gotówkę zacząłem szukać dalej. Sprawdzałem każdy trop, każdego maniaka seksualnego, który mógł z nią mieć kontakt, każdego drania, o którym wiadano, że kręci się w pobliżu miejsc, gdzie jeździła. W końcu utwierdziłem się w przekonaniu, które miałem od samego początku, ale którego nie potrafiłem udowodnić. Zniknięcie Dianę miało coś wspólnego z negocjacjami w sprawie hotelu. A właściwie nie tyle z negocjacjami, ile z samym hotelem. Prosiłem, by pozwolono mi wejść do środka, ale zarząd odmówił. Ze względów bezpieczeństwa. Robiłem, co mogłem, żeby się włamać, ale Paragon okazał się cholerną fortecą.

Głos Balengera stwardniał.

—Trzy miesiące temu przeczytałem artykuł o miejskich eksploratorach, o tym, że ich ekspedycje przypominają operacje sił specjalnych i że niektórzy z nich potrafią się dostać do budynków uważanych dotąd za niezdobyte. Zajrzałem na ich strony internetowe i skontaktowałem się z jedną z grup, ale popełniłem błąd, wyjaśniając, dlaczego potrzebuję ich pomocy. Potraktowali mnie, jakbym był nagrywającym wszystko tajnym agentem. W rozmowie z następną grupą próbowałem ich przekonać, żeby zabrali mnie do hotelu, ponieważ fascynują mnie stare budynki. Podobnie jak za pierwszym razem nie zdobyłem ich zaufania. A poza tym było mnóstwo innych starych obiektów, które planowali spenetrować. W następnej kolejności zajrzałem więc na stronę profesora i umówiłem

się z nim na spotkanie. Tym razem odwołałem się do chęci zysku. Pokazałem mu kopie artykułów prasowych z czasów, kiedy Danata został zamordowany... plotki o złotych monetach, które gangster zgromadził w tajnym sejfie. Bob był uprzejmy. Powiedział, że to sprawdzi. Myślałem, że chce mnie splawić. Okazało się jednak, że właśnie wyrzucono go z uniwersytetu. Tydzień później zadzwonił i oznajmił, że pomoże mi pod jednym warunkiem.

—Że zdobędziesz dla niego trochę złotych monet - powiedział Vinnie.

—Tak. Miał o was tak wysokie mniemanie, że nie wierzył,

żebyś ty, Córa i Rick zgodzili się ukraść. Martwił się bardzo o swoje zdrowie i o to, skąd weźmie pieniądze na operację serca. Był wściekły, że odebrano mu profesurę. Nie wyobrażacie sobie, jaki wściekły. Umówiliśmy się więc, że nie znając moich motywów, pomożecie mi przeszukać hotel, żebym mógł odkryć, co stało się z Dianę. A ja wrócę tu następnego dnia i zdobędę monety dla profesora. Oczywiście wiedząc już, jak można się tu dostać, miałem zamiar przeprowadzić bardziej gruntowne poszukiwania.

—Wiem, że Ronnie trzymał tu co najmniej jeszcze jedną kobietę - oznajmiła Amanda.

—Skąd ta pewność?

—Kiedy po raz pierwszy zamknął mnie w sejfie, znalazłam po ciemku dziwny przedmiot. Miał może pół cala długości i szerokości. Jeden koniec był gładki, drugi poszarpany. Wołałam nie myśleć o tym, co to mogło być. To był złamany paznokieć.

Deszcz zacinał o ściany. Amanda otuliła się szczelniej wiatrówką.

- Musicie zrozumieć, jak to wyglądało. Jedliśmy kolacje przy świecach. Ronnie kazał mi asystować przy ich przyrządzaniu. Wyszukane potrawy. Najlepsze wino. W tle słychać było muzykę Bacha, Haendla i Brahmsa. - Amanda się skrzywiła. - Całe godziny spędzaliśmy na lekturze w biblio tece. Często czytał mi coś na głos. Dzieła filozoficzne. Historyczne. Powieści. Szczególnie lubił Prousta. *W poszukiwaniu straconego czasu*. Stracony czas. - Jej głos zadrżał. - Kazał mi dyskutować na temat tego, co czytaliśmy. Myślę, że jedną z przyczyn, dla których mnie porwał, był fakt, że pracowałam w księgarni. Oglądaliśmy filmy. Wyłącznie artystyczne. *Piękną i bestię* Cocteau. *Siódmą pieczęć* Bergmana. *Zasady gry* Renoira.

Wyłącznie o przeszłości. Nigdy nie pozwolił mi oglądać zwykłej telewizji. Nie chciał, żebym wiedziała, co się dzieje na świecie ani jak długo tutaj jestem. Za zamkniętymi okien nicami nie miałam pojęcia, czy jest dzień, czy noc. Nie było żadnych zegarów. Trudno mi było odróżnić upływ godzin od upływu dni. Nie byłam w stanie liczyć tygodni. Nie mogłam polegać na moim zegarze biologicznym. Niektóre posiłki Ronnie kazał mi jeść, kiedy nie miałam wcale apetytu. Na inne musiałam czekać do chwili, gdy umierałam z głodu. W skarbcu nie wiedziałam, czy spałam kilka minut, czy kilka godzin.

—On też musiał spać - zauważyła Córa. - Co robił, żebyś nie uciekła?

—Z wyjątkiem pierwszego razu, kiedy obudziłam się w tym cholernym łóżku, pozwalał mi spać wyłącznie w skarbcu. Kiedy z nim byłam, nigdy nie odwracał się do mnie plecami. Na nadgarstku zapinał mi metalową bransoletę. Było do niej przymocowane pudełko podobne do tych przy włączach. Mówił, że jeśli spróbuję uciec, może mnie wysadzić w powietrze nawet z odległości mili. Powiedział, że ładunek jest tak skonstruowany, że wybuchnie do środka, więc nawet jeśli będzie ze mną w tym samym pokoju, nic mu się nie stanie.

—Gdzie jest ta bransoleta? - zapytał Balenger. Amanda rozłożyła bezradnie ręce.

—Nie wiem.

—Musimy ją znaleźć.

Podenerwowany Balenger wysunął szuflady z komody i przeszukał. Słyszał, że Córa sprawdza szafę. Vinnie zajrzał pod łóżko.

—Nie ma - stwierdziła Córa. - Sprawdzę gabinet medyczny.

—A ja siłownię - powiedział Balenger. - Vinnie, ty idź do...

—Zaczekaj chwilę. - Vinnie podciągnął się na słupku łóżka, stanął na ozdobnej narzucie i zerknął na wierzch baldachimu. - Jest. Mam ją.

Kiedy zeskoczył na podłogę z metalową bransoletą, do której przymocowane było niewielkie pudełko, Amanda skrzywiła

się, jakby złapały ją mdłości. Balenger szarpnął za pokrywkę pudełka, ale nie chciała się otworzyć.

—Zamknięte na głucho. Nie mogę rozbroić...

—Widzę go! - zawołał nagle Tod.

—Co? - Balenger obrócił się na pięcie.

—Sukinsyn macha do mnie na jednym z ekranów.

Balenger wbiegł wraz z innymi do pokoju z monitorami. Na zabarwionym na zielono dolnym prawym monitorze machał do nich ręką wysoki, chudy mężczyzna o pospolitej twarzy, mówiąc bezgłośnie dzień dobry albo do widzenia. Amanda zaczęła płakać.

Wydawało się w każdym razie, że ma pospolitą twarz. Trudno było to ocenić, ponieważ założył gogle noktowizyjne. Potwierdziły się obawy Balengera. W przeciwieństwie do tych, które dyndały na szyi Toda, te były opływowe, niemal eleganckie, zaprojektowane z wykorzystaniem najnowocześniejszej technologii.

Mężczyzna miał słabo uwydatniony podbródek, wąskie usta i wąski nos. Szpakowate włosy zaczynały mu się już przerzedzać, zmarszczki wokół ust i na czole sprawiały wrażenie narysowanych na miękkiej jak u niemowlęcia skórze. Ubrany był w ciemny garnitur, białą koszulę i krawat w konserwatywne paski.

—Zawsze tak się ubiera - szepnęła Amanda. - Nigdy nie zdejmuje marynarki. Nigdy nie rozluźnia krawata.

—Nigdy? - zdziwił się Vinnie. - Ale jak...?

—Poznaję go - powiedział Balenger.

—Jak to?

—Profesor go nam opisał. Pamiętacie? Puste spojrzenie, typ biurokraty. Koło pięćdziesiątki. Twarz bez wyrazu.

—To facet, który kieruje zarządem Carlisle'a? - zapytał zaskoczony Vinnie.

—Rozmawiałem z nim kilka razy po zaginięciu żony. Sukinsyn mówił, że w dniu, kiedy to się stało, Dianę spędziła godzinę w jego gabinecie. Pokazał mi jej nazwisko w swoim kalendarzu. Spotkał się z nią o jedenastej. Powiedział, że potem wybrał się z kimś na lunch i nie ma pojęcia, dokąd poszła. Ale nie nazywał się Ronnie. Podawał się za Waltera Harrigana.

—Nie Waltera Carlisle'a? - zapytała Córa. - To tyle jeśli chodzi o jego twierdzenie, że jest synem Carlisle'a.

—Ale dlaczego używa różnych nazwisk? - nie mógł zrozumieć Vinnie. - Kim jest?

Na ekranie Ronnie pokazał coś za swoimi plecami. Kiedy odsunął się na bok, Balenger zobaczył wewnątrz kotłowni i drzwi do tunelu, teraz zamknięte. A właściwie nie tylko zamknięte.

- Jezu, co on zrobił? - zdziwiła się Córa.

Przed drzwiami wydawała się wisieć w powietrzu metalowa rura. Nie, pomyślał z przerażeniem Balenger. Ona nie wisiała przed drzwiami. Wisiała na drzwiach.

Ronnie pokazał coś obok siebie.

- Co to jest, kurwa? - zaklął Tod.

Metalowy cylinder przypominał butlę, której używają pletwonurkowie. Butla stała na wózku. Był do niej podłączony wąski wąż, na którego drugim końcu zainstalowano pręt z rączką. O wózek oparta była maska z grubą szybką.

Balenger poczuł, że ogarniają go mdłości.

- Sprzęt spawalniczy - powiedział Vinnie. - Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Przyspawał tę rurę do drzwi. Nie będziemy mogli stąd wyjść.

Balenger spojrział na metalowe pudełko, które trzymał w rękach. Obserwując ekran, przez cały czas usiłował je otworzyć, szarpiąc za wieczko, które nie chciało ustąpić. Bał się, że Ronnie może w każdym momencie zdetonować ładunek.

- Muszę się tego pozbyć! - zawołał i podbiegł do najbliższego włazu. - Córa, odrygluj zasuwę! - Trzymając pudełko w lewej ręce, wyciągnął prawą ręką pistolet. - Otwórz właz. Może to jakiś podstęp. Może oglądamy obraz z taśmy. Może w rzeczywistości Ronnie czeka pod włazem. - Balenger wycelował z pistoletu w dół. - Jeżeli tam jest, odstrzelę mu łeb. Vinnie, zaświeć tu latarką. Gotów? Córa, zrób to. Otwórz właz.

Córa podniosła klapę. W świetle latarki Vinniego ukazały się kolejne spiralne schody. Balenger wystawił rękę za balustradę i puścił pudełko razem z bransoletką. Spadły w dół, odbijając się z brzękiem od metalowych schodów.

Córa zatrzęsnęła i zaryglowała właz i Balenger się cofnął.

- Sukinsyn znowu coś robi - zakomunikował Tod.

Balenger spojrział na monitor. Na ekranie Ronnie, na którego ustach nadal malował się ten sam obojętny uśmiezek, wskazał coś na bocznej ścianie.

—Co tam jest na podłodze? - zapytał Vinnie.

—Porusza się - mruknął Tod.

—To woda. Deszczówka - powiedziała Córa.

Ronnie dał krok przez wartki strumień i dotknął dziwnego urządzenia na ścianie. Znajdowało się tak daleko z boku, że kamera prawie go nie obejmowała. Z

urządzenia wystawała dźwignia.

- Nie! - zawołała Amanda, zdając sobie sprawę, że to transformator elektryczny.

Zupełnie surrealistyczny w swoich goglach, garniturze i krawacie, na tle zalewającej kotłownię wody, Ronnie pomachał ponownie, niemal z entuzjazmem, definitywnie się z nimi żegnając, po czym pociągnął w dół dźwignię.

Światła i monitory zgasły. Bębniący o dach deszcz stał się jakby głośniejszy, kiedy grupa ponownie znalazła się w kompletnej ciemności. Nie mieli nad sobą nawet szklanego dachu, przez który mogliby zobaczyć błyskawice. Balenger odnosił wrażenie, że mrok ma swoją gęstość i ciężar, że go przytłacza, ściska.

Córa westchnęła głośno.

Zaszeleścił materiał kurtki. Vinnie podniósł rękę i zapalił lampę przy kasku. To samo zrobili Balenger i Córa. Snopy światła zatańczyły na ścianach.

- Daj mi latarkę - rzekł Tod do Vinniego i zapalił ją.

Przez cztery i pół godziny Balenger przebywał w półmroku.

Prawie się do tego przyzwyczał. Jaskrawe światło na najwyższym piętrze wydało mu się w pierwszej chwili nienaturalne, raziło go. Ale szybko do niego przywykł. Teraz równie szybko znienawidził półmrok.

- Amanda? - powiedziała Córa.

- Nic mi nie jest. Wszystko w porządku - odparła Amanda, lecz ton jej głosu świadczył, że nic nie jest w porządku. - Dam sobie radę, dam sobie radę - powtórzyła bez przekonania.

Na dworze zatrzeszczała niewidoczna błyskawica.

—Byłam w gorszej sytuacji - dodała szybko Amanda. - W skarbcu było gorzej. Samotność była gorsza.

—Samotność? - zdziwił się Vinnie. - Ale przecież...

—Teraz mamy okazję - oświadczył Tod.

—Okazję? - zdziwił się Balenger. - Jaką okazję?

—Sukinsyn jest na dole w piwnicy. Możemy zbiec jedną z tych klatek schodowych na parter.

—Przykro mi, ale muszę się zgodzić z tym gnojkiem - wtrącił Vinnie. - Mamy siedem klatek schodowych do wyboru. Ronnie może być tylko na jednej.

—Ale które wybierzemy schody? - zapytała

Córa. - Powiedziałaś, że nie mogliście znaleźć wyjścia tam na dole.

—A on mówił... - Tod pokazał Balengera - że musi być jakieś ukryte wyjście.

—Które wybierzemy schody? - powtórzyła Córa. - Te, którymi weszliśmy, są zbyt oczywiste.

—Może właśnie dlatego nie weźmie ich pod uwagę - doszedł do wniosku Tod.

—Na pewno nie zejść tymi schodami - oświadczył Vinnie, wskazując włącz, gdzie Balenger wrzucił bransoletkę z ładunkiem wybuchowym. - Wystarczy, że Ronnie wciśnie przycisk na pilocie i...

—Ten dźwięk... Co to było? - zapytała Amanda.

—To tylko burza. Też działa mi na nerwy.

—To było coś innego. Dochodziło stamtąd. - Amanda wskazała sypialnię.

—Ja też to słyszałam - przyznała się Córa, odwracając w tamtą stronę.

—Nie z sypialni. Z siłowni - powiedział Balenger.

—Winda! - zawołał Tod.

W krzyżujących się snopach światła pobiegli do gabinetu medycznego i stanęli na progu siłowni. Poprzez szum deszczu Balenger usłyszał przybierający na sile chrobot lin i maszynarii.

Za zamkniętymi drzwiami sunęła na górę winda.

- Jeżeli w tej windzie jest Ronnie, nie zdoła nas powstrzymać, kiedy będziemy zbiegać po schodach - zauważył Tod.

Vinnie łypnął gniewnie na zamknięte drzwi.

—Skąd wiemy, że tam jest?

—Musi być. Ktoś musi tam być, żeby naciskać przyciski.

—A może ta winda działa tak jak zwykła winda towarowa - zasugerował Balenger. - Może Carlisle miał przyciski gdzieś poza kabiną, żeby można mu było posyłać posiłki bez udziału kelnera?

—No dobrze, jeśli tego sukinsyna nie ma w windzie, to kto tam jest?

—Albo co tam jest? Nie wiem, czy mam ochotę to sprawdzać - bąknął Vinnie.

Winda zatrzymała się piętro niżej. Chrobot umilkł i chociaż deszcz dalej bębnił o dach, mieli wrażenie, że w pokoju zapadła grobowa cisza.

A potem chrobot rozległ się ponownie. Winda ruszyła w górę.

—Musi mieć własne zasilanie - mruknęła Córa.

—Kiedy stanie, strzelaj w drzwi - powiedział Tod. - Są drewniane. Kule przejdą przez...

—Nie będę strzelał w coś, czego nie widzę - odparł Balenger. - Za tymi drzwiami może być policjant.

—Chcesz je otworzyć i to sprawdzić?

Cała grupa wpatrywała się w drzwi, za którymi zapanował bezruch.

Nagle usłyszeli grzechot odsuwanej wewnętrznej kraty.

—Strzelaj! - wrzasnął Tod.

—Mówię do osoby w windzie! - Balenger wycelował w drzwi. - Kim jesteś?

—Co za mięczak! Daj mi pistolet! - krzyknął Tod i sięgnął po broń, ale Balenger uderzył go lufą w czoło. Tod padł na podłogę.

Kiedy Balenger ponownie wziął na cel drzwi, coś walnęło w nie od środka. Wskazał wszystkim, żeby cofnęli się do gabinetu medycznego, a sam odsunął ciężary od drzwi i schował się za bieżnią.

Drzwi lekko drgnęły.

Zacisnął palec na spuście. Drzwi uchyliły się lekko, odsłaniając wnętrze najwyraźniej pustej kabiny.

Leżący na podłodze Tod jęknął.

Drzwi otworzyły się szerzej.

Balenger zobaczył jakiś ruch. Tod nadal trzymał w ręku latarkę i w jej świetle ukazały się wybiegające z windy szczury: trzy, osiem, tuzin szczurów, niektóre z otwartymi ranami, inne bez uszu, z dwoma ogonami albo tylko jednym okiem. Część z nich wskoczyła, popiskując, pod rower stacjonarny i na bieżnię, a potem, widząc Balengera, rozpierzchła się, uciekając w ślad za innymi do sąsiednich pokoiów.

Córa krzyknęła. Ale nie z powodu szczurów. Z kabiny wytoczyła się jakaś postać.

Balenger chciał strzelić, ale nagle rozpoznał zakrwawione dżinsy, wiatrówkę i zgiętą z bólu muskularną postać. W klatce piersiowej mężczyzny tkwił drewniany kołek.

—Rick! - krzyknęła Córa, podbiegając do swojego męża.

—Stój! - zawołał Balenger.

Ale ostrzeżenie przyszło za późno. Rick potknął się o leżącego Toda, upadł na Córe i oboje wywrócili się na podłogę. Kask spadł Córze z głowy.

Balenger podbiegł do pustej windy i celując z pistoletu, otworzył ramieniem drzwi na oścież. Kiedy światło jego lampy rozproszyło mrok, przyjrzał się sufitowi, ale nie zobaczył wjazdu, przez który Ronnie mógł się wdrapać na górę. Zdał sobie sprawę, że kabina nie jest całkiem pusta. W rogu stało pięć butelek z moczem, które zostawili na czwartym piętrze.

- Vinnie, zablokuj kratę i drzwi windy ciężarami! Dopóki są otwarte, nie zjedzie na dół - zawołał i odwrócił się do Córy i Ricka.

Rick leżał na swojej żonie, jęcząc z bólu. Córa próbowała wstać. Balenger obrócił go i zobaczył, że przy upadku kołek wbił mu się jeszcze głębiej w pierś. Jego płuco wydawało świszczący odgłos i miał wybite przednie zęby. Lewe przedramię było wykrzywione pod nienaturalnym kątem.

- Jezu - szeptała Córa, ocierając jego zakrwawione czoło. - Rick. Kochanie.

Vinnie oparł jeden z ciężarów o drzwi windy. Córa gładziła Ricka po twarzy. Miał zamglone oczy. Jego pierś unosiła się ze świstem.

Balenger spojrział przez ramię w stronę gabinetu medycznego.

- Pomóżcie mi położyć go na stole zabiegowym - poprosił.

Kiedy przenosił go razem z Córam i Amandą, Rick jęknął. Córa przycisnęła jego ramiona, żeby nie stoczył się ze stołu. Amanda położyła z boku latarkę.

- Potrzebujemy więcej światła - oceniła. - Przyniosę świece z plecaka Vinniego.

Balenger przeciął nożem wiatrówkę, sweter i koszulę Ricka. Kiedy Amanda i Vinnie zapalili

świecek, zobaczył, że z jego piersi wypływa niepokojąco dużo krwi.

- Kołek przebił go na wylot - powiedział.

- Trzymaj się, kochanie - powtarzała Córa, gładząc męża po czole. - Nie poddawaj się.

Ale on chyba jej nie słyszał.

- Jeśli wyciągnę kołek, może zacząć bardziej krwawić - mruknął Balenger. - Ale jeśli tego nie zrobię...

Jęki Ricka świadczyły o tym, jak bardzo cierpi.

—Czy nie możemy dać mu przynajmniej środków przeciwbólowych? - zapytała błagalnym tonem Córa. - Mamy morfinę.

—Nie. To by go zabiło - odparł Balenger.

—Mała dawka na pewno...

—Morfina obniża puls i ciśnienie krwi. - Balenger wziął Ricka za nadgarstek. - Już teraz puls jest słabo wyczuwalny.

—Wyciągnij kołek i obwiąż go taśmą, żeby powstrzymać krwawienie. Tak samo jak to zrobiłeś z profesorem.

Balenger nie widział innego wyjścia.

—Sprawdźcie, czy w szafce jest spirytus - mruknął. Vinnie otworzył szklane drzwiczki.

—Zaczekajcie - powiedział nagle Balenger.

—Ale...

—Nieważne.

Płuco Ricka przestało rzeźzić. Klatka piersiowa znieruchomiła.

- Nie! - jęknęła Córa.

Rozpaczliwie wpatrywała się w oczy Ricka, szukając w nich śladu świadomości. Otworzyła mu usta i spróbowała sztucznego oddychania, ale przestała, gdy powietrze wyleciało ze świstem przez dziurę w klatce piersiowej.

- Dwa razy - załkała. - Och, kochanie. O Jezu, umarłeś dwa razy. - Nie mogąc opanować szlochu, przycisnęła głowę Ricka do piersi. - Dwa razy.

Amanda objęła ją ramieniem.

W pobliżu uderzył piorun. Kiedy umilkł jego huk, usłyszeli charakterystyczne trzaski. Balenger spojrzał na swój pasek ze sprzętem, a potem na pasek Yinniego.

Trzaski rozległy się ponownie.

Dobiegały z dwóch krótkofalówek, które im pozostały. Balenger poczuł, że kręci mu się w głowie. Nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że osuwa się coraz głębiej w szaleństwo, podniósł swój aparat do ust i wcisnął przycisk nadawania.

—Zabrałeś krótkofalówkę jednemu z mężczyzn, których zabiłeś - powiedział.

—Jak będziecie mieli okazję się przekonać, jestem dość zaradny. - Głos, który usłyszeli, był gładki, spokojny i neutralny, o nienaganej dykcji i elitarnym akcencie. Słyszac go, Amanda podniosła dłoń do ust. - Wasz przyjaciel nie spadł do holu. Znalazłem go na stercie gruzów dwa piętra niżej. Właściwie miał dość sił, żeby pomóc mi, kiedy wsadzałem go do windy. Niebywałe. Jak się miewa?

—Już się nie miewa - odparł Balenger do mikrofonu krótkofalówki.

—Cóż... - mruknął głos. Przez chwilę słyszeli trzaski. - Wtargnęliście do mojego domu - oświadczył w końcu Ronnie.

—Nie ma tutaj tablic ostrzegających przez wejściem. Zresztą nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Gdybyśmy tu nie weszli, nie zdołalibyśmy uratować Amandy.

Córa uniosła zapłakaną twarz znad ciała Ricka.

—Amandy nie trzeba było ratować - ciągnął głos. - Traktowałem ją z najwyższym szacunkiem. Wiele kobiet mogłoby jej pozazdrościć.

—Z wyjątkiem tego, że była napastowana.

—Nigdy nie dotknąłem jej w ten sposób. - W głosie

Ronniego po raz pierwszy zabrzmiał ślad emocji. - Jeśli powiedziała wam, że to zrobiłem, skłamała.

Balenger zmarszczył czoło. Pamiętał kilka pytań, które próbował jej zadać zaintrygowany Vinnie. Czyżby Ronnie mówił prawdę?

—A inne twoje przyjaciółki? - zapytał. - Jak one się nazywały? Iris, Alice, Vivian. - Nagle zdał sobie sprawę, że ta lista budzi jego niepokój. Imiona. Coś było w tych imionach. Ale działało się zbyt wiele, by miał czas zastanowić się, co go niepokoi.

—Wiele kobiet zaszczyliło mnie swoim towarzystwem.

- Czy to jedna z nich leży martwa na dole w korytarzu?

Trzaski z głośnika.

- Co zrobiłeś z moją żoną? - Balenger obawiał się odpowiedzi.

Trzaski z głośnika.

- Jeśli się poddacie, obiecuję, że nie będzie was bolało - oświadczył głos.

Córa wyrwała nagle krótkofalówkę Balengerowi.

- Ja też ci coś obiecuję, kutasie! - krzyknęła do mikrofonu, przemierzając gniewnym krokiem pokój. - Kiedy cię dorwę...

Nagle eksplodowała podłoga.

Balenger odskoczył do tyłu. U stóp Córy rozpadły się deski, z jej brzucha trysnęła krew. Kolejny strzał z dubeltówki cisnął ją na szafkę ze sprzętem medycznym. Posypało się szkło. Po chwili padł trzeci, a następnie czwarty strzał. Kolejne fragmenty podłogi unosiły się w powietrze.

Córa, którą rozerwały ładunki grubego śrutu,

padła na kolana z grymasem bólu i zaskoczenia na twarzy, a potem runęła jak długa na podłogę. Płynąca z jej ran krew ściekała w dół przez wybite pociskami dziury. Jedna ze świeczek upadła razem z nią, ale krew zgasła jej płomyk.

Przez chwilę żadne z nich się nie poruszało. Kiedy przez dziury zaczął się sączyć zapach spalonego prochu, Balenger ocknął się z letargu i zaciągnął Amandę i Vinniego pod zewnętrzną ścianę. Serce biło mu tak szybko, że zakręciło mu się w głowie.

- Jest na galerijce pod nami - szepnął. - Córa krzyczała tak głośno, że usłyszała, gdzie jest.

Z dołu, przez dziury w podłodze, dobiegł go odgłos ładowanej dubeltówki. Lampa Córy leżała pośrodku pokoju. Balenger przyciągnął ją do siebie, wręczył Amandzie, po czym podniósł palec do ust, dając im znak, żeby byli cicho i weszli za nim do sypialni. Jego mięśnie napięły się instynktownie w oczekiwaniu na kolejne strzały.

Światło lampy omiotło sypialnię. Coś było nie w porządku. Tod. Gdzie był Tod? Kiedy go ostatnio widział, Tod leżał na podłodze, jęcząc i trzymając się za głowę, w którą uderzył go pistoletem. Teraz zniknął.

Balenger odwrócił się, żeby ostrzec Vinniego, lecz powstrzymała go rozpacz, którą zobaczył na jego twarzy. Kompletnie zdruzgotany Vinnie wpatrywał się w ciało Córy, kobiety, którą stracił na zawsze, i łzy płynęły po jego policzkach. Widząc, jak cierpi, Balenger jeszcze dotkliwiej odczuł własny ból. Doskonale rozumiał, co znaczy stracić ukochaną osobę.

Pociągnął go za rękaw, dając do zrozumienia, że trzeba się pośpieszyć. W przeciwieństwie do Vinniego Amanda otrząsnęła się chyba z szoku. Teraz najważniejsze było dla niej, żeby przetrwać. W ślad za Balengerem minęła pokój z monitorami i weszła do

biblioteki. Nie mogli raczej wrócić po latarkę, którą zostawiła na stole zabiegowym. W tej chwili mieli tylko trzy lampy przy kaskach.

Ich światło padło na włącz w bibliotece, który ku zaskoczeniu Balengera był otwarty. Uświadomił sobie, że Tod zwiął na dół, korzystając z tego, że Ronnie był zajęty czym innym. I to zbudziło w nim nadzieję: być może Tod odciągnie teraz od nich uwagę Ronniego. Może narobi dość hałasu.

Zarygłował włącz w bibliotece, po czym przeszedł dalej, wyjął pistolet i wycelował we włącz w kuchni. Vinnie uniósł klapę. W świetle lamp zobaczyli pustą klatkę schodową.

Balenger ruszył pierwszy na dół. Szedł powoli, poruszając przed sobą pistoletem, żeby sprawdzić, czy na schodach nie ma drutu tnącego. Co kilka chwil odwracali się do tyłu. Od obracających się bez przerwy świateł kręciło im się w głowach. Ściany klatki schodowej wzmacniały odgłosy burzy. Zbliżając się do piątego piętra, Balenger usłyszał szum wody, a potem zdał sobie sprawę, że odgłos nie dobiega z zewnątrz, lecz z dołu klatki schodowej. Kierując lampę na korytarz, zobaczył płynący nim potok.

W świetle błyskawicy ukazała się dziura w dachu, przez którą wlewała się do środka woda z wyższych pięter. Jej łoskot przypominał odgłos napełnianej cysterny. W pewnej chwili zobaczył, że jakiś duży przedmiot płynie korytarzem. Zwłoki. Na ich widok Amanda westchnęła. To była zasuszona kobieta: ubrana, trzymająca w rękach torebkę, blondynka. Prerażony Balenger zastanawiał się, czy to nie Dianę, ale nim zdążył zobaczyć coś więcej, strumień porwał zwłoki, które zniknęły w głębi pogrążonej w mroku klatki schodowej.

Zdał sobie sprawę, że nie zdołają tędy wyjść. Nie mógł wykluczyć, że Ronnie był po drugiej stronie ściany. W każdej chwili mógł wybić w niej dziurę pociskiem z dubeltówki. Balenger dał znak Amandzie i Vinniemu, żeby wracali na górę.

Nie musiał ich do tego zachęcać. W ślad za nimi przecisnął się z powrotem przez właz. Oddychając chrapliwie, leżeli przez chwilę w półmroku na podłodze kuchni.

—Spróbujemy zejść innymi schodami -
mruknęła Amanda.

—Może - odparł bez przekonania Vinnie i uniósł powoli głowę. - A może nie musimy niczego robić.

—Co masz na myśli? - zapytał skonsternowany Balenger.

—Profesor zostawił list koledze. Jeśli nie zadzwoni do niego przed dziewiątą rano, ten ma otworzyć kopertę i powiedzieć policji, gdzie wysłać pomoc.

Byli tak blisko zewnętrznej ściany, że plusk deszczu zagłuszał ich stłumione głosy.

—Nie - powiedział Balenger. - Bob nie zostawił listu.

—Ale...

—Kiedy go wylali, przestał ufać swoim znajomym z wydziału. Uważał, że kolega otworzy list i pokaże go dziekanowi, żeby zaskarbić sobie jego przychyłność. Bał się, że wszystkich nas aresztują.

Vinnie nie dawał za wygraną.

—W poniedziałek do hotelu wchodzi firma rozbiórkowa - oznajmił. - Uratują nas. Musimy tylko przesiedzieć tutaj jeden dzień. Co ty na to?

—Jeśli damy Ronniemu tyle czasu, może nam sprawić mnóstwo niespodzianek. Mówiłem ci już wcześniej: jeśli będziemy bierni, przegramy.

—To co mamy robić?

W krótkofalówkach znowu rozległy się trzaski.

—Chce, żebym odpowiedział - szepnęła Balenger. - Ma nadzieję, że usłyszysz mój głos i będzie wiedział, gdzie strzelać.

—My też możemy to wykorzystać - odparła Amanda. - Jeśli go usłyszysz, możesz strzelić tam, skąd dobiega jego głos.

Balenger przez chwilę się nad tym zastanawiał.

—Opowiedz mi coś więcej o tym sukinsynie.

Czy kłamał, mówiąc, że...

—Nigdy mnie nie dotknął. - Amanda zadrżała. -

Zawsze

traktował mnie z przerażającą grzecznością. Miałam poczucie, że coś w nim wzbiera, że z czymś walczy. Kiedy widziałam go po raz ostatni... przyniósł mi wtedy koszulę nocną... nie był już grzeczny. Krzyczał. Rzucił różnymi rzeczami. Nazywał mnie dziwką i kurwą. Tak jakby znenawidził mnie, ponieważ go

podnieciłam.

Z głośnika krótkofalówki znowu dobiegły trzaski.

Balenger wyłączył aparat Vinniego, przyciszył swój, po czym podniósł go do ust i wcisnął przycisk nadawania.

- Nie rozumiem, dlaczego używasz różnych nazwisk, Ronnie - powiedział półgłosem. - Dlaczego mówisz, że masz na imię Walter?

Trzaski w głośniku.

- Czy naprawdę nazywasz się Harrigan? - Balenger bał się pozostawać zbyt długo w jednym miejscu. - Jak brzmi właściwie twoje nazwisko, Ronnie? - zapytał szeptem, przechodząc do jadalni.

Bez odpowiedzi.

—Jak brzmi twoje...

—Carlisle - odparł Ronnie.

Amanda i Vinnie ukucnęli, starając się określić, skąd dobiega głos.

- To nieprawda - szepnął Balenger. - Carlisle nie miał dzieci.

- Był moim ojcem.

Balenger przeszedł do siłowni, w której ciężary blokowały drzwi windy.

—Nie. On nie był twoim ojcem.

—Zachowywał się jak ojciec.

—To nie to samo.

—Czasami tylko to się liczy.

—A ty? - zapytał Balenger. - Czy ty zachowywałeś się jak dobry syn?

Przed wejściem do oświetlonego świecami gabinetu medycznego zgasił lampę przy kasku. Amanda i Vinnie zrobili to samo. W przeciwnym razie przez dziury w podłodze byłoby widać światło. Na widok dwóch trupów przeszedł go zimny dreszcz.

- Jesteś bardzo ostrożny - oznajmił głos - ale świeczki reagują na poruszane przez ciebie powietrze. Widzę przez dziury, jak migoczą.

Balenger zdał sobie nagle sprawę, że Ronnie jest dokładnie pod nim. Zdążył dać krok do tyłu, kiedy pocisk z dubeltówki rozerwał podłogę w miejscu, gdzie przed chwilą stał. Natychmiast wycelował w świeżą dziurę, chcąc odpowiedzieć ogniem, ale po sekundzie uświadomił sobie, że tego właśnie chce Ronnie: żeby zmarnował amunicję, strzelając na oślep.

- Rozbroiłeś bomby na górze? - zapytał głos z krótkofalówki. - Zakładam, że jako były ranger potrafisz to zrobić.

Balenger kompletnie osłupiał.

- Dziwisz się, skąd znam twój życiorys? Kiedy za pierwszym razem przyszedłeś i wypytywałeś mnie w biurze, wiedziałem, że będą z tobą kłopoty. Kiedy pojawiłeś się ponownie, zebrałem o tobie trochę informacji. Przykro mi z powodu syndromu wojny w Zatoce. Ale miałeś przynajmniej kogoś, kto się tobą zaopiekował. Twoja żona nie kryła, jak bardzo była ci oddana.

Wzmianka o Dianę była niczym cios w żołądek. Balenger zgiął się wpół. A potem gniew wziął górę nad bólem i poczuciem straty. Wycelował w miejsce, w którym jego zdaniem stał Ronnie. Niczego nie pragnął bardziej, niż go zastrzelić.

Nie, powiedział sobie. Nie strzelaj, dopóki nie

będziesz miał całkowitej pewności. Nie pozwól, żeby ten sukinsyn cię sprowokował.

Ogarnęła go desperacja. Nasze lampy, pomyślał. Gasimy je, żeby Ronnie nie spostrzegł światła przez dziury w podłodze. Ale nie zdołamy się stąd wydostać, jeśli ich nie zapalimy. Tyle że Ronnie miał noktowizor.

Niechętnie uświadomił sobie, co powinien zrobić. I czego nie chciał zrobić.

Dał znak Amandzie i Vinniemu, żeby przeszli razem z nim do innego pomieszczenia.

—Musicie odwrócić jego uwagę - powiedział cicho. - Strzelałeś kiedyś z pistoletu, Vinnie?

—Nie.

—Weź go w obie ręce. O tak. - Balenger wsadził mu rękojeść w prawą dłoń, a potem dosunął do niej lewą, tak że czubki palców Vinniego nachodziły na siebie. - Celuj wzdłuż lufy - powiedział. - Ściskaj mocno palcami rękojeść. Ta broń ma kopa. Kiedy strzelisz, nie przestrasz się i jej nie upuść.

—Kiedy mam strzelić?

—Idź do gabinetu medycznego. Policz do pięćdziesięciu i włącz swoją krótkofalówkę. Podkręć głośnik, połóż ją na podłodze i cofnij się. Mój głos zwróci jego uwagę. Kiedy strzeli, odpowiedz ogniem. Nie trafisz go, ale nie przejmuj się tym. Najważniejsze, żeby on nie trafił ciebie.

—Ale co z...

—Spróbuję zdobyć jakiś noktowizor.

Vinnie pokiwał głową. Balenger nie wiedział, czy był to gest nadziei, czy rozpacz.

—Amando, zarygluj za mną właz - powiedział zduszonym szeptem. - Nie otwieraj go, dopóki nie usłyszysz najpierw dwóch, potem trzech i na koniec jednego stuknięcia. Potrafisz to zapamiętać? Dwa, trzy, jeden?

—Zapamiętam.

—Vinnie, pięćdziesiąt sekund po swoim pierwszym strzale, rzuć coś na podłogę siłowni. Pamiętaj, żeby trzymać się stamtąd daleko. Spróbuj go sprowokować do kolejnego strzału. Potem odpowiedz ogniem i przejdź do innego

pokoju. Ale za każdym razem oddaj tylko jeden strzał. Potrzebujemy amunicji. Poradzisz sobie?

—Nie mam innego wyboru.

—Jeśli uda mi się znaleźć te gogle, będziemy mieli więcej możliwości. - Balenger miał nadzieję, że zabrzmiało to przekonująco.

W bezpiecznej odległości od dziur w podłodze gabinetu medycznego włączyli lampy przy kaskach. Balenger przeszedł cicho przez kuchnię, bibliotekę oraz pokój z monitorami i zatrzymał się w końcu w sypialni. Przez chwilę wpatrywali się w zamknięty właz. Teoretycznie drzwi do apartamentu Danaty powinny być w dalszym ciągu zabarykadowane. Ronnie nie mógł tam wejść i zastrzelić każdego, kto schodził ukrytymi schodami.

Teoretycznie.

Balenger wziął pistolet od Vinniego i dał znak Amandzie, żeby odryglowała i otworzyła właz. Kiedy światło jego lampy przeszło mrok klatki schodowej, wycelował w dół. Nie zobaczył nikogo. Oddychając z ulgą, oddał broń Vinniemu.

- Zaczynaj liczyć do pięćdziesięciu - powiedział, po czym zszedł kilka stopni niżej i dał znak Amandzie, żeby zamknęła klapę. Słyszając zgrzyt zasuwanego rygla, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zstępuje w piekielną otchłań.

W tajnym korytarzyku i w salonie Danaty unosił się metaliczny odór krwi profesora. Balenger, podobnie jak Vinnie, liczył kolejne sekundy: trzy, cztery pięć. Dysponując tylko jednym źródłem światła, czuł, jak przytłacza go ciemność. Drzwi nadal tarasowała sterta mebli - dodało mu to nieco otuchy. Wziął do ręki młotek, który miał przytroczony do paska, i machając nim przed sobą, żeby nie nadzieć się na drut, zszedł z szóstego piętra na piąte. Nasłuchiwał, czy klatką schodową nie płynie woda, ale nie usłyszał żadnego plusku. Dach w tej części hotelu był najwyraźniej nienaruszony.

Oświetlił lampą korytarzyk na piątym piętrze. Coś tam było, coś nieruchomego, co budziło w nim niejasne podejrzenia, lecz nie miał czasu tego sprawdzać. Nie przestawał liczyć: osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia. W miarę jak schodził niżej, na czwarte i trzecie piętro, robiło się coraz zimniej.

Jego krótkofalówka znowu zatrzeszczała. Ronnie nie dawał za wygraną. Na pewno miał nadzieję, że Balenger się odezwie, a on będzie mógł strzelić w miejsce, z którego dobiega głos. Ale Balenger był teraz daleko.

Nadal liczył. Dwadzieścia pięć. Dwadzieścia sześć.

Wcisnął przycisk przywołania na swojej krótkofalówce. Wiedział, że teraz Ronnie usłyszy trzaski.

- A więc jeszcze żyjesz - odezwał się głos. Chociaż krótkofalówka Balengera nastawiona była na minimalną głośność, ściany klatki schodowej działały

jak wzmacniacz. - Myślałem, że cię trafiłem.

Obracające się światło lampy przyprawiało Balengera o zawrót głowy. Wymachując przed sobą młotkiem, dotarł na trzecie piętro.

Trzaski z głośnika.

Balenger wcisnął przycisk nadawania, przytknął krótkofalówkę do ust i osłonił ją dłonią, żeby stłumić echo.

- Carlisle miał agorafobię - powiedział. - Wciąż zadaję sobie pytanie, dlaczego ktoś, kto panicznie bał się otwartej przestrzeni, wyszedł z hotelu i zastrzelił się na plaży. - Czterdzieści siedem. Czterdzieści osiem. - To było bez sensu. Ale teraz rozumiem. Coś innego przeraziło go o wiele bardziej.

Balenger był pewien, że minęło pięćdziesiąt sekund. Vinnie, na litość boską, rób, co ci mówiłem!

—Nie skrzywdziłem go - powiedział głos.

—Nie byłeś dobrym synem.

—Twój głos brzmi jakoś inaczej.

Balenger wyobraził sobie Vinniego, który wykonując jego instrukcję, zwiększa głośność swojej krótkofalówki i kładzie ją na podłodze. Wyobraził sobie, jak Ronnie zerka tam, skąd dobiega wzmocniony głos. Usłyszał przez krótkofalówkę odgłos wystrzału z dubeltówki i nadstawił uszu, czekając na strzał z pistoletu. W tej samej chwili uderzył piorun, wstrząsając ścianami klatki schodowej, i Balenger nie usłyszał nic więcej, nawet trzasków z głośnika.

Wstrzymał oddech, gdy machając przed sobą młotkiem, napotkał jakiś opór. Ukląkł, zobaczył krew na schodach i przyjrzał im się bacznie w świetle lampy. Pokryty ciemnymi plamami krwi, napięty mocno drut był prawie niewidoczny w ciemności.

Balenger położył się na plecach i przeczołgał pod spodem. Prostując się, usłyszał ponownie trzaski z

krótkofalówki, ale zignorował je i wymachując przed sobą młotkiem w poszukiwaniu kolejnego drutu, zstąpił w panujący na dole mrok.

Zaczął teraz rozważać ewentualność, której nie dopuszczał do siebie wcześniej. Co będzie, jeśli Ronnie zabrał nie tylko krótkofalówkę? Co będzie, jeśli zabrał również noktowizory, żeby nikt inny nie mógł ich użyć? Wtedy nie zostanie nam zbyt wiele możliwości, pomyślał. Do diabła, możemy nie mieć żadnych.

Wyjdź z hotelu, mówił mu wewnętrzny głos. Skorzystaj z tego, że Vinnie absorbuje Ronniego, i spróbuj znaleźć jakieś wyjście.

Mam ich porzucić?

Niezupełnie. Znajdź jakieś wyjście i poszukaj pomocy. Nie ma żadnego wyjścia. Żeby to zakończyć, muszę go zabić. Nawet jeśli uda mi się wyjść, co mogę zrobić? Pieszko? W środku nocy? Podczas burzy? W opuszczonej części miasta? Dotarcie do posterunku zajmie mi całą wieczność. Vinnie i Amanda mogą do tego czasu zginąć. To twoja jedyna szansa. Bzdura. Nie zostawię ich.

Dotarł na parter. W ograniczonej przestrzeni zapach śmierci był jeszcze wyraźniejszy. Pojedynczy snop światła wyłuskał z mroku dwa trupy. Mack i JD leżeli w kałużach krwi, z poderżniętymi gardłami i prawie całkowicie uciętymi nogami. Balenger zobaczył pozostawione w krwi odciski stóp. Ronnie musiał do nich podejść, dobić nożem i zabrać krótkofalówkę. Odciski stóp prowadziły ku ścianie. Najwyraźniej znajdowały się tam jedne z tajnych drzwi, Balenger nie wiedział jednak, jak je otworzyć.

Uklęknął i przyjrzał się leżącym w mroku ciałom. Obaj mieli na głowach noktowizory. Sięgnął po nie, lecz potem przypomniał sobie podkładane w Iraku pod zwłoki bomby-pułapki i zbadał uważnie oba trupy. Coś tkwiło pod lewym bokiem Macka.

JD też miał coś pod sobą. Coś, co nie rzucało się zbyt w oczy, chyba że ktoś poznał od podszewki

irackie piekło i nauczył się nigdy nie ufać nikomu. Jakieś materiały wybuchowe. Nacisk ciał uzbroił detonatory. Gdyby Balenger je przesunął, doszłoby do eksplozji.

Ukląkł w krwi przy ich głowach, sięgnął pod potylicę Macka i poszukał palcami paska, na którym były zamocowane gogle. Rób to delikatnie, powtarzał w duchu.

Z głośnika krótkofalówki dobiegły trzaski.

Balenger złapał pasek, który zsunął się łatwo po ogolonej głowie. Zabrał gogle z niewidzących oczu Macka, przytroczył je do swojego pasa z narzędziami, a potem odetchnął głęboko i pochylił się nad JD i jego noktowizorem.

Miał wrażenie, że z oddali dobiega strzał z dubeltówki. Zdjął gogle z oczu JD, założył je sobie na głowę i zgasił lampę.

Zamiast rozpraszanych snopem światła ciemności zobaczył teraz zielony półmrok, w którym wszystko było słabo widoczne. Zadyszka i odgłosy burzy potęgowały wrażenie, że znajduje się pod wodą. Dostrzegł na podłodze długi ciemny przedmiot. Łom. Wziął go do ręki.

Odwrócił się w stronę schodów, pragnąc jak najszybciej wrócić na najwyższe piętro, ale potem zawahał się i spojrzał w głąb wąskiego korytarzyka. Bał się tego, co tam znajdzie, lecz mimo to dał krok do przodu. Przez gogle widział cały korytarzyk aż do końca.

Aż do miejsca, w którym znajdowały się opisane przez Toda zwłoki kobiety. Całkowicie ubrane, zasuszone niczym mumia. Choć przez gogle wszystko było widać w zieleni, nie ulegało kwestii, że kobieta ma blond włosy. Na kolanach trzymała torebkę, jakby czekała cierpliwie, by wyruszyć w podróż. Balenger

wolał nie wyobrażać sobie, jaki przeżyła koszmar. Po staromodnym ubraniu poznał, że to nie Diane, ale wcale go to nie pocieszyło. Nie miał teraz żadnych wątpliwości, że jego ukochana żona nie żyje, lecz i tak pragnął z nią być, nawet jeśli była martwa. W morzu zieleni pochylił się i próbował ustalić, w jaki sposób zginęła kobieta.

Brak śladów przemocy. Nie, nieprawda, pomyślał, przyglądając się baczniej szyi. Krtań i tchawica zapadły się, kości były złamane. Ktoś ją udusił. Balenger stał jak wryty w miejscu, do chwili gdy wyrwały go z transu dochodzące z głośnika trzaski. Wiedział, że musi wracać do Amandy i Vinniego, ale odłożył łom i krótkofalówkę i sięgnął po torebkę zmarłej. Była brudna i pokryta kurzem. Otworzył ją i wyjął portfel.

W środku było prawo jazdy. Kiedy zobaczył, na kogo je wystawiono, wstrząsnął nim dreszcz. Nazwisko powiedziało mu prawie wszystko.

Musiał wejść na górę. Przez głowę przelatywały mu gorączkowe myśli. Powinien zajrzeć do plecaka Vinniego.

Wsunął prawo jazdy do kieszeni wiatrówki, po czym złapał łom i krótkofalówkę i słysząc kolejny grzmot, pobiegł w stronę schodów.

Pamiętaj o drucie.

Sprawdzając przed sobą drogę, znalazł go, przecisnął się pod spodem i ruszył dalej. Ręka bolała go od wymachiwania ciężkim łomem, ale nie przestawał tego robić na wypadek gdyby Ronnie zdążył urządzić kolejną zasadzkę. Wydawało mu się, że słyszy w oddali wystrzał z dubeltówki, a potem z pistoletu. Trzecie piętro. Czwarte.

Na piątym ponownie przystanął. Nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć w głąb tajnego

korytarzyka. Pamiętał, że kiedy schodził, miał wrażenie, iż coś tam widzi, coś, co opierało się o ścianę. Teraz, w goglach na oczach, przekonał się, że miał rację. To były zwłoki kolejnej kobiety. Blondynki. Całkowicie ubranej, tym razem w spodnie, golf i blezer.

Nie, pomyślał.

Dobrze znał to ubranie.

Nie.

Pobrął ku niej. Kiedy na jej barku pojawił się szczur, Balenger zamachnął się łomem i rozpląszczył go na ścianie. Zdruzgotany, osunął się na kolana. Kobieta nie była tak zasuszona jak zwłoki na dole. Nie miała oczu. Ponadgryzały ją szczury, ale trudno było jej nie poznać.

Dianę.

Rozpacz ścisnęła jego serce. Odebrała mu oddech. Płynące po policzkach łzy paliły niczym stężony kwas. Szlochając, podniósł dłoń i pogładził ją po szorstkiej twarzy. Blond włosy sięgały jej poniżej ramion, dalej, niż lubiła, bo rosły jeszcze po śmierci. Na twarzy malował się grymas przerażenia. Podobnie jak u kobiety na dole, kości szyi były pogruchothane przez dusiciela. Jego Dianę. Jego wspaniała Dianę.

Klęcząc, oddawał jej cześć i jednocześnie ją oplakiwał. Dianę. Jedenaście wspólnych lat. Nigdy nie postawiła na nim krzyżyka, nigdy nie przestała się nim opiekować, kiedy wrócił chory z pierwszej wojny w Iraku. Próbował jej to wynagrodzić, chciał, żeby wiedziała, jak bardzo ją kocha. Miła, bezinteresowna Dianę. Piękna Dianę z wygrzyzionymi w twarzy dziurami.

Odgłos strzału przywołał go do rzeczywistości. Nie przestając szlochać, otworzył jej torebkę, wyjął portfel i wsadził go do kieszeni wiatrówki. Pocałował ją w spękane czoło, zabrał łom i krótkofalówkę i ruszył dalej na górę.

Wściekłość sprawiała, że pragnął pobiec szybciej, ale robiąc to, przyjąłby reguły gry, które chciał mu narzucić Ronnie, pozwoliliby manipulować sobą temu sukinsynowi. Idę po ciebie, Ronnie, krzyknął w duchu. Uzbrojony w łom skręcił w korytarzyk na

szóstym piętrze i przyjrzał się pobojowisku w salonie Danaty. Meble w dalszym ciągu tarasowały wejście.

Wspiął się do włazu. Usłyszał nad nim jakieś zamieszanie, szybkie kroki, a potem strzał. Desperacko zapukał dwa, trzy i jeden raz.

Żadnej reakcji. Co będzie, jeśli pomyślą, że to Ronnie? Co będzie, jeśli do mnie strzelą?

Zapukał ponownie i usłyszał zgrzyt przesuwanego rygla. Kłapa uniosła się. Skierowana prosto w jego twarz lampa przeciążyła sensor w goglach, powodując błysk, który na chwilę go oślepił. Kiedy snop światła skierował się w inną stronę, Balenger odzyskał wzrok, szybko wszedł na górę i zamknął za sobą kłapę.

Wszędzie czuć było woń prochu. Winnie stał w progu pokoju z monitorami, celując w dwie poszarpane dziury w podłodze. Widząc Balengera, podbiegł do niego.

—Zrobiłem, co kazałeś. Policzyłem do pięćdziesięciu, a potem podkręciłem głośniej krótkofalówkę i położyłem ją na podłodze. Rozwalił ją w drobny mak.

—Ile wystrzeliłeś pocisków? - zapytał Balenger.

—Cztery. Chyba nie uważasz, że zmarnowałem...

—Zrobiłeś, co trzeba. Odciągnąłeś jego uwagę. Zostało nam dziewięć pocisków. Musimy je oszczędzać.

—Strzelał na chybił trafił w podłogę.

—Nie może dostać się do salonu Danaty i stamtąd do nas strzelać. Na razie jesteśmy bezpieczni. Daj mi swój plecak.

Balenger podniósł krótkofalówkę do ust.

- Hej, dupku, zgadnij, co ci powiem.

Trzaski z głośnika.

—Zadałem ci pytanie, ty pojebie.

—Co mam zgadnąć? Czy potrzebny jest ten wulgarny język?

—Wobec ciebie? Oczywiście. Odnalazłem swoją żonę, ty gnoju.

Trzaski z głośnika.

- Udusiłeś ją. Udusiłeś je wszystkie.

Balenger wziął plecak od Vinniego, wyciągnął z niego raport policyjny, a potem wyjął z kieszeni prawo jazdy, które zabrał martwej kobiecie na parterze.

- Wykwintne kolacje przy świecach - powiedział do krótkofalówki. - Spokojna klasyczna muzyka. Czytanie na głos książek. Zagraniczne filmy z napisami. Wszystko bardzo poprawnie, oficjalnie i intelektualnie. Musi być intelektualnie. Nie wolno ujawniać emocji. Emocje cię osłabiają. Emocje sprawiają, że tracisz nad sobą panowanie.

Balenger przeczytał nazwisko na prawie jazdy: Iris McKenzie. Kiedy Amanda przedstawiła listę „przyjaciółek Ronniego”, coś go w niej uderzyło. Teraz wiedział, co to było. Przekartkował raport policji.

- Znalazłem! - powiedział do krótkofalówki. - Iris McKenzie. Wiek: trzydzieści trzy lata. Miejsce zamieszkania: Baltimore, stan Maryland. Zawód: copywriter reklamowy. Włosy: blond. Brzmi znajomo, ty sukinsynu? Powinno. Jeśli mam rację, to ona była twoją pierwszą ofiarą. - Balenger przejrzał raport, który starszy pan sporządził z wyjątkową starannością. - W sierpniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku Iris wybrała się pociągiem z Baltimore do Nowego Jorku w sprawach służbowych. W drodze powrotnej postanowiła spędzić weekend w Asbury Park, w słynnym hotelu Paragon. Nikt nie powiedział jej, że Asbury Park nie jest już perłą w koronie, którą niegdyś był, ani że hotel Paragon jest koszmary. Przyjechała w piątek. Jedna noc

w tej nawiedzanej przez duchy ruderze w zupełności jej wystarczyła. Nazajutrz rano wymeldowała się i pojechała na dworzec. Nikt jej więcej nie widział. Oprócz mnie. Widziałem ją, Ronnie. Siedzi na dole w korytarzu, z torebką na kolanach, wciąż czeka na pociąg. Będzie miał duże opóźnienie.

Balengerowi zaschło w ustach i musiał na chwilę przerwać. Miał wrażenie, że za chwilę pękną mu żyły na czole.

- Amanda mówi, że traktowałeś ją z przerażającą grzecznością. Jeśli pominąć to, że zamknąłeś ją w skarbcu. Ale, do diabła, nikt nie jest przecież idealny, prawda? A potem przyniosłeś jej przezroczystą koszulę nocną, którą miała włożyć. Co się stało, Ronnie? Czy uznałeś, że zaloty już się skończyły? Karmiłeś ją. Zabawiałeś ją. Pokazywałeś, jaki z ciebie książę z bajki. I w końcu zapragnąłeś, żeby nagrodzono cię za twoje wysiłki. Jesteś w końcu człowiekiem światowym. Wiesz, jakie są zasady gry. Ale nagle wpadłeś w gniew. Nazwałeś ją kurwą. Czy to twoje seksualne potrzeby sprawiają, że czujesz się słaby i niezadowolony? Założę się, że wkrótce zacząłbyś ją bić. A potem znienawidziłbyś się za to, że ulegasz własnym słabościom. Siebie znienawidziłbyś za to, że masz na nią ochotę, a ją, że jest kobietą, którą cię podnieciła. Ale jest również inna możliwość. Wydaje mi się bardziej przekonująca. Może znienawidziłeś się, ponieważ uważałeś, że powinieneś mieć na nią ochotę, lecz wcale jej nie miałeś. Może nie odczuwałeś żadnego pociągu seksualnego i to cię naprawdę ubodło. Było ci przyjemnie, kiedy przygotowywałeś wykwintne posiłki, czytałeś Prousta i oglądałeś filmy z napisami. Ale kiedy przychodziło do spraw męsko-damskich, byłeś drętwy. „Co jest ze mną nie tak? - pytałeś sam siebie. - Muszę coś z tym zrobić”. Dlatego kazałeś jej włożyć koszulę

nocną. To powinno cię podjarać. Ale nie podjarało i teraz znienawidziłeś ją, bo nie udało jej się obudzić w tobie mężczyzny. Wiedziałeś, do czego to prowadzi. Tak samo wyglądało to z innymi. Nie potrafiłeś ich przelecieć, więc je udusiłeś, żeby ukryć wstyd i poczucie klęski. Może następna kobieta sprawi, że poczujesz się mężczyzną? Następnym razem. Bo zawsze jest ten następny raz, prawda?

Zagrzmiała niewidoczna błyskawica. Amanda i Vinnie obserwowali z przerażeniem Balengera.

—Więc teraz jesteś nie tylko nieudanym żołnierzem i marnym policjantem, ale również domorosłym psychologiem? - zapytał głos.

—Detektywem. Byłem detektywem. I widzę, że w informacjach, które o mnie zebrałeś, nie było mowy o tym, jakiego rodzaju przestępstwami się zajmowałem. A może wolałeś to zignorować, bo nie chciałeś myśleć o tym, co stanowi twój główny problem. Przestępstwami seksualnymi, Ronnie. Zajmowałem się przestępstwami seksualnymi. Potrafię zajrzeć ci do głowy, chłopie, i widzę tam prawdziwe szambo.

Ronnie. To imię także mu się z czymś kojarzyło.

—Sześćdziesiąty ósmy rok - powiedział do mikrofonu. - Jest tu fotografia przedstawiająca ciebie i Carlisle'a. Na odwrocie jest data: trzydziesty pierwszy lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego. Pod koniec tego roku Carlisle zamknął hotel, zwolnił personel i zamieszkał tu sam. Ale może niezupełnie sam. Ronnie. Ronnie. Co jest w tym imieniu... - Balenger zaczął przeglądać raport policyjny, strona po stronie, pamiętając o czymś i szukając tego. Ronnie. Po chwili znalazł odpowiednią stronę i zobaczył nazwisko, na którego widok przeszedł go dreszcz. - Ronald Whitaker.

—Co? - zapytał głos.

- Ronnie. Ronald. Czwartego lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Ronald Whitaker.

—Stul dziób - powiedział głos. Na dworze zagrzmiało.

—Jesteś Ronald Whitaker.

—Stul dziób. Stul dziób.

Przez szum deszczu Balenger usłyszał dochodzące z dołu walenie. Nie z klatki schodowej. Skądś niżej. Celując z pistoletu, otworzył i podniósł klapę. W noktowizorze ukazały się spiralne, zabarwione na zielono schody.

- Stul dziób! Stul dziób! - wrzeszczał Ronnie.

Balenger zszedł piętro niżej i zajrzał przez rozwaloną ścianę do zdemolowanego salonu Danaty. Ronnie walił w zabarykadowane drzwi, tak mocno, że trzęsły się stojące za nimi meble.

—Twoja matka umarła - powiedział Balenger do mikrofonu. - Twój ojciec cię molestował.

—Zadam ci taki ból, że będziesz mnie błagał, bym cię zabił! - krzyknął Ronnie po drugiej stronie drzwi.

Balenger wszedł do salonu Danaty i wycelował w drzwi.

- A potem twojemu ojcu przyszło do głowy, że zarobi na tobie parę dolców - mówił dalej półgłosem, żeby Ronnie myślał, że nadal jest na górze. - Przyszedł z tobą czwartego lipca do hotelu Paragon i sprowadził do ciebie innego zbrojnego.

—Nie będę tego słuchać!

—Facet próbował cię przekabacić piłeczką baseballową, rękawicą i kijem. Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to było straszne. Potem

twój ojciec wrócił z pieniędzmi do pokoju. Był pijany. Zasnął. Rozwaliłeś mu głowę, uderzając w nią dwadzieścia dwa razy kijem. Na twoim miejscu, Ronnie, uderzyłbym go pięćdziesiąt razy. Sto razy. Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo żałuję tego chłopca. Na myśl o tym, co mu zrobiono, budzi się we mnie gniew. Na myśl o jego zmarnowanym dzieciństwie kroi mi się serce.

Deszcz zaciął o ściany hotelu. Gdzieś obok znowu uderzył piorun.

—Ale nienawidzę tego, czym się stał, Ronnie.

—Nazywam się Walter Harrigan!

Balenger wypalił w stronę głosu. Raz. I drugi. Kule przebiły drzwi.

Natychmiast zmienił pozycję i dobrze zrobił. Chwilę później fragment ściany odpadł trafiony dwoma pociskami z dubeltówki. Śruciny posypały się dokładnie tam, skąd strzelał.

Jedna z nich trafiła go w rękę. Ignorując ból, strzelił dwa razy, celując na prawo i lewo od wyłomu. Kiedy skręcał w stronę schodów, pociski z dubeltówki wybiły dwie kolejne dziury w ścianie.

Usłyszał, jak Ronnie ładuje ponownie broń.

Do diabła, pozwoliłem mu się podejść! Przez niego zmarnowałem amunicję! Zostało tylko pięć kul.

Zatrzeszczał głośnik krótkofalówki.

Balenger zdał sobie sprawę, że Ronnie celuje w stronę źródła dźwięku. Kiedy trzaski rozległy się ponownie, popędził w górę po schodach. Śruciny zadzwoniły o metalowe stopnie pod jego stopami.

- Przez dziury nie widać światła twojej lampy – oznajmił głos z krótkofalówki. - Teraz rozumiem. Kiedy twoi znajomi odciągali moją uwagę, zszedłeś na dół, tam gdzie leżały trupy, i zabrałeś noktowizory.

Balenger zatrzymał się pod włazem. Ronnie nie mógł go tam trafić.

—Znalazłem materiały wybuchowe, które umieściłeś pod ciałami - powiedział do mikrofonu.

—Ale tego nie znalazłeś - odparł głos.

Łoskot wstrząsnął budynkiem. Przez chwilę Balenger myślał, że to kolejny piorun, ale widząc, jak zatrzęsły się ściany, zdał sobie sprawę, że do wybuchu doszło wewnątrz hotelu. Musiał złapać się krawędzi włazu, żeby nie stracić równowagi. Poczłł, jak ogłusza go fala uderzeniowa.

- Tutaj! - krzyknęła nad nim Amanda. - W pokoju z monitorami!

Balenger wbiegł na górę, otworzył właz w pokoju z monitorami i zakrzusił się kłębami dymu. Kiedy się rozwiały, zobaczył przez gogle, że schody zawaliły się na długości trzech pięter. W powietrzu kołysał się powykręcany stalowy złom. Daleko na dole widać było płomienie.

Balenger podniósł do ust krótkofalówkę.

—Jeśli mówisz o bransoletce, którą zakładałeś Amandzie, znaleźliśmy ją. Wyrzuciłem ją przez właz w pokoju z monitorami. Właśnie wybuchł tam pożar na schodach.

—Jutro i tak miałem zamiar spalić doszczętnie cały budynek. Monety nie mają dla mnie wartości.

Nagła zmiana tematu zaniepokoiła Balengera.

—Monety?

—Są warte fortunę, ale nie mogę spłacić nimi zaległych podatków - oznajmił z goryczą głos. - Chodziłem do numizmatyków w różnych miastach. Nie pokazywałem nigdy więcej niż kilka monet naraz. Nigdy nie oferowałem tych

najcenniejszych. Ale trzeba sprzedać dużo monet za siedemset dolarów, żeby spłacić pięćdziesiąt tysięcy podatku od nieruchomości. Pewnego dnia w Filadelfii numizmatyk, którego nigdy wcześniej nie widziałem, spojrzął na to, co oferowałem, i oświadczył:

„A więc to pan jest tym facetem z podwójnymi orłami. Inni numizmatycy mówią o panu”. To była ostatnia moneta, którą ośmieliłem się wystawić na sprzedaż.

Dlaczego on tyle mówi, zastanawiał się Balenger. Chce zyskać na czasie. Co takiego knuje?

Nagle przypomniał sobie, co sam powiedział mu przed kilkoma sekundami: „Zrzuciłem ją przez właz w pokoju z monitorami. Właśnie wybuchł tam pożar na schodach”. Jezu, zdradziłem mu, gdzie jestem.

Cofnął się od otwartego włazu i dał susa do sypialni. Coś eksplodowało za nim, ale nie były to śruciny z dubeltówki. W pokoju z monitorami błysnął gorący płomień. Zdał sobie sprawę, że to wybuchł detonator przy włazie. Ronnie zdalnie go zdetonował. Buchnęły kłęby dymu.

Amanda i Vinnie wyprzedzili go, ale kierunek, w którym zdążał Vinnie, świadczył o tym, że chłopak nie domyślił się, co spowodowało wybuch.

- Vinnie, odsuń się od...

W sypialni Vinnie zatrzymał się i obrócił.

- Właz! - krzyknął Balenger. - Odsuń się od...

Oszołomiony Vinnie zerknął na podłogę w miejscu, w którym stał.

Właz.

Detonator.

Wybuch był niewielki, ale ogłuszył ich. Płomień buchnął na nogi Vinniego. Zaczęły się palić jego dzinsy. Z krzykiem padł na podłogę i klepał się wściekle po spodniach.

Balenger złapał narzutę i rzucił na jego nogi, starając się stłumić ogień. Vinnie nie przestawał krzyczeć.

Detonatory wybuchały jeden po drugim na całym najwyższym piętrze. Balenger zobaczył ich

błyski, widział płomienie w pokoju z monitorami i gabinecie medycznym.

- Gaśnica! W kuchni! - krzyknęła Amanda i przebiegła przez pokój z monitorami, omijając płomienie.

Balenger złapał ozdobny dzbanek z komódki i pobiegł z nim do łazienki. Odkręcił kran przy umywalce, ale woda nie popłynęła. Przypomniał sobie, że prąd jest wyłączony i nie działa pompa. Nabrał wody z sedesu, wbiegł do gabinetu medycznego i wylał ją na płomienie. Pocisk z dubeltówki wybił kolejną dziurę w podłodze, ale w tym momencie Balenger wracał już do łazienki. Ściągnął pokrywę ze zbiornika przy sedesie i ponownie nabrał wody. Tym razem nie wbiegł do środka gabinetu medycznego, ale stanął w progu i stamtąd polał płomienie. Ogień zasyczał i przygasał. Znowu do łazienki. Nabrał resztkę wody i pobiegł z powrotem do gabinetu. Kiedy polał po raz trzeci płomienie, ogień zgasł.

Skończyła się woda. Jak mam...

Usłyszał syk gaśnicy. Amanda walczyła z płomieniami w innym pokoju. Ale nie było jej w jadalni, a tam również wybuchł pożar. Woda. Trzeba znaleźć więcej wody. Balenger spojrzał na otwartą windę w siłowni. Ryzykując postrzał z dubeltówki, wbiegł do kabiny i zabrał pięć butelek z moczem, które Ronnie szyderczo im odesłał.

To był błąd, sukinsynu, pomyślał, gasząc płomienie moczem i czując, jak dławi go odór amoniaku. Wylał kolejną butelkę. Ogień zasyczał. Trzecia, a potem czwarta butelka. Polane uryną płomienie przygasły. Piąta butelka dopełniła dzieła.

Kolejny pocisk przebił podłogę. Biegając, Balenger poczuł, że wbija mu się w twarz drzazga. Odnalazł Amandę w bibliotece. Kończyła tam gasić

pożar. Następnie pobiegła do siłowni i rozpylając białą pianę, tam również ugasiła płomienie. Jednak chwilę później piana się skończyła. Gaśnica była pusta.

Podłogę przebił kolejny pocisk, lecz Balenger zdążył zaciągnąć Amandę do sypialni. Ukucnęli obok Vinniego przy zewnętrznej ścianie. Teoretycznie było to najbezpieczniejsze miejsce nad salonem Danaty, do którego drzwi były nadal zabarykadowane. Wokół nich snuły się nitki dymu. Zwęglone dzinsy Vinniego przykleiły się do ciała. Jego skóra poczerniała i sączył się z niej płyn. Oparzenia trzeciego stopnia. Balenger widział ich mnóstwo w Iraku.

- Boli - jęknął Vinnie.

Balenger wiedział, że kiedy minie pierwszy szok, będzie bolało o wiele bardziej. Chłopak będzie cierpiał katusze.

- Boli.

Nawet w zielonej poświacie gogli twarz Vinniego była zupełnie szara.

—Wiem - powiedział Balenger. - Możesz iść?

—Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać - odparł Vinnie, dając znak, żeby pomógł mu wstać.

Okazało się jednak, że za bardzo spuchły mu nogi. Kolana nie chciały się zginać. Vinnie jęknął z bólu. Balenger bał się, że chłopak zemdleje.

—W porządku, to nie był dobry pomysł. - Balenger położył go z powrotem na podłodze. - Amando. - Zdziwił się, widząc, że Amanda wciąż trzyma pustą gaśnicę. - Idź po cichu do pokoju z monitorami i rzuć gaśnicę tak daleko, jak to możliwe. Do biblioteki, jeśli ci się uda. Ale zaczekaj, aż stanę w progu gabinetu medycznego.

—Co masz zamiar...?

—Uśmierzyć jego ból.

Balenger ruszył w prawo, w stronę gabinetu medycznego. Pałace się w nim świece migotały w kłębach dymu. Dał znak Amandzie, która rzuciła gaśnicę w przeciwnym kierunku, w stronę biblioteki. Kiedy tylko usłyszał łoskot, z jakim spadła na podłogę, wbiegł do gabinetu i sięgnął do rozbitej szklanej szafki, zabierając strzykawkę i ampułkę morfiny. Kiedy wracał do sypialni, podłogę przebiły kolejne pociski.

- Daję ci tylko tyle morfiny, żeby uśmierzyć ból, a nie usnąć - powiedział, klękając przy Vinniem.

Vinnie pokiwał głową i przygryzł wargę.

- Pośpiesz się.

Balenger odsłonił jego lewy nadgarstek i zrobił mu zastrzyk. Twarz Vinniego nadal ściągnięta była bólem. Powoli się rozluźniła.

- Tak - szepnął.

Wszędzie unosił się dym.

—Jest coraz gęstszy. - Amanda rozkaszała się.

- Myślałam, że ugasiłiśmy cały ogień.

—Tam na dole dalej się pali - odparł Balenger, wskazując na otwarty właz w pokoju z monitorami.

Ostrożnie zerknął w dół. Trzy piętra niżej płomienie były większe. Mógł tylko zamknąć i zaryglować właz.

Ku jego zaskoczeniu Amanda wbiegła w ślad za nim i uszczelniła właz ręcznikami, które zmoczyła wodą pozostałą w zbiorniku toalety.

Przy wyłączonym prądzie i nie działającym ogrzewaniu temperatura w pomieszczeniach gwałtownie spadała. Amanda objęła się ramionami.

- Chyba mogę coś na to poradzić - rzekł, zerkając na jej białe stopy i koszulę nocną, która prawie nie osłaniała nóg.

Stając w drzwiach do gabinetu medycznego, spojrział na zwłoki Córy. Przepraszam cię, pomyślał, po czym złapał ją za ręce i pociągnął. W podłodze było tyle dziur, że Ronnie na pewno go słyszał, ale Balenger musiał to zrobić. Wtączył ciało Córy do sypialni.

- Proszę - powiedział, ściągając jej z nóg buty i skarpetki.

Ze stóp Córy emanował straszliwy chłód śmierci. - Macie prawie takie same rozmiary. Powinny na ciebie pasować.

Amanda spojrzała na to, co jej podawał. Obłąd stał się normą. Wzięła od niego buty i skarpetki.

- Ale nie spodnie - powiedziała. Spodnie Córy były przesiąknięte krwią. - Nie włożę ich.

Balenger zrozumiał. Nawet desperacja ma swoje granice. Zatrzeszczał głośnik krótkofalówki. Nie odpuszczaj mu, pomyślał Balenger. Nie może być przekonany, że wygrywa.

- Dlaczego blondynki, Ronnie? - zapytał, wciskając przycisk nadawania.

Cisza.

- Czy twoja matka była blondynką?

Cisza.

- Czy chcesz, żeby ktoś zastąpił ci matkę? Czy dlatego twoje dziewczyny cię nie rajcują?

- Ty gnoju - syknął głos.

Mam cię, pomyślał Balenger.

- Co takiego mówiłeś wcześniej o wulgarnym języku? - zapytał.

Cisza.

- Iris McKenzie zaginęła w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku - podjął Balenger. - Ty zatłukłeś ojca czwartego lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego. Osiem lat wcześniej. Jaki jest związek?

Nagle przeszedł go dreszcz. Przed kilkoma godzinami Córa zapytała, co stanie się z kimś, kto przeżył to, co przeszedł Ronald Whitaker. Balenger odpowiedział wówczas, że chłopak spędzi osiem lat w schronisku dla nieletnich, pozostając pod opieką psychiatryczną aż do chwili, kiedy skończy...

- Skończyłeś dwadzieścia jeden lat - powiedział do mikrofonu. - Ta fotografia, która przedstawia ciebie i Carlisle'a... zrobiono ją zaraz po tym, jak cię wypuścili. Co się stało? Czy Carlisle się tobą zainteresował? Czy pisał do ciebie listy, kiedy

cię leczyli? Czy do ciebie dzwonił? Czy w końcu zrobiło mu się ciebie po ludzku żal? Czy poprosił, żebyś tu przyjechał i zamieszkał? Może zaangażował psychiatrę, żeby pomógł ci uporać się z demonami przeszłości. Bo zmagając się z nimi, nie potrafiłeś normalnie funkcjonować. Dlatego na fotografii Carlisle zachowuje w stosunku do ciebie ostrożny dystans. Wie, jaki jesteś wrażliwy na punkcie dotykających cię mężczyzn. Choć może nigdy nie przestał być pokręconym sukinsynem. Nigdy nie należał do świata. On go tylko obserwował. Może sprowadził cię tutaj, żeby zobaczyć, jak zakończy się ta cała historia. A ty mu pokazałeś, prawda, Ronnie? Pokazałeś mu, jak zakończy się ta historia.

—Nie mów o nim w ten sposób.

—Carlisle był potworem.

—Nie. Nic nie wiesz o moim ojcu.

—On nie był twoim ojcem. Może wyobrażał sobie, że dokonuje czegoś w rodzaju adopcji, ale nie był twoim ojcem, mimo że był prawie tak samo zboczony jak twój prawdziwy ojciec.

- Mój prawdziwy ojciec? - powtórzył z odrazą głos. - Prawdziwy ojciec nie potraktowałby mnie w ten sposób.

- A prawdziwy syn nie potraktowałby Carlisle'a tak jak ty - odparł Balenger. - Podejrzywał, co robisz, ale nie potrafił tego udowodnić, prawda? Był pokręcony, ale nie tak pokręcony jak ty. Zamknął hotel, żeby odebrać ci teren łowiecki. Łudził się, że przestaniesz, no i w gruncie rzeczy nie miał pewności, że to robiłeś, prawda? Zamknięcie hotelu było z jego strony tylko środkiem zapobiegawczym. Asekurancją. Co wtedy zrobiłeś? Uczyniłeś z niego swojego więźnia? Groziłeś, że go skaleczysz, wiedząc, że to coś, czego najbardziej się obawiał? Zmusiłeś go

do podpisania dokumentów, które stawiały cię na czele zarządu? A kiedy zaczęły się zamieszki, dałeś do zrozumienia, że to on kazał zainstalować metalowe drzwi i okiennice? Dzięki temu mogłeś go lepiej kontrolować i jednocześnie lepiej strzec swoich tajemnic. Ale on w którymś momencie odkrył, co robiłeś... nie tylko raz, lecz od wielu lat. Czy tak właśnie to wyglądało, Ronnie? Carlisle odkrył zwłoki kilku twoich przyjaciółek. Udało mu się stąd wyrwać. Coś przeraziło go o wiele bardziej niż skaleczenie, przez które mógł wykrwawić się na śmierć. Bardziej niż przyprawiająca o dreszcze otwarta plaża, ku której pobiegł. Coś przeraziło go tak bardzo, że się zabił. Ty, Ronnie.

—Tyle pytań... - mruknął głos.

—Zniszczyłeś dwóch ojców... tego, którego nienawidziłeś, i tego, którego pragnąłeś.

—Tyle pytań, na które nie ma odpowiedzi.

Balenger zajrzał do pokoju z monitorami. Nitki dymu snuły się nad mokrymi ręcznikami. Udało mi się zyskać trochę na czasie, pomyślał. Morfina powinna zacząć działać. Ukląkł przy Vinniem.

—Boli cię?

—Mniej. Nie przez cały czas.

—To dobrze. Ponieważ musimy cię podnieść.

Vinnie otworzył szerzej oczy.

- Nie mamy wyboru - powiedział Balenger. - Nie możemy tutaj zostać. Jeśli on nas nie załatwi, zrobi to pożar.

Zastanawiał się, który wybrać właz. Jeśli zejdziemy schodami, które prowadzą do apartamentu Danaty, Ronnie zobaczy nas przez dziury w ścianie i zacznie strzelać.

Schody z pokoju z monitorami płonęły. Te z kuchni były zalane. Nie ulegało wątpliwości, że winda

jest śmiertelną pułapką. Kiedy tylko Ronnie usłyszy chrobot lin i maszynerii, strzeli w drzwi i zabije wszystkich w kabinie. Albo wyłączy prąd, uwięzi swoje ofiary w szybie i pozwoli, by pochłonał je ogień.

Balenger zakradł się do biblioteki. Gdy otworzył znajdujący się tam właz, usłyszał szum wody, zupełnie jakby napelniała się cysterna. Zamknął klapę, zaryglował ją, po czym przeszedł przez kuchnię do jadalni, otworzył kolejny właz i odetchnął z ulgą. Tutaj nie było słychać płynącej wody.

Wrócił do sypialni. Vinniemu jeszcze bardziej spuchły nogi i sączyło się z nich więcej płynu.

- Wybierzemy się na spacer, Vinnie. Amanda i ja będziemy cię nieść. - Balenger spojrzał na nią. - Gotowa?

- Zawsze - odparła.

Hartem ducha tak bardzo przypominała mu Dianę, że przez chwilę, w kłębach dymu, wydawało mu się, że naprawdę patrzy na swoją żonę. Potrząsnął głową, żeby pozbyć się złudzeń.

- Jesteś ranny - powiedziała, wskazując jego prawe ramię.

Balenger z zaskoczeniem odkrył, że na rękawie wiatrówki ma plamy krwi.

—To chyba śrucina z dubeltówki.

—Iw lewy policzek. Dotknął go i poczuł krew.

—Pewnie wbiła mi się drzazga. Proszę. Będziesz ich potrzebowała - dodał, dając jej drugie gogle. - Zgasimy teraz lampy - poinformował Vinniego, kiedy Amanda założyła noktowizor.

—Róbcie to, co konieczne - odparł chłopak, krzywiąc się z bólu i kiwając głową.

Balenger zgasił lampy przy kaskach. Modlił się, żeby Vinnie nie wpadł w panikę, kiedy zabiorą go z oświetlonego świecami pokoju. Podczas gdy Amanda przyzwyczajała się do zielonej poświaty gogli, założył plecak, wsunął pistolet do kabury i wcisnął łom za pasek.

Amanda wzięła Vinniego za lewą rękę, Balenger za prawą. Kiedy go podnosili, jęknął.

- Oprzyj się o nas - szepnął Balenger. - Nie próbuj sam iść. Pozwól, żebyśmy cię nieśli.

Ale kiedy ruszyli z miejsca, od razu zorientował się, że to nie zda egzaminu: buty Vinniego szorowały po podłodze. Zatrzymali się.

- Może gdyby objął nas za szyje - zasugerowała Amanda. - Gdyby trochę pomógł, każde z nas mogłoby jedną ręką podtrzymywać jego plecy, a drugą złapać go pod uda.

Próbując zrealizować ten pomysł, unieśli Vinniego, który zgiął z bólem kolana i siadł na czymś w rodzaju krzeselka, sformowanego przez ich ręce. Posuwając się noga za nogą, dotarli do wjazdu w jadalnię i posadzili Vinniego na podłodze.

Balenger wycelował w klapę, a Amanda ją podniosła. W goglach zobaczył wyłącznie spowitą w zieleni klatkę schodową. Nie słychać było nic poza bębniącym na zewnątrz deszczem.

Balenger przyjrzał się otworowi. Był za mały, żeby zmieściły się w nim jednocześnie dwie osoby, zszedł więc pierwszy po schodach i zatrzymał się, kiedy jego głowa znalazła się tuż nad wjazdem. Amanda stanęła za Vinniem i pchnęła go w stronę otworu, nogami do przodu. Chłopak syknął z bólu, poza tym jednak starał się zbytnio nie hałasować. Balenger złapał go za pasek i ściągnął w dół, zdając sobie sprawę, ile sprawia mu bólu, i usiłując to zrobić jak najdelikatniej.

Od smrodu spalonego ciała zbierało mu się na mdłości. Posadził Vinniego i odwrócił się do niego plecami. Amanda, która zeszła tymczasem po schodach, zarzuciła mu ręce Vinniego na szyję. Balenger złapał je i pochylił się do przodu, tak że tors chłopaka oparł się o jego plecy, a nogi zawisły z tyłu.

Już miał ruszać, kiedy uświadomił sobie, że o czymś zapomnieli.

- Przeciśnij się obok mnie - polecił Amandzie. Mówił ledwie słyszalnym szeptem, ale miał wrażenie, że krzyczy.

- Machaj przed sobą młotkiem. Sprawdzaj, czy nie ma drutu.

Jeśli w jej oczach malował się lęk, skryły go gogle. Amanda

odpięła młotek od jego paska i ruszyła przodem. Vinnie stęzał z bólu. Kiedy zataczając spiralne kręgi, schodzili w dół, Balenger uświadomił sobie, że obaj chrapliwie oddychają. Za głośno. Ronnie nas usłyszy. Poczul, jak ściska mu się żołądek. Musiał ostrożnie balansować, żeby ciężar Vinniego nie zepchnął go w dół.

Idąca przed nimi Amanda zatrzymała się. Znajdowali się na wysokości korytarza szóstego piętra. Balenger zerknął ponad jej ramieniem. Jej młotek o coś zaczepił.

Drut tnący.

Balenger zobaczył, jak drży.

Odchylił się do tyłu i posadził Vinniego na schodach, ciesząc się, że może pozbyć się na chwilę ciężkiego balastu.

- Połóż się na plecach - szepnął do Amandy. - Przeciśnij się pod spodem. Ja zsunę Vinniego po schodach.

Amanda wykonała bez wahania jego polecenie, po czym odwróciła się i tym razem zawahała, widząc, że ma złapać Vinniego za poparzone nogi. Wahanie trwało jednak tylko chwilę. Zajęła odpowiednią pozycję i czekała, aż Balenger przeciśnie Vinniego pod drutem.

Jednak ciało chłopaka samo stoczyło się po schodach. Balenger miał wrażenie, że straszliwy łomot

wydobywa się z potężnego głośnika. Wsunął dłonie pod Vinniego, żeby zamortyzować uderzenia o stopnie. Vinnie nie widział przeszkody i nie miał pojęcia, dlaczego zsuwają go w ten sposób, ale Balenger musiał przyznać, że chłopak nie stawiał żadnego oporu i posłusznie robił, co mu kazali.

Kiedy Vinnie znalazł się po drugiej stronie, nadeszła kolej na Balengera, który przeczołgał się pod drutem, zarzucił sobie ręce chłopaka na szyję i dźwigając go na plecach, ruszył ponownie w dół.

Amanda szła przed nimi, sprawdzając młotkiem, czy nie ma kolejnych drutów.

Nagle schody zadygotały. Śruby wypadły z tynku i cała metalowa konstrukcja oderwała się od ściany. Balenger zachwiał się. Słyszając spadające z brzękiem śruby, złapał za rozchybotaną poręcz. Schody zmieniły się w jedną wielką rozdygotaną spiralę, zakotwiczoną wyłącznie na górze.

Vinnie uderzył się nogami w poręcz i krzyknął. Odbijający się z wielokrotnionym echem hałas zdawał się wypełniać cały hotel. Ronnie musiał go słyszeć. Balenger wyciągnął zza paska łom, odwrócił się i walnął z całej siły w drut, który pękł pod wpływem uderzenia.

- Na górę! - krzyknął do Amandy. - Już! Ścianę przebiły śruciny, a potem kolejne śruby oderwały się od muru i schody zakotłowały się jeszcze bardziej. Z twarzą spływającą potem Balenger chwycił za krawędź włazu. Szczęśliwy, że może się nareszcie złapać czegoś solidnego, wdrapał się na górę i starając się ignorować krzyki Vinniego, wciągnął go za sobą. Zatrzymał się dopiero w kuchni, licząc na to, że będą bezpieczni przy zewnętrznych ścianach. Usłyszał trzaśnięcie kłapy i po chwili zobaczył koło siebie Amandę.

57

—Spróbujemy zejść innymi schodami -
powiedziała z nadzieją w głosie.

—Zostały nam tylko trzy klatki schodowe.

Amanda usiadła znużona na podłodze, opierając się plecami o ścianę.

- Trzy. Jest duże ryzyko, że nas dopadnie.

Balenger usiadł obok niej.

—Prawdopodobnie wszędzie zastawił pułapki -
oznajmił równie znużonym jak ona głosem.

—Owszem. Prawdopodobnie - odparła, po

czym zerknęła na Vinniego, który zemdłał z bólu. - Masz jakieś inne pomysły?

—W tym momencie nie.

—Ja też nie.

W pokoju z monitorami dym sączył się przez mokre ręczniki, które uszczelniały krawędzie włazu.

- Ale musi być jakiś sposób - powiedziała Amanda. - Nie poddam się.

Zupełnie jak Dianę, pomyślał.

—Masz rację. Nie poddamy się. Zatrzeszczał głośnik krótkofalówki.

—Jeszcze żyjecie? - zapytał głos.

Balenger przełączył na nadawanie i przycisnął łokieć do kabury z pistoletem, mając nadzieję, że doda mu to otuchy.

—Czekamy na ciebie.

—Czekacie, aż pochłonie was ogień - odparł głos. Czekanie to śmierć, pomyślał Balenger. Musimy coś zrobić.

Nie możemy tu umrzeć. Słyszał deszcz siekający o metalowe okiennice nad jego głową.

Musiał być jakiś sposób.

Amanda zerknęła na okno. Balenger uprzytomnił sobie, co jej przyszło do głowy. Powoli wstali i zbadali okiennice. Podobnie jak inne miały rolki, które opierały się na poziomym drążku nad oknem. Teoretycznie wystarczyło przesunąć ją w bok, żeby się otworzyła. Na dole rolki zabezpieczał zamek.

Jednak w przeciwieństwie do okiennic na dole te tutaj nie były zardzewiałe. Ronnie utrzymywał okiennice we wzorowej czystości, podobnie jak całe wyposażenie penthouse'u.

Balenger wsunął koniec łomu pod zamek i podważył go, a potem uświadomił sobie, że Ronnie może usłyszeć hałas.

- Zajmę go czymś - szepnął do Amandy, przekazując jej łom.

Przeszedł do jadalni i wcisnął przycisk nadawania na krótkofalówce.

—Walter Harrigan. Ronald Whitaker. Ronnie. Czy twoja matka mówiła do ciebie „Ronnie”? Dlatego kazałeś tak się nazywać swoim dziewczynom? Żeby przypominały ci matkę?

—Obiecuję, że będziesz bardziej cierpiać.

Balenger spojrział w stronę kuchni, w której Amanda mocowała się z zamkiem.

- Walter Harrigan. Nazywasz się Ronald

Whitaker, ale mimo to... No tak, oczywiście. - Balenger poczuł, jak prze chodzi go dreszcz zrozumienia. - Wychodząc ze schroniska dla nieletnich, zmieniłeś nazwisko? Zrobiłeś to, prawda? Z nowym nazwiskiem nie musiałeś się bać przeszłości. Nikt nie wiązał cię z tym, co się stało czwartego lipca. Nikt nie wiedział, że zabiłeś ojca. Nikt nie wiedział, że byłeś przez niego molestowany.

Balenger obserwował Amandę. Zamek powinien zaraz odpaść od ściany.

—Czy o to ci chodziło, Ronnie? A może pomysł zmiany nazwiska wyszedł od Carlisle'a? Czy to była kolejna sprawa, w której ci pomógł?

—Owszem, pomógł mi w wielu sprawach - powiedział głos. - Nie przestawał mi pomagać.

—I stale cię usprawiedliwał? Nawet kiedy nabrał podejrzeń, nadal szukał dla ciebie usprawiedliwień, prawda? Nie potrafił uwierzyć, do czego jesteś zdolny. Dlaczego miałby...

Amanda po raz ostatni pociągnęła do siebie łom i oderwała zamek od ściany. Balenger wrócił do kuchni i złapał go, nim spadł na podłogę.

—Dlaczego szukał dla ciebie usprawiedliwień, Ronnie? - zapytał i czując, jak ogarniają go mdłości, uświadomił sobie, że zna odpowiedź. - Bo patrzył przez ścianę. Widział, jak twój ojciec... Widział, jak zboczeniec, od którego twój ojciec wziął pieniądze, wchodzi do pokoju i... W tym momencie obrzydło mu podglądanie, któremu się oddawał przez całe życie. Mógł coś zrobić, żeby to przerwać, ale... Był bogiem, który oglądał stworzone przez siebie piekło, lecz nie interweniował. Jednak widząc, jak rozbijasz głowę ojcu, poczuł w końcu coś

więcej niż ciekawość. W dzieciństwie był bardzo samotny i pewnie dlatego utożsamiał się z tobą. Poczul się winny. Żałował, że nie przerwał tego, co oglądał. Teraz pozostało mu tylko spróbować ci to wynagrodzić. Zepsuł cię i pewnej nocy poniósł tego konsekwencje.

—Dziś w nocy to ty poniesiesz konsekwencje.

Widzę dym tu na dole - powiedział głos.

Balenger schował krótkofalówkę do plecaka i razem z Amandą pchnęli okiennicę. Rolki potoczyły się z zaskakującą łatwością po drążku.

Podobnie jak w innych oknach szyba była tu wybita, co miało sprawiać wrażenie, że hotel jest kompletnie opuszczony i zdewastowany. Balenger poczuł na twarzy wiatr i deszcz. Przez chwilę razem z Amandą chwyтали łąpczywie powietrze, wypełniając nim nozdrza, gardła i płuca. Błyskawica oświetliła plażę siedem pięter niżej.

Balenger podniósł ramę okna, żeby nie pokaleczyły go tkwiące w niej ostre kawałki szkła.

- Znajdę miejsce, do którego przywiążę linę - powiedział do Amandy. - Kiedy tylko wyjdę, zamknij okiennicę. Jeśli Ronnie wyczuje świeże powietrze, domyśli się, co robimy.

Wyszedł przez okno i stanął na dachu w zabarwionej na zielono ciemności. Deszcz smagał go ze wszystkich stron, wiatr dał jak szalony, wyimaginowane ręce popychały do przodu. Wpadająca do ust woda miała gorzki smak potu, brudu i krwi.

Krople deszczu na goglach utrudniały mu zobaczenie czegokolwiek. Wytarł rękawem soczewki, zamrugał oślepiiony bliską błyskawicą i ruszył ostrożnie do przodu.

Dach ugiął się nagle. Balenger skręcił w prawo i odetchnął z ulgą, czując pod stopami solidniejsze oparcie. Przy skraju dachu ukucnął, żeby nie zepchnął go w dół podmuch wiatru.

Przez chwilę łudził się nadzieją, lecz kiedy zerknął w dół, ogarnęła go rozpacz. Środek dachu piętro niżej zawałił się i do budynku lała się woda. W

świetle błyskawic zobaczył niższe piętra. Dziesięciolecia złej pogody i brak konserwacji spowodowały olbrzymie zniszczenia. Płaty dachu łuszczyły się i trzepotały na wietrze. Nawet z dużej odległości widać było wyraźnie dziury.

Balenger otworzył usta, żeby odetchnąć. Wiatr wypełnił jego gardło. Nie, pomyślał. Nie! Błyskawica trafiła w plażę. Deszcz przybierał na sile i Balenger poczuł, jak drży w przemoczonym ubraniu. Znacznie gorszy był jednak wewnętrzny dreszcz, który go przeszedł. Poszukał wzrokiem miejsca, gdzie mógłby przywiązać linę,- którą miał w plecaku.

Rura wentylacyjna. Zbliżył się do niej i zobaczył przez noktowizor rdzę. Kiedy pchnął rurę butem, nawet nie drgnęła. Pchnął ją silniej. Nadal mocno się trzymała. Balenger wytarł gogle i zawrócił do okna. Po drodze trafił na kolejny uginający się odcinek dachu. Ominął go, lecz trzy jardy dalej lewym butem przebił nagle powierzchnię. Zastygł w bezruchu, przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i stawiając ostrożnie stopy, ruszył dalej.

Dotknąwszy ręką okiennicy, wzdrygnął się, widząc, że otwiera się sama. Po chwili zobaczył dłonie Amandy, która pomogła mu wejść przez okno.

Ociekając wodą i trzęsąc się z zimna, wślizgnął się do kuchni i zamknął za sobą okiennicę. Po świeżym powietrzu na zewnątrz dławiała go panująca w zadymionym wnętrzu atmosfera bólu i śmierci. Nawet gogle nie mogły ukryć jego przygnębienia.

—Co się stało? - zapytała Amanda.

—Nie damy rady tego zrobić we trójkę.

—Nie damy?

—Jeśli będziemy we dwoje nieść Vinniego, dach załamie się pod naszym ciężarem. Jeśli pójdziesz sama, może ci się udać. Ale jeśli ja go

wznię, zlecimy razem na niższe piętro.
Możemy zatrzymać się dopiero na samym dole.
—Ale...

- Zostawcie mnie - odezwał się zboląłym szeptem Vinnie.

Balengera zaskoczyło to, że chłopak jest przytomny.

—Wstrzymuję was - mruknął Vinnie. - Zostawcie mnie. Sprowadźcie pomoc.

—Nie, nie zostawię cię. - Balenger zdjął plecak i wyciągnął z niego linę. - Amanda, ty ważysz najmniej. Jest tam rura wentylacyjna. Sprawdzalem ją. Utrzyma cię. Zawiaż wokół niej linę i zsuń się na dół. Ściągnij linę. Znajdź kolejne miejsce, w którym będziesz mogła ją zawiązać, i schodź dalej.

Na twarzy Amandy odmalowało się skupienie.

—Jak daleko jest na dół?

—Siedem pięter.

—Mam zjechać na linie? To się nazywa *rappeling*, tak?

—Zgadza się.

—To nie jest takie łatwe, jak mówisz. Nawet jeśli uda mi się zejść na dół, co będzie dalej? Gdzie znajdę pomoc?

—W okolicy nikogo nie ma. Będziesz musiała pójść na posterunek policji.

—Jak daleko?

—Dwie mile.

Amanda zakrztusiła się dymem.

—W takim deszczu? Ledwie żywa po tak długim siedzeniu w skarbcu? Z nogami osłoniętymi tylko koszulą nocną? Padnę z wyziębienia, zanim tam dotrę. Idź ty.

—Ale...

—Jesteś najsilniejszy. Ja zostanę z Vinniem.

Przyjrzał się jej. Blond włosy. Zdeterminowana śliczna twarz. Zupełnie jak Dianę.

Cały pomysł wydał mu się nagle bezsensowny.

—Zanim sprowadzę pomoc, może już być za późno - powiedział.

—To co zrobimy?

Balenger przysłuchiwał się przez chwilę deszczowi bębniącemu o okiennicę.

- Mamy chyba tylko jedno wyjście.

Wpatrywała się w niego, starając się opanować desperację.

—Muszę go dopaść - oznajmił.

—Tak. - Amandzie posiniały z zimna wargi. Przy zlewie wisiał fartuch. Zdjęła go z wieszaka i okryła gołe nogi. Coś zwróciło jej uwagę w rogu. Kiedy Balenger spojrział w tamtym kierunku, zobaczył szczura. Inne szczury przypatrywały im się z jadalni. - Zwabił je zapach nóg Vinniego - wyjaśniła Amanda.

Kolejne szczury pojawiły się w progu biblioteki. Jeden z nich miał tylko jedno oko.

Balenger poszedł do sypialni i wyjął jakiś przedmiot z kurtki Córy. Wróciwszy, pokazał go Amandzie.

Pistolet na wodę.

- Ocet - powiedział, posyłając strugę cieczy w stronę szczura, który uciekł.

Amanda wzięła pistolet.

Z krótkofalówki dobiegły ich trzaski.

—Tu na dole dym jest coraz gęstszy - oznajmił Ronnie.

—W takim razie może powinieneś opuścić budynek - odparł Balenger, po czym wyłączył krótkofalówkę i włożył ją do plecaka. Wsadził tam również łom. - Wrócę jak najszybciej - obiecał Amandzie, patrząc jej prosto w oczy.

Nadal jednak stał w miejscu. Nie mógł się od niej odwrócić. Wiedzeni tym samym impulsem mocno się objęli. Balenger chciał, by dodała mu sił - była zapewne ostatnią przyjazną osobą, którą miał okazję widzieć. Targany emocjami, otworzył okiennicę. Natychmiast lunął na niego deszcz. Przed zejściem na dach zerknął do kuchni i zobaczył, że Amanda siada na podłodze i kładzie sobie głowę Vinniego na kolanach.

Zabarwione na zielono szczury czaiły się w progu pokoju. Amanda wycelowała do nich z pistoletu. Balenger oparł stopy o dach i zamknął okiennicę.

Idąc w stronę rury wentylacyjnej, miał wrażenie, że wiatr pozbawi go tchu. Stawiając kolejne kroki, zdawał sobie sprawę, że może się w każdej chwili zapaść. Bez przerwy lustrował wzrokiem kałuże, przekonany, że dach będzie najślabszy tam, gdzie zbiera się woda. Najbliższy napotkany przez niego gąbczasty odcinek znajdował się jednak w miejscu wyższym od innych, które wybrzuszyło się pod wpływem wilgoci. Cofnął się i ominął je.

Błyskawica uderzyła w sam szczyt piramidy. Łoskot przypominał wybuch pocisku artyleryjskiego. Balenger opanował chęć ucieczki, pamiętając, że musi zachować ostrożność. Z trudem dostrzegł rurę w strugach deszczu. Zawiązał wokół niej linę i pociągnął, ponownie sprawdzając, czy go utrzyma. Przeznaczona do wspinaczki wysokogórskiej, była cienka i lekka, ale wyjątkowo mocna. W poliestrowej powłoce krył się rdzeń z jedwabnych włókien. Miała standardową długość stu pięćdziesięciu stóp. Ponieważ zwinął ją podwójnie, mógł opuścić się w dół siedemdziesiąt pięć stóp.

Rick pytał go wcześniej, czy się kiedyś wspinał. Nie chcąc budzić jego podejrzeń, odparł, że chodził po skałkach. W rzeczywistości trenował wspinaczkę podczas szkolenia w wojsku. Związał linę mniej więcej cztery stopy przed końcem. Węzeł miał go ostrzec, że zbliża się do końca. Zrzucił podwójną linę z dachu, po czym wszedł w klucz zjazdowy, upewniając się, czy kurtka dostatecznie go chroni przed otarciem karku. Lewą ręką złapał linę z przodu, prawą za odcinek, który zwisał za plecami. Dzięki temu jego ciało mogło posłużyć za hamulec.

W którymś momencie musiał zgubić rękawice. To oznaczało, że może sobie otrzeć dłonie. Starając się za wszelką cenę nie tracić optymizmu, powiedział sobie, że podczas deszczu rękawice mogłyby się okazać zbyt śliskie. W tych okolicznościach bezpieczniej było opuszczać się bez nich.

Racja. Staraj się myśleć pozytywnie. Widzieć jasną stronę.

W zabarwionej na zielono ciemności.

Wpadam w coraz gorsze tarapaty, pomyślał. Mimo to nie do końca rozumiał swoje emocje. Syndrom wojny w Zatoce, którego nabawił się podczas operacji Pustynna Burza, stał się nagle czymś bardzo odległym, prawie nieistniejącym. Posttraumatyczne zaburzenia stresowe z okresu, gdy go o mało nie ścięto, nie miały teraz większego znaczenia. Po piekle ostatnich sześciu godzin, po tylu ofiarach śmiertelnych, po odkryciu zwłok żony ogarnęła go ponura wściekłość. Była tak potężna i wszech-obejmująca, że nie pozostawiała miejsca na strach. Od tego, co teraz zrobi, zależało życie Vinniego. Zależało życie kobiety, która przypominała mu żonę. To się liczyło. Dopadnięcie Ronniego. Tylko to się liczyło.

Po raz ostatni sprawdził linę, po czym zszedł tyłem z dachu. Kołysząc się nad otchłanią, popuścił linę z przodu, ściskając ją jednocześnie prawą ręką z tyłu. Poczul, jak owija się wokół jego ciała. Zawieszony w pozycji poziomej, odpychał się nogami od ściany, schodząc tyłem w dół i zbliżając się do krateru piętro niżej.

Osunął się lekko w dół. Czyżby wygięła się rura? Popuścił linę, czując, jak ociera mu zziębnięte palce prawej ręki. Lina ponownie zadrżała. Nie myśl o tym. Schodź dalej. Myśl o Amandzie i Vinniem. Przez zalewane deszczem gogle zobaczył tuż pod sobą

ocalały skraj patio. Chwilę później stanął na nim, nie puszczając liny, żeby nie runąć w dół, gdyby załamała się pod nim resztką konstrukcji.

Przed sobą miał zamkniętą zardzewiałą okiennicę na szóstym piętrze. Nie mógł przez nią wejść do środka. Żeby dostać się z powrotem do hotelu i dopaść Ronniego, musiał zejść niżej. Do krateru, na którego dnie znajdował się pokój na piątym piętrze. W przemoczonym, coraz cięższym ubraniu podszedł do skraju dziury, odchylił się do tyłu i zaczął zjeżdżać w dół. Nie mając ściany, o którą mógłby oprzeć stopy, skrzywił się z wysiłku, którego wymagał od niego dalszy zjazd. Lina wrzynała mu się w biodro, pierś i bark. Dookoła było coraz więcej wody - nie tylko deszcz, lecz kaskady, które spływały z dachu. Wszystko to lało mu się na głowę. Niżej zobaczył łóżko z baldachimem, komodę, wiktoriański stolik, podstawowe wyposażenie, które widział w innych pokojach. W środku podłogi dostrzegł kolejny krater, przez który woda spływała niżej.

Poruszył energicznie nogami. Spowodowało to efekt wahadła, który spotęgował, wierzgając nimi jeszcze kilka razy. Kołysząc się, zbliżył się do krawędzi podłogi, ponownie wierzgnął i nagle poleciał w dół. Zabrakło mu tchu. Ułamała się rura, przemknęło mu przez głowę, i w tej samej chwili zatrzymał się w miejscu.

Lina zacisnęła się wokół jego piersi. Zaczepił powietrza ustami i wypuścił je przez nos, starając się uspokoić rytm oddechu. Spoglądając w górę, odkrył, że lina wbiła się w skraj krateru i oderwała fragment dachu. Odpadło sześć stóp sufitu. O tyle właśnie osunął się w dół. Teraz wisiał poniżej otworu w podłodze, zaglądając do pokoju na czwartym piętrze. Próbował się podciągnąć, zaczepić nogą o krawędź.

Ale krawędź zaczęła się kruszyć. W miarę jak zapadała się podłoga piątego piętra, Balenger osuwał się coraz niżej. Tuż przy nim lały się potoki wody. Spadające krzesło otarło się o jego rękaw.

Jezus, wali się cały sufit. Zaraz polecą pozostałe meble...

Obok niego przeleciał stolik. Komoda przechyliła się i przesunęła ku poszerzającej się dziurze. W jego stronę zaczęło jechać łóżko.

Zerkając w dół, zobaczył, że drzwi pokoju na czwartym piętrze są otwarte. Prawie cała podłoga zawałiła się, wszystkie meble runęły w dół, wybijając dziury w podłogach kolejnych pięter. Zorientował się, że ma pod sobą pokój, z którego wyciągnął Vinniego po jego upadku.

Otwór na górze coraz bardziej się poszerzał. Lina osunęła się o kolejne dwie stopy. Z głuchym poświstem przeleciała obok niego komoda. Łóżko było coraz bliżej. Nie przestając się kołysać, Balenger zjechał trochę niżej. Prawą ręką dotknął węzła sygnalizującego, że kończy się lina. Kiedy zakołysał się ponownie, jej nacisk spowodował zawalenie się kolejnego fragmentu sufitu. Łóżko runęło prosto na niego, ale wychylił się w tym momencie ku otwartym drzwiom i zacisnął kurczowo palce na futrynie. Łóżko przeleciało tuż obok.

Lina ciągnęła go z powrotem w dół. Musiał z całej siły trzymać się futryny. Łóżko rozbiło się kilka pięter niżej. Puścił linę za sobą, po czym złapał futrynę drugą ręką i podciągnął się trochę dalej. Podłoga galeryjki ugięła się, lecz nie zapadła. Dał kolejny krok. I jeszcze jeden.

Odwinął linę z biodra i barku, rozwiązał węzeł i próbował ją ściągnąć, ale chyba się o coś zaczepiła. Obawiając się, że jego wysiłki nadwątlą słabą podłogę, dał krok do tyłu i pociągnął ponownie. Lina nie ustąpiła nawet na cal.

Narobiłem mnóstwo hałasu, pomyślał, ale Ronnie mnie chyba nie słyszał.

Puścił linę i wyciągnął pistolet. Celując wzdłuż zabarwionej na zielono galeryjki, uświadomił sobie, że w hotelu słyszać nieustanny łoskot burzy. Odgłos walącego się sufitu stanowił fragment większej całości. Nie powinien wzbudzić podejrzeń Ronniego.

Przyjrzał się pustemu centralnemu trzonowi hotelu. Deszcz padający przez rozbity szklany dach tworzył w nim coś w rodzaju welonu, lecz mimo to dostrzegał przeciwległą galeryjkę. Na piątym piętrze widać było płomienie, na szóstym kłęby dymu.

Amanda. Vinnie.

Balenger ruszył korytarzem, który prowadził do schodów przeciwpożarowych. Odgłosy burzy tłumiły wszelki hałas, który robił, wchodząc na górę. Na piątym piętrze zakradł się na galeryjkę, mając nadzieję, że zobaczy wyżej Ronniego.

Nigdzie go nie było.

Coś otarło się o jego głowę. Korzenie. Drzewo, które wyrastało z podłogi. Przed kilkoma godzinami wyglądało dziwnie. Teraz, w porównaniu ze wszystkim, co się wydarzyło, wydawało się czymś zupełnie naturalnym.

Wrócił na schody przeciwpożarowe i wspiał się piętro wyżej. Drzwi były otwarte. Przeszedł przez nie i ruszył powoli krótkim korytarzem. Tłąca się po drugiej stronie galeryjka wydawała się pusta. Płomienie powinny wkrótce ogarnąć najwyższe piętro. Mimo świadomości, że cenna jest każda sekunda, nie śpieszył się, starał się zachowywać należyłą ostrożność. Przy końcu korytarza wyjrzał na galeryjkę. Nadał ani śladu Ronniego. Poza apartamentem Danaty wszystkie drzwi były pootwierane. Ronnie mógł być w każdym z pokoiów i nasłuchiwać, co dzieje się na górze.

Po lewej stronie rosło drzewo. Z drzwi naprzeciwko wydostawał się dym. Balenger zdał sobie sprawę, że Ronnie wcale nie nasłuchuje odgłosów z góry, lecz wznieca kolejny pożar.

Coś poruszyło się w kłębach dymu. Kiedy w progu pojawiła się wysoka postać, Balenger zacisnął palec na spuście. Mężczyzna w garniturze miał na oczach gogle i trzymał w rękach dubeltówkę. To był Ronnie! Przypomniał sobie z wściekłością jałową rozmowę, którą odbył z tym człowiekiem przed dwoma laty. „I wtedy właśnie widział pan japo raz ostatni?”. „Owszem. Kiedy wyszła w południe z mojego gabinetu”. Potwór wyglądał jednak jakby inaczej, nie był taki chudy jak wówczas, gdy Balenger zobaczył go przed godziną na monitorze.

Kiedy Ronnie odwrócił się w jego stronę, Balenger strzelił dwa razy, trafiając go w pierś. Huk wystrzałów zlał się z łoskotem gromu. Ronnie zatoczył się do tyłu i nim Balenger zdążył strzelić po raz trzeci, wpadł na drzewo. Zatrzeszczały deski i w dół runął cały nadwątlony przez korzenie fragment galeryjki. Kręcąc rękoma młynka, Ronnie spadł wraz z drzewem piętro niżej.

Balenger podbiegł do wyrwy. Dopiero teraz

uświadomił sobie, dlaczego Ronnie nie był taki chudy, jak powinien. Miał na sobie kamizelkę kuloodporną.

Wycelował w dół, zdecydowany strzelać w głowę, ale zobaczył jedynie ramię Ronniego, który błyskawicznie przeturlał się na bok. W magazynku zostały mu tylko trzy naboje. Nie mógł ryzykować, że chybi. Wiedział, że nim zbiegnie schodami przeciwpożarowymi na piąte piętro, Ronnie z pewnością dobrze się ukryje - zbyt wiele tam było pokoiów, schodów awaryjnych i tajnych drzwi.

Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, zeskoczył na galeryjkę piętro niżej. Ponieważ nie zapadła się pod ciężarem Ronniego, wierzył, że utrzyma i jego. Wylądował na zgiętych kolanach, żeby zamortyzować wstrząs, po czym zwinął się w kłębek i przeturlał zgodnie z tym, czego nauczono go na szkoleniu. Ominąwszy drzewo, ukucnął i poszukał wzrokiem przeciwnika. Zaniepokoiła go chybocząca się podłoga.

Ronnie stał pięć drzwi dalej i celował w niego z dubeltówki. Galeryjka zakołysała się nagle i Balenger się wywrócił. Ronnie również stracił równowagę. Dubeltówka wypaliła i śrut przeleciał ze świstem nad głową Balengera.

Zanim Ronnie zdążył załadować następny nabój, Balenger rzucił się na niego. Przewrócili się na podłogę i Balenger poczuł nagle, jak żołądek podchodzi mu do gardła, gdyż urwała się nadmiernie obciążona galeryjka. Cały jej fragment przechylił się i spadł piętro niżej, tworząc coś w rodzaju zjeżdżalni, po której objając się o siebie, stoczyli się piętro niżej. Od siły uderzenia również tu zatrzęsała się podłoga.

Ręce Ronniego zamknęły się na szyi Balengera, który przypomniał sobie, co Amanda mówiła o sile Ronniego. Mocne dłonie z wprawą zacisnęły się na

jego tchawicy. Potwór miał za sobą lata praktyki.

Galeryjka zaczęła się kołysać. A może to Balengerowi zakręciło się w głowie. Kiedy zabarwiony na zielono obraz w jego goglach poszarzał w wyniku podduszenia, Balenger próbował strzelić do Ronniego, ale zdołał wycelować tylko w jego pierś, którą chronila kamizelka kuloodporna.

Pociągnął za spust. Kamizelka zatrzymała pocisk, lecz nie zamortyzowała siły uderzenia. Ronnie poleciał do tyłu, jakby trafił go młot kowalski. Balenger odczołgał się na korytarz, gdzie podłoga była bardziej stabilna. Chwilę później to, co

zostało z wyższej galeryjki, runęło w dół. Ronnie krzyknął, przysypany zwałami gruzu. Galeryjka czwartego piętra również się urwała, powodując prawdziwą reakcję łańcuchową, w której wyniku na parter spadły, rozbryzgując wodę, wszystkie pozostałe balkony.

Balenger przyjrzał się z bezpiecznego korytarza rumowisku. W górę wzbijała się chmura kurzu, którą szybko zalały płynące przez rozbity szklany dach potoki wody.

Amanda. Vinnie. Schował pistolet do kabury i popędził w stronę schodów awaryjnych. Jedno piętro. Drugie. Krztusząc się dymem, wybiegł na korytarz szóstego piętra i zaczął się zastanawiać jak dostać się do penthouse'u. Drzwi do apartamentu Danaty były zabarykadowane. Czy tajne drzwi były w którymś z innych pokoi? Czy to przez nie Ronnie wchodził na schody i zastawiał swoje pułapki? Gdzie były te drzwi?

Wybrał pokój sąsiadujący z tym, w którym Ronnie wznicił nowy pożar, i wbiegł do środka. Jego uwagę przykuła wysoka komoda. Łatwo było ukryć za nią drzwi. Przewrócił ją, ale z tyłu była najwyraźniej solidna ściana. Wyjął łom z plecaka i uderzył nim z całej siły w tynk. A potem zaczął walić raz po raz, coraz bardziej rozgorączkowany, niemal płacząc z desperacji. Dziura powiększyła się i zobaczył przez nią ukryty korytarzyk. Tłukąc łodem w ścianę, jeszcze bardziej poszerzył otwór.

Schował łom do plecaka, przelazi na drugą stronę i zobaczył spiralne schody, które oderwały się od ściany. Mój Boże jestem pod jadalnią penthouse'u. Amanda, Vinnie i ja próbowaliśmy tędy zejść. Schody prawie niczego się nie trzymają.

Postawił stopę na stopniu. Schody zadygotały. Ruszył pod górę, starając się stąpać delikatnie, nie

rozkołysać zbytnio całej konstrukcji, ale znowu zadygotała. Proszę, modlił się w duchu, ściskając krętą poręcz. Miał wrażenie, że stoi na pokładzie ciskanej przez fale żaglówki. Bojąc się odetchnąć pełną piersią, podniósł rękę i zapukał w klapę. Dwa razy. Trzy razy. Raz.

Właz otworzył się. Amanda spojrzała na niego z ulgą.

—Wybuchł drugi pożar - powiedziała.

—Wiem.

Balenger wczuł się na górę. Nacisk jego stóp wystarczył, żeby cały schody runęły z hukiem w dół. Penthouse wypełniały kłęby dymu. Podbiegli do leżącego w kuchni Vinniego.

—Bałam się, że będę musiała otworzyć okiennicę i wytaszczyć Vinniego na zewnątrz, a potem dołączyć do niego - powiedziała Amanda.
- Mielibyśmy przynajmniej czym oddychać, nawet gdybyśmy dostali hipotermii albo zawałił się cały ten cholerny budynek.

—Pomóż mi przenieść go do sypialni. Zabierzemy go do apartamentu Danaty.

—Co z Ronniem?

—Nie wiem. Chyba nie żyje.

—Chyba?

—Mam nadzieję. Nie jestem pewien.

Zarzucili sobie ręce Vinniego na ramiona i powlekli go do sypialni, nie dbając o to, czy nie robią za dużo hałasu. Posadzili go przy włączniku, Amanda otworzyła klapę, a Balenger wycelował w dół z pistoletu. Zostały tylko dwa naboje, pomyślał. Nie mogą ich zmarnować. Ale zobaczył tylko zabarwiony na zielono dym.

Stawiając nogę na pierwszym stopniu, zawahał się.

—Zaczekaj chwilę - powiedział, po czym cofnął się i zabrał blok plastiku, który odłożył na bok po rozbrojeniu bomby.

—Do czego może ci się przydać? - zapytała Amanda.

—Nie wiem.

—Mówiłeś, że bez detonatora jest bezużyteczny.

- To prawda - odparł, chowając plastik do plecaka.

Zszedł kilka stopni na dół i przystanął, czekając, aż Amanda

zarzuci mu na plecy Vinniego. Zniósł go do salonu Danaty i ponownie posadził na podłodze. Sapiąc z wysiłku, odsunęli razem z Amandą ciężki stół i krzesła, które tarasowały drzwi. Amanda otworzyła je, a on wycelował z pistoletu w korytarz.

Po drugiej stronie galeryjki strzelały w górę płomienie. Ogień rozprzestrzeniał się również z pokoju po ich stronie.

—Tak długo było ciemno, że myślałem, że oddałbym wszystko, by zrobiło się jaśniej - Vinnie był przerażony tym, co zobaczył. - Teraz tego żałuję.

—Pomóż mi wziąć go na plecy - powiedział Balenger do Amandy. - Vinnie, złap za paski mojego plecaka. Potrafisz to zrobić?

- Moje nogi są do niczego, ale ręce mam sprawne.

Wyszli na korytarz i dotarli do schodów przeciwpożarowych. Balenger ponownie wycelowwał z pistoletu, ale i tym razem nikogo nie zobaczył. Pochylny pod ciężarem Vinniego, schodził na dół najszybciej jak mógł, nie ryzykując utraty równowagi.

Piąte piętro. Czwarte. Trzecie.

—Słyszę wodę - powiedziała Amanda.

—Tyle jest dachów, na których się zbiera. Tyle dziur. Zalany jest cały budynek - odparł Balenger.

Drugie piętro. Pierwsze. Parter.

Kiedy otworzył drzwi, stanęli po kolana w wodzie. Była lodowata, ale jeszcze bardziej zmroził ich panujący w holu totalny chaos. Zrozumiał teraz, dlaczego przy drzwiach i kolumnach piętrzyły się meble. Siła lejącej się z górnych pięter wody była przerażająca, hałas ogłuszający. Jej nurt porywał wszystko, co nie było przytwierdzone do podłoża.

- Jak się stąd wydostaniemy?

Głos zaskoczył Balengera, który o mało nie pociągnął za spust. Przez potoki wody brnął w ich stronę mężczyzna. Miał gogle na oczach, tatuaże na twarzy i wypchane, ciężkie kieszenie.

- Sprawdzalem drzwi do tunelu! - wrzasnal Tod.

- Sukinsyn naprawde je zespawal! Probowalem otworzyc wszystkie inne drzwi i okiennice, ktore znalazlem! Jesteśmy uwięzieni!

- Użyjemy łomu! Spróbujemy wyważyć drzwi! Wchodząc w wartki nurt, Balenger o mało nie upadł. Dwadzieścia stóp po prawej stronie zobaczył wodospad.

—Zaraz runie cała ta cholerna rudera - powiedział Tod.

—Pozbądź się monet. Jeśli się wywrócisz, wciągną cię pod wodę.

- W takim razie będę uważał, żeby się nie wywrócić.

Balenger zobaczył przepływające krzesło, na którym siedział szczur. Uskoczył przed nim i zachwiał się pod ciężarem Vinniego. Amanda złapała go i podtrzymała. Przeszli obok kolumny, przy której na stercie mebli roilo się od szczurów.

—Co mu się stało? - zapytał Tod.

—Ma poparzone nogi. Ronnie odpalił detonatory.

—Chętnie wsadziłbym temu sukinsynowi detonator w gardło, gdybym go kiedykolwiek dorwał... - Tod przerwał i rozdziawił szeroko usta.

—O co chodzi?

—Właśnie przepłynęły obok nas zwłoki. Kobiety. Tej, którą widziałem na korytarzu.

Blond włosy zniknęły w kipieli. Balengerowi zrobiło się niedobrze na myśl, że mógł to być jakiś inny trup ukryty przez Ronniego w budynku. Albo zwłoki Dianę.

Coś wpadło z pluskiem do wody. W holu panował taki hałas, że Balenger dopiero poniewczasie zorientował się, że za jego plecami padł strzał z dubeltówki. Walcząc z silnym prądem, dobrnął do kolumny i schował się za stosem mebli.

—Amanda!

—Tu jestem! Za tobą!

—Gdzie jest Tod?

—Tam! - odkrzyknęła, wskazując sąsiednią kolumnę.

Balenger oddał Vinniego Amandzie, wyciągnął pistolet i wyjrzał zza stosu mebli. Miał przed sobą rumowisko, w które zmieniły się główne schody. Obok leżały powykręcane szczątki balkoników, które runęły wcześniej na dół. Ronnie mógł się tam kryć w dziesiątkach miejsc.

Wychylając się tak daleko, jak się ośmielił, Balenger odniósł wrażenie, że widzi jakiś ruch pod płataniną poręczy. Zostały mu tylko dwa naboje. Musiał mieć pewność. Schował się z powrotem za stosem mebli. Poziom wody wciąż się podnosił. Śruciny oderwały kawał stolika tuż obok niego. Ukryty za meblami, nie widział płomienia wylotowego.

Chcąc dokładniej zlokalizować Ronniego, wyjął krótkofalówkę z plecaka.

- Deszcz ugasi w końcu pożar - powiedział do mikrofonu. - Nie uda ci się zniszczyć wszystkich dowodów.

Nastawił głośność na minimum i nasłuchiwał, skąd dobiegnie głos Ronniego, ale huk wodospadu zagłuszał wszystkie inne dźwięki.

- Pożar i deszcz zniszczą odciski palców - odezwał się z krótkofalówki głos Ronniego. - Reszta dowodów nie musi wcale wskazywać na mnie. Nikt oprócz was nie wie, że tu przychodziłem. Policja pomyśli, że to sprawka intruzów.

Balenger przekrzywił głowę, koncentrując się na głosie Ronniego. Był niemal pewien, że dochodzi z prawej strony, z kryjówki w płataninie poręczy. Musiał go sprowokować do powiedzenia czegoś więcej.

Ronnie zaskoczył go, kontynuując swoje wynurzenia.

- Właściwie to dobrze, że władze miasta zmusiły mnie do odejścia. Nigdy dotąd woda nie dokonała tylu zniszczeń. Kiedy przychodziła burza, musiałem co najwyżej opróżnić basen. Deszczówka napelniała go, a resztę załatwiały kanały przelewowe.

Tak, głos zdecydowanie dobiegał z płataniny poręczy, pomyślał Balenger. Ale po co tyle mówił? Czy chciał mnie do siebie ponownie zwabić? Czy zmieniał swoją pozycję, mając nadzieję, że zmarnuje kolejny nabój?

- Wiesz co znaczy słowo „eksponencjalny”? – zapytał Ronnie.

Balenger uznał, że musi odpowiedzieć, żeby zachęcić go do podtrzymywania rozmowy.

—W wojsku oznaczało to chyba przybierające gwałtownie na sile ataki - odparł i natychmiast

zmniejszył głośność.

—Coś w tym rodzaju - zgodził się głos.

Dobiegał z tego samego miejsca. Z prawej strony. Z rumowiska. Czy jeśli teraz nie strzełę, uzna, że skończyła mi się amunicja? Czy zaryzykuje i spróbuje podejść bliżej? Czy mogę go zwabić?

- To właśnie przytrafiło się temu hotelowi. Przybierające gwałtownie na sile ataki - oznajmił Ronnie. - Swoją drogą twój głos wskazuje, że ci zimno.

Balenger rzeczywiście przemarzył do szpiku kości. Dygotał cały w lodowatej wodzie.

- Wkrótce dostaniesz skurczów. Nie będziesz mógł się bronić.

—Masz ten sam problem.

—Wcale nie - odparł głos. - Jestem wyżej, w suchym miejscu.

—Hej! Ronnie! - wrzasnął Tod zza sąsiedniej kolumny, zaskakując Balengera. - Zawrę z tobą umowę!

—Jaką ty możesz zawrzeć umowę?

—Nie słyszę cię! - odkrzyknął Tod. - Nie mam krótkofalówki!

Dobrze, niech Ronnie krzyczy, pomyślał Balenger. Dzięki temu lepiej go zlokalizuję.

- Nie masz mi nic do zaoferowania! - odparł Ronnie.

Teraz jego głos dobiegał chyba z innego miejsca. Hałas ponownie uniemożliwił Balengerowi ustalenie, gdzie dokładnie się skrył.

—A właśnie, że mam. Pomogę ci dorwać pozostałych. Czy pozwolisz mi wyjść, jeśli to zrobię? - zapytał Tod. - Nie musisz się mnie bać.

—Nie boję się nikogo.

—Nie stanowią zagrożenia. Chcę się stąd tylko wydostać. Nie mam powodu zawiadamiać gliniarzy. Po zabraniu tych monet.

—No tak, wzięłeś monety.

Balengerowi zdrętwiały nogi. Zastanawiał się, czy zdoła się ruszyć, kiedy nadejdzie pora.

—Czy ubijemy interes, jeśli pomogę ci ich dorwać?

—Pomoc jest zawsze mile widziana.

—Ale czy ubijemy interes?

—Przyjaciół zawsze się przyda.

Co takiego kombinował Tod? Balenger zobaczył, że wyciąga z wody przepływający obok niego długi fragment poręczy.

- Przygotujcie się! - zawołał Tod. - Nadchodzę!

Balenger obserwował z przerażeniem, jak Tod popycha poręczą meble, za którymi skrył się razem z Amandą i Vinniem. Stół się zakołysał. Poruszyło się krzesło. Tod dźgnął je mocniej. Cała sterta zaczęła się niebezpiecznie przechylać. Balenger

zorientował się, że za chwilę będą całkowicie odsłonięci. Nie miał innego wyjścia: musiał poświęcić jeden z nabożów na Toda.

Wziął go na cel.

Widząc to, Tod puścił poręcz i schował się za urwanymi schodami, które zaczepiły się o kolumnę. Coś wyskoczyło nagle z rumowiska i owinęło się wokół jego twarzy, rozdzierając pazurami policzki i szyję. Coś białego. Z trzema tylnymi łapami. Kot. Tod wrzasnął z bólu. Z jego szyi trysnęła krew. Obciążony przez monety, pragnąc za wszelką cenę ściągnąć zwierzę z twarzy, potknął się, zatoczył i odsunął z jękiem od kolumny.

Pocisk z dubeltówki rozerwał mu pierś. Monety w kieszeniach były tak ciężkie, że zamiast paść do tyłu, osunął się na kolana, a potem przewrócił na bok. Jego głowa zniknęła pod wodą. Biały kot wynurzył się z topieli.

Balenger usłyszał chrobot drewna. Krzesło, które odepchnął Tod, odpłynęło z nurtem. Zaraz po nim przyszła kolej na stół i całą resztę. Balenger schował pistolet do kabury. Odwracając się, żeby pomóc Amandzie przytrzymać Vinniego, stracił równowagę. Coś obilo się o jego nogi i wpadł do wody. Wstrzymując oddech, wynurzył się na powierzchnię i zobaczył, że Amanda i Vinnie płyną razem z nim. Wydawało mu się, że słyszy strzał z dubeltówki. A potem nurt porwał go i wciągnął pod wodę.

Miał wrażenie, że spada po schodach, płynie korytarzem, mija wahadłowe drzwi. Próbował się czegoś złapać, w jakikolwiek sposób się zatrzymać, ale rozczapierzone palce chwyciły tylko kawałek drewna. Ponownie się wynurzył i spostrzegł przed sobą Amandę i Vinniego. Zaczerpnął powietrza i zobaczył z boku niebieskie kafelki. To było pomieszczenie z basenem.

Prąd porwał go przez otwarte drzwi. Po chwili zderzył się z gigantycznym metalowym zbiornikiem. Był w kotłowni.

—Amanda! - zawołał, łapiąc kurczowo powietrze.

—Tutaj!

Woda sięgała mu powyżej pasa. Dygocząc gwałtownie, podpłynął do niej.

- Vinnie? Gdzie jest...?

Vinnie odpływał od nich z zanurzoną twarzą. Balenger i Amanda złapali go i wyciągnęli mu głowę z wody. Vinnie zakaszłał. Wokół nich pływały szczury, popiskując przeraźliwie, starając się dosięgnąć rur i wdrapać po nich na górę. Tuż obok walczył z nurtem biały kot. Dalej przepływały jakieś jasne przedmioty i Balenger zdał sobie sprawę, że to włosy. Blond włosy ofiar Ronniego.

Coś trzasnęło w jego umyśle. Bał się, że traci zmysły.

- Musimy się stąd wydostać albo utoniemy! – zawołała drżącym głosem Amanda.

Balenger nie miał odwagi powiedzieć jej, że nawet jeśli uda im się dostać z powrotem do holu, przemarznięci do szpiku kości staną się łatwymi celami dla Ronniego.

Patrząc na jej śliczne policzki i blond włosy, miał przez krótką, upiorną chwilę wrażenie, że widzi...

—Dianę?

—Jak mnie nazwałś?

Wziął ją za rękę i pociągnął razem z Vinniem w stronę basenu, ale już po pierwszym kroku woda cisnęła ich z powrotem na metalowy zbiornik.

Zimno. Było tak strasznie zimno.

Balengerowi zeszywniały ręce.

Woda sięgała mu do piersi.

W końcu ją znalazł. Nie mógł pozwolić jej umrzeć. Jak się stąd, wydostaną, do diabła? Gdyby ten sukinsyn nie zaspawał drzwi...

Pozwalając ponieść się prądowi, pobrnał w ich stronę. Może spawy nie są takie mocne, pomyślał. Może uda sieje wyłamać łomem.

Jakim cudem, skoro napiera na nie cała ta woda? Całe tony wody. Nawet gdyby nie były

zespawane, nigdy nie zdołałby ich otworzyć.

Spawy. Coś tłuło się w zakamarkach jego pamięci. Coś ważnego, czego nie potrafił sobie przypomnieć. Coś...

Pamiętał, że kiedy Ronnie pojawił się na ekranie monitora i pokazał rurę, którą przyspawał do futryny, po lewej stronie miał butlę gazową. Teraz pobrnął w tamtą stronę, modląc się, żeby nadal była w tym samym miejscu. Przez chwilę macał w wodzie, lecz niczego nie znalazł. Pochylił się jeszcze niżej i w końcu jego zdrewniałe palce natrafiły na obły kształt.

Prostując się, miał ochotę krzyknąć z radości, ale musiał jeszcze bardzo się postarać, by jego nadzieje nie okazały się płonne. Woda zakrywała niemal w całości przyspawaną do futryny rurę. Od drzwi dzieliła ją niewielka szczelina. Balenger wyciągnął z plecaka łom i wsunął w nią jego ostry koniec. Drugi zakrzywiony koniec sterczał wysoko nad drzwiami.

Ponownie zanurzył ręce w wodzie. Stękając z wysiłku, podniósł zaopatrzoną w paski butlę z gazem i zawiesił ją na sterczącym łomie nad powierzchnią wody. Wyjął blok plastiku z plecaka i wcisnął go pomiędzy butlę i drzwi. Umocował taśmą samoprzylepną palnik, tak że jego dysza skierowana była na środek butli, i ustawił dźwignię w pozycji otwartej. Gaz zaczął się ulatniać. Kiedy włączył palnik, z dyszy buchnął płomień.

Wracając do Amandy i Vinniego, musiał walczyć z napierającą na niego masą wody. Przypomniały mu się koszmary, w których starał się gdzieś szybko dotrzeć, lecz nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Widząc na wodzie odbicie palącego się za nim płomienia, przyśpieszył i sapiąc wściekle, okrążył zbiornik. Amanda i Vinnie stali za nim, przyciśnięci do metalowej ścianki.

- Zamknijcie oczy! Zakryjcie uszy! - krzyknął. Amanda natychmiast wykonała polecenie. - Słyszysz mnie, Vinnie? Zamknij oczy! Zakryj uszy!

Otępiały z bólu, zimna i morfiny, Vinnie

zacisnął dłonie na uszach.

Balenger zrobił to samo. Woda sięgała mu do piersi. Ile czasu potrzebuje płomień, żeby wypalić dziurę w butli? Raz, dwa, trzy, cztery. Powinna już wybuchnąć. Siedem, osiem, dziewięć. Może wpadła do wody? Albo woda podniosła się wyżej i zgasiła palnik? Trzynaście, czternaście.

Świat wypełniły huk i jasność. Wybuch oślepił i ogłuszył Balengera, chociaż miał zamknięte oczy i zasłonięte uszy. Siła uderzenia uniosła go i pozbawiła tchu. Miał wrażenie, że znajduje się w stanie nieważkości. Kiedy opadł, przytłoczyła go masa wody. Straciły sens pojęcia góry i dołu, lewej i prawej strony. Porwany przez chaos, uderzył o coś, jęknął i opił się wody, ani na chwilę nie przestając mknąć do przodu.

Zdał sobie sprawę, że jest w kanale. Drzwi zostały wysadzone. Woda wlała się do... Potężna siła obracała nim i ciskała na wszystkie strony. Odbił się od ściany, ponownie opił się wody i zorientował się, że wynurzył z niej twarz. Nad sobą zobaczył przesuające się w błyskawicznym tempie, zabarwione na zielono sklepienie kanału. Otaczały go szczury. Dwa siedziały na jego piersi.

Zobaczył, że zbliża się do rogu kanału, i chwilę później walnął butami o ścianę. Strumień obrócił go i porwał dalej. Znalazłszy się znowu pod wodą, wstrzymywał desperacko oddech. W pewnej chwili powróciło wrażenie nieważkości. Machając rękoma, wzbił się w powietrze.

Wylądował na czymś twardym, przeturlał się i czując, jak leje się na niego woda, próbował pozbyć się jej z płuc. Czuł, jak biegają po nim szczury.

Deski. Dziwnym trafem miał nad sobą deski. Leżał na mokrym piasku. Obok zobaczył połamaną, zardzewiałą kratę.

Mój Boże. Woda wyłamała kratę, która zamykała kanał odpływowy. Wyrzuciła mnie na plażę. Jestem pod promenadą.

Klang.

Klang.

Wiatr niósł brzęk blachy objijającej się o ścianę w porzuconym apartamentowcu. Balenger przypomniał sobie dreszcz, który przeszedł go, kiedy usłyszał ten dźwięk przed siedmioma godzinami.

Klang.

Deszcz przeciekał przez szczeliny między deskami, lejąc mu się na twarz. Sięgnął po broń, która tkwiła nadal w kaburze. Ale ciemność nie była już dłużej zabarwiona na zielono. Zgubił gogle, lecz mimo to coś przed sobą widział. Błyskawicę. Płomienie ogarniające górne piętra hotelu. Z trudem usiadł i rozejrzał się dookoła. Dianę. Vinnie.

Przeszukał szczątki. Przebiegły po nim kolejne szczury. Pięcionogi kot leżał bez ruchu z wygiętą pod nienaturalnym kątem szyją. Balenger zobaczył jakiś kształt obok leżącej się z kanału wody. Na czworakach popęzł w tamtą stronę. Nagle uświadomił sobie z przerażeniem, że to zmumifikowane zwłoki. Coś ponownie trzasnęło w jego głowie.

Po lewej stronie zobaczył dwa kolejne leżące na piasku ciała. Jedno z nich miało blond włosy. Bojąc się, że to także zwłoki, podpełzł bliżej.

Postać z blond włosami poruszyła się. Balenger podczołgał się do niej szybciej i obrócił ją na plecy.

—Dianę.

—Nie - wyszeptwała postać.

Obok niej leżał nieruchomo Vinnie. Balenger sprawdził, czy nic nie blokuje jego ust, a potem obrócił go na brzuch i nacisnął mu plecy, żeby wycisnąć wodę z płuc.

Vinnie zakaszłał i z ust wyciekło mu trochę cieczy. Balenger nadal uciskał jego plecy.

—Nie możemy tu zostać, Dianę - powiedział.

—Ale ja nie jestem...

—Przyjdzie tu Ronnie. Musimy się stąd wynosić. - Balenger podniósł Vinniego. - Pomóż mi, Dianę.

Zaświeciła błyskawica. Trzymając między sobą Vinniego, powlekli się przed siebie, ale buty chłopca szorowały po piasku. Balenger potknął się, przyklęknął i z trudem się podniósł. Po trzech kolejnych krokach cała trójka wywróciła się wyczerpana.

Balenger rozejrzał się dookoła.

- Ronnie zaraz tu będzie. Musimy się ukryć. Musimy się... Tam na piasku leży koryto. Widzisz je, Dianę?

Nie usłyszał odpowiedzi.

Deszcz lał się przez dziury w promienadzie.

—Pomóż mi zawlec tam Vinniego. Ostatkiem sił wciągnęli go do koryta.

—Połóż się obok niego - powiedział Balenger.

—Ale...

—Przykryję cię. Plaża będzie wydawała się płaska. Może was nie zobaczy.

—A nasze ślady?

—Deszcz je zatrze.

—A ty?

—Postaram się odciągnąć go w inną stronę.

Dianę...

—Nie jestem Dianę.

—Kocham cię.

—Chciałabym nią być - odparła, całując go w policzek.

Balenger położył ją w korycie, a potem przysypał oboje piaskiem, tworząc fikcyjny grób, żeby uchronić ich przed prawdziwym.

Zostawił im odsłonięte twarze.

—Zimno mi - poskarżyła się.

—Odciągnę go w inną stronę. Policz do trzystu - powiedział Balenger. - Potem spróbuj znaleźć pomoc. Jeśli do tego czasu nie wrócę, będziesz wiedziała, że mi się nie udało i nigdy nie będziecie bezpieczni.

—Dianę miała szczęście, że z nią byłeś.

- Miała? Nie rozumiem. Wciąż ze mną jesteś.

Balenger odwrócił się w stronę kanału odpływowego i zebrał siły, żeby ruszyć tą samą drogą, którą przyszedł. Do szczątków, szcurów i zmumifikowanych zwłok. Deszcz rzeczywiście zacierał ślady. Zmobilizował całą siłę woli i wyszedł na plażę, kierując się w stronę wzburzonego morza. Zaświeciła błyskawica, lecz on nie zmrużył oczu.

Kilka jardów od linii przyboju odwrócił się i spojrzął w stronę promenady. Z wyższych pięter hotelu Paragon buchały płomienie. Burza i pożar zmagaly się ze sobą. Padający deszcz sprawiał, że ogień nie był dobrze widoczny od strony miasta. Poza tym na takim pustkowiu i o tak późnej porze musiało upłynąć kilka godzin, nim straż pożarna i policja zostaną zaalarmowane i przybędą na miejsce. Balenger nie mógł liczyć na czyjąkolwiek pomoc.

Po prawej stronie ukazał się w świetle błyskawicy szkielet porzuconego apartamentowca. Rozległ się brzęk blachy.

Balenger wyjął pistolet z kabury i wcisnął go z tyłu za pasek. A potem rozpostarł ręce, żeby można go było lepiej widzieć. Jego agresywna postawa mówiła wszystko. Chodź po mnie, Ronnie. Spróbuj się ze mną zmierzyć.

Zagrzmiało, gdy Ronnie pojawił się na szczycie promenady. Na tle płonącego hotelu wyglądał, jakby wyłonił się z piekielnych czeluści. Stał przy złamanej poręczy i spojrzął w dół, w stronę przyboju. Jego gogle były niczym klapy zamykające dostęp do duszy. Powoli i zdecydowanie zszedł po schodach, trzymając w rękach dubeltówkę.

Łoskot gromu przypominał Balengerowi kroki olbrzyma. Mordercza determinacja sprawiała, że wysoki, chudy, liczący pięćdziesiąt siedem lat Ronnie wydawał się większy. Ciemna kevlarowa kamizelka symbolizowała emanującą z niego straszliwą moc. Dźwigał na barkach ciężar utraconej niewinności, skradzionego dzieciństwa, całego życia wypełnionego bólem i gniewem, grozą i śmiercią. Kiedy zbliżył się do

Balengera, jego nieprzenikniona twarz wyrażała pustkę, której nic nie mogło wypełnić.

- Przykro mi z powodu tego, co ci zrobiono, Ronnie! - Balenger wiedział, że burza zagłuszy wszystko, co mówi. Chciał, żeby Ronnie podszedł bliżej, żeby zainteresował się tym, co do niego krzyczał. - Nienawidzę cię, ale żal mi tamtego małego chłopca!

Ronnie wciąż się zbliżał: nieubłagany, nieprzejednany, uosobienie kata.

- Czy tutaj właśnie zginął Carlisle? - zawołał Balenger w strugach deszczu.

Tamten był chyba nadal zbyt daleko, żeby go usłyszeć. To nie miało znaczenia. Chciał, żeby Ronnie widział jego poruszające się usta, żeby intrygowało go, co mówi, żeby się nie zatrzymywał.

Podejść bliżej, ponaglał go w duchu. Do wymiany strzałów dochodzi najczęściej z odległości mniejszej niż pięć jardów. Mimo to adrenalina sprawia, że strzelającym trzęsą się ręce i chybiamy. Balengerowi ręce zdrętwiały z zimna i cały dygotał. Nie mógł liczyć, że trafi Ronniego z jakiegokolwiek odległości. Za to strzelający z dubeltówki Ronnie mógł go wykończyć z czterdziestu jardów.

Bliżej!

- Czy to dlatego stary strzelił sobie w łeb? Kiedy zdał sobie sprawę z bezmiaru twoich zbrodni, wołał wyjść na ze wnątrz, niż przebywać obok ciebie! Uciekł z hotelu! Czy znalazł twoją dubeltówkę? Czy zabrał ją ze sobą? Miał nadzieję, że obroni się na plaży! Ale stojąc tutaj, zobaczył, jak podchodzisz w strugach deszczu, i uświadomił sobie, że jest zgubiony! I dlatego się zabił!

Oświetlony przez błyskawicę, Ronnie zmniejszał dzielący ich dystans.

- Ta dubeltówka, którą trzymasz! Czy to z niej właśnie Carlisle strzelił sobie w łeb?

Ronnie zatrzymał się w odległości trzydziestu jardów. Nie! Musiał podejść bliżej!

- Czy to zdarzyło się w tym miejscu? Czy tutaj właśnie to zrobił? Ojciec, którego zawsze pragnąłeś? Czy tutaj właśnie ak go przeraziłeś, że się zabił?

Łoskot gromu zagłuszył jego słowa. Błyskawica sparaliżowała na chwilę Ronniego. A potem ruszył dalej, chcąc usłyszeć, co takiego mówi Balenger.

- Jakim byłeś wspaniałym synem! Dał ci szansę na nowe życie, a ty zmieniłeś jego życie w koszmar!

W odległości dwudziestu jardów Ronnie znowu się zatrzymał. Był teraz dość blisko, żeby usłyszeć Balengera.

- *Siostra Carrie!* - zawołał.

Balengera zaskoczyła nedorzecznosc tego okrzyku.

—Co takiego?

—Powieść Dreisera! Mówiąc o niej, twój przyjaciel wydobyl to, co najważniejsze. Nasza fizycznosc i nasze otoczenie skazują nas na zgubę. Zapomniał tylko dodać, że skazuje nas na zgubę również nasza przeszłość!

—Nie zawsze! Nie, jeżeli z nią walczysz! Ale ta cholerna rudera z pewnością każe nam w to wierzyć!

Błyskawica znowu sparaliżowała Ronniego. Co się z nim dzieje, zastanawiał się Balenger. Dlaczego nie podchodzi bliżej?

Nagle zorientował się, o co chodzi. Gogle! Kiedy niebo rozjaśniała błyskawica, noktowizor musiał dostosować się do zmiany natężenia światła. Blask

oślepił Ronniego!

Ronnie podniósł dubeltówkę do ramienia.

Kiedy oślepiła go kolejna błyskawica, Balenger wyciągnął pistolet zza paska i zaatakował. Ronnie otrząsnął się z paraliżu i wziął go na cel.

Balenger padł na ziemię i strzelił w górę. Pocisk z dubeltówki trafił w piasek kilka jardów za nim. Balenger strzelił ponownie, celując w twarz Ronniego.

A potem iglica szczęknęła sucho w zamku. Nie miał więcej amunicji.

Przeturlał się na bok. Czy udało mu się trafić Ronniego? Następny pocisk z dubeltówki uderzył tuż obok, śruciny rozorały mu gołeń.

Zerwał się na nogi i pokuśtykał w bok, usiłując odciągnąć Ronniego od promenady.

Dobiegający z tyłu głośny jęk kazał mu się obrócić. W świetle błyskawicy zobaczył, że Ronnie pada na kolana. Ramię krwawiło mu w miejscu, gdzie nad kamizelką z kevlaru trafiła go jedna z kul Balengera. Ktoś stał za nim z deską w dłoniach. Diane. Trzymała deskę i krzyczała wniebogłosy. Dubeltówka wypaliła w piasek, a Diane zamachnęła się deską niczym kijem baseballowym. Balenger zobaczył, jak w powietrze wzbija się kępka zakrwawionych włosów. W kompletnie mokrej wiatrówce i okrywającej jej nogi koszuli nocnej, Diane zamachnęła się ponownie i walnęła Ronniego w tył czaszki tak mocno, że runął twarzą na piasek. Stojąc nad nim, okładała go tak długo, aż deska złamała jej się w rękach. Wówczas, przeklinając go, wbiła jej ostry koniec w jego plecy.

Ronnie zadygotał i znieruchomiał.

Amanda stała nad nim, płacząc. Balenger pokuśtykał ku niej.

—Nie żyje? - zapytał.

—Właśnie trafił do piekła.

Przywarli do siebie, podtrzymując się wzajemnie.

—Posłał do niego wiele osób. Teraz przyszła jego kolej - powiedziała.

—Z powodu czegoś, co zdarzyło się nie z jego winy. Czegoś, w weekend czwartego lipca.

Balengerowi zrobiło się niedobrze.

Klang.

Wiatr potrząsał kawałkiem blachy.

Klang.

Jej brzęk był niczym dzwon, który oplakiwał Ronniego, jego ofiary i hotel Paragon.

Balenger obserwował przez chwilę trawiący wyższe piętra ogień.

—Dianę - powiedział.

—Nie jestem Dianę.

Przyjrzał się jej. Dotknął jej policzka.

—Wiem - rzekł, dając się w końcu przekonać. -
Boże, jakbym chciał...

—Byłeś gotów umrzeć, żeby mnie uratować.

—Straciłem już raz Dianę. Nie zniósłbym, gdybym miał ją stracić po raz drugi. Gdybym nie ocalił ciebie i Vinniego, nie miałbym po co żyć.

—Nie straciłeś mnie. Żal ścisnął mu gardło.

—Lepiej już chodźmy. Musimy pomóc Vinniemu. Pokuśtykali w deszczu w stronę promenady. Kiedy dotarli do Vinniego, był nieprzytomny. Podnieśli go z piasku. Amanda odwróciła się nagle.

—Czy to są...

—Tak, to policyjne syreny.

Powlekli się z Vinniem wzdłuż promenady, kierując się w stronę ich dźwięku. Balenger miał wrażenie, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa, ale brnął dalej podobnie jak Amanda. Spojrzał na nią. Tak bardzo pragnął, aby okazało się, że ma przy sobie Dianę, aby mógł w to przynajmniej uwierzyć.

W malignie musiał powiedzieć to na głos, ponieważ Amanda odwróciła się do niego.

- Pamiętaj, że nią nie jestem i mnie wcale nie straciłeś - zaznaczyła.

Dotarli do schodów prowadzących na promenadę i zaczęli się po nich wspinać, omijając połamane deski, osuwając się na kolana i z powrotem

się podnosząc. Płomienie sprawiły, że zrobiło się jaśniej. Balenger poczuł wiejący od pożaru ciepły wiatr. A potem wiatr stał się gorący, lecz on nadal trząsał się z zimna. Syreny umilkły. Strażacy wyskoczyli ze swojego wozu. Policjanci wysiedli z radiowozów.

Szczyt hotelowej piramidy zapadł się, w górę posypały się iskry. Strawione przez ogień, zawałiło się szóste piętro. Przepadły złote monety, pomyślał Balenger. Przypomniał sobie podwójnego orła, którego wsadził do kieszeni. I widniejące na nim słowa: Pokładamy ufność w Bogu.

Podbiegli do nich policjanci.

- Co wam się przytrafiło? - zawołał jeden z nich.

Osuwając się na ziemię, Balenger usłyszał brzęk obijającej się o ścianę blachy. Zawaliła się kolejna część budynku. Ale piekło ma wiele pięter. Podobnie jak przeszłość.

- Co nam się przytrafiło? - mruknął. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. - Hotel Paragon.

NOTA OD AUTORA

OBSESJA NA PUNKCIE PRZESZŁOŚCI

Każdy autor wie, że najczęściej zadawane nam pytanie brzmi: „Skąd czerpicie swoje pomysły?”. Infiltratorzy. Choć do niedawna nie znałem tego określenia, przez całe życie fascynowała mnie przyświecająca im idea.

Kiedy miałem dziewięć lat, moja rodzina mieszkała w zagraconym mieszkaniu nad restauracją, w której stołowali się pijacy odwiedzający liczne w tamtej okolicy bary. (Działo się to w mieście Kitchener na południu prowincji Ontario). Często słyszałem, jak tłuką się między sobą w alejce pod oknem mojej sypialni. Również w mieszkaniu stale dochodziło do konfliktów. Chociaż matka i ojczym nigdy nie przeszli do rękoczynów, ich kłótnie bardzo mnie przerażały i często nakrywałem poduszki kołdrą, żeby myśleli, iż smacznie śpię, podczas gdy w rzeczywistości leżałem pod łóżkiem, nie mogąc zmrużyć oka.

Często uciekałem z tego mieszkania i włóczyłem się po mieście, w którym poznałem sekrety każdej alejki i parkingu w promieniu dziesięciu przecznic. Poznałem również tajemnice opuszczonych budynków. Spoglądając wstecz, dziwię się, że nie przytrafiło mi się w nich coś złego. Byłem jednak dzieckiem ulicy, wyćwiczonym w sztuce przetrwania, i najgorsze, czego doświadczyłem, to ugryzienie w nadgarstek przez kota i przebicie gwoździem stopy, co w jednym i drugim wypadku skończyło się zakażeniem krwi.

Te opuszczone budynki - stary dom, fabryka oraz kompleks mieszkaniowy - nie przestawały mnie fascynować. Wabiły mnie powybijane okna,

pleśnie
jące
tapety,
łuszczą
ca się
farba i
stęchły
zapach
przeszł
ości.
Najcie
kawszy
był
komple
ks
mieszk
aniowy
, bo
chocia
ż
opuszc
zony,
nie był
wcale
pusty.
Lokato
rzy
pozost
awili
tam
stoły,
krzesła
,
talerze,
garnki,

lampy i sofy. Większość tych rzeczy była w tak fatalnym stanie, że nie dziwiłem się wcale, iż je porzucono. Mimo to stoły, krzesła i talerze, a także pozostawione gazety i czasopisma - upiorne pozostałości życia, które kiedyś kwitło w tym budynku - stwarzały iluzję, że wciąż mieszkają tam ludzie.

Bardziej to czułem, aniżeli rozumiałem. Stąpając ostrożnie po rozchybotanych schodach, obchodząc dookoła sterty tynku i dziury w podłodze, zaglądając do zniszczonych pokoi, przyglądałem się z zachwytem temu, co tam odkrywałem. Gołębim gnieźdzącym się w kredensach. Mysiom, które mieszkały w sofach. Rosnącym na ścianach grzybom. Pnączom wyrastającym z mokrych parapetów. Niektóre z pożółkłych gazet i czasopism pochodziły z czasów, kiedy się urodziłem.

Żadne z moich odkryć nie mogło się jednak równać z albumem płytowym, który znalazłem na popękkanym linoleum obok leżącego na boku stolika z trzema nogami. Po pewnym czasie dowiedziałem się, że moje znalezisko nazywano albumem, ponieważ przed rokiem 1950 płyty robiono z grubego, łatwo tłukącego się szelaku, miały tylko po jednej piosence z każdej strony i były przechowywane w papierowych kopertach, które umieszczano w przypominających albumy fotograficzne okładkach. W czasie gdy dokonałem mojego odkrycia, płyty tego rodzaju (puszczane z szybkością 78 obrotów na minutę) zostały wyparte przez cienkie winylowe płyty długogrające, które były o wiele lżejsze, miały po osiem piosenek z każdej strony i kręciły się z szybkością 33 i 1/3 obrotów na minutę.

Nigdy wcześniej nie widziałem albumu płytowego. Kiedy go otworzyłem, oczy zaświeciły mi się z zachwytu i prawie w ogóle nie przejmowałem się brzękiem połamanego szelaku. Dwie płyty były rozbite. Ale większość (z tego, co pamiętam, cztery) była w nietkniętym stanie. Tuląc do piersi swój skarb, pobiegłem do domu. Nasze radio miało wbudowany gramofon. Nastawiłem wskazówkę na 78 obrotów (w tamtym okresie była to często spotykana opcja) i puściłem jedną z płyt.

Grałem tę piosenkę wiele razy. Do dzisiaj słyszę jej trzeszczącą melodię. Nigdy nie zapomniałem tytułu: „Przez weselne dzwony rozpadła się moja stara paczka”. Z Internetu dowiedziałem się, że piosenka została napisana w 1929 roku przez Irvinga Kahala, Williego Raskina i Sammy’ego Faina. Melodyjna i rytmiczna, stała się z miejsca hitem i wiele razy ją nagrywano. W tamtym czasie nie miałem jednak o tym pojęcia. Nie przemawiała do mnie również strona uczuciowa tekstu opisującego rozterki samotnego młodzieńca, którego wszyscy znajomi biorą ślub. Moją uwagę przykuwał ów trzeszczący dźwięk. Pochodził bezsprzecznie z przeszłości i był czymś w rodzaju tunelu w czasie, który pozwalał mi się przenieść w dawne lata. Wyobrażałem sobie ubraną w niezwykle stroje i otoczoną niezwykle przedmiotami grupę wokalną, śpiewającą staromodną muzykę w dekoracjach, które zawsze były czarno-białe i nieostre. Niestety nie zapamiętałem nazwy grupy. To tyle, jeśli chodzi o nieśmiertelność.

Od tamtej chwili nie przepuściłem żadnej okazji, żeby penetrować opuszczone budynki, nie mówiąc już o tunelach i kanałach burzowych, nigdy jednak nie znalazłem czegoś tak niezwykłego jak tamten album płytowy. Sądziłem, że fascynacja, jaką

budziły we mnie zniszczone, opuszczone budowle, wiąże się z moim traumatycznym dzieciństwem, i że jestem osamotniony w obsesji na punkcie przeszłości. Dziś widzę jednak, że jest wiele podobnych do mnie osób.

Nazywają się miejskimi odkrywcami (*urban explorers*), miejskimi poszukiwaczami przygód, a także miejskimi speleologami. Mają ksywkę *creepers*. Po wpisaniu do wyszukiwarki Yahoo hasła *urban explorer* otrzymuje się zaskakującą liczbę 170 tysięcy internetowych wyników. Po wpisaniu tego hasła do Google'a, ich liczba okazuje się jeszcze większa i wynosi 225 tysięcy. Można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że te linki nie reprezentują na ogół samotnych odkrywców. W końcu nikt nie zakłada strony, jeśli nie ma poczucia jakiejś wspólnoty. Wszystkie te linki prowadzą do grup i logika podpowiada, że na każdą z tych, które się ujawniają, przypada wiele innych, które wolą pozostać w ukryciu.

Ci, którzy pragną być anonimowi, nie czynią tego bez powodu. Pamiętajcie, że miejska eksploracja jest nielegalna. W jej trakcie dochodzi do naruszenia własności prywatnej. Poza tym jest niebezpieczna i może grozić śmiercią lub kalectwem. Władze usiłują jej przeciwdziałać poprzez wysokie grzywny i wyroki więzienia. W rezultacie na wielu stronach internetowych podkreśla się, że odkrywcy powinni dostać zezwolenie od właściciela nieruchomości, przestrzegać zasad bezpieczeństwa i nigdy nie naruszać prawa. Te ostrzeżenia brzmią odpowiedzialnie, uważam jednak, że wielu miejskich odkrywców pociąga właśnie dreszczyk emocji, fakt, że robią coś, co jest zabronione. Ciekawe, że słowo „infiltracja”, którym określają w swoim slangu wejście do opuszczonego budynku,

stanowi zapożyczenie z żargonu wojskowego, gdzie oznacza wtargnięcie sił specjalnych na wrogie terytorium. Jak czytamy na stronie www.infiltration.org, ich celem są „miejsca, gdzie nie powinniśmy się zapuszczać”.

Infiltratorzy mają na ogół od osiemnastu do trzydziestu lat, są inteligentni, wykształceni, interesują się historią i architekturą i często pracują w zawodach informatycznych. Utrzymują kontakty z podobnymi grupami w Japonii, Singapurze, Niemczech, Polsce, Grecji, Włoszech, Francji, Hiszpanii, Holandii, Anglii, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i kilku innych krajach. Australijskie grupy fascynuje labirynt kanałów burzowych pod Sydney i Melbourne. Europejskie najchętniej penetrują porzucone instalacje wojskowe z obu wojen światowych. Grupy ze Stanów Zjednoczonych preferują klasyczne domy towarowe i hotele opuszczone w czasie exodusu z takich metropolii jak Buffalo i Detroit. W Moskwie infiltratorzy interesują się niegdyś tajnym, wielopoziomowym systemem metra, którym w latach zimnej wojny władze zamierzały się ewakuować podczas ataku jądrowego. Opuszczone szpitale, schroniska, teatry i stadiony - w każdym kraju można znaleźć wiele obiektów miejskiej eksploracji.

Jednym z pierwszych miejskich odkrywców był Francuz, który zaginął w roku 1793 podczas wyprawy do paryskich katakumb. Jego ciało odnaleziono dopiero po jedenastu latach. Kolejnym wczesnym miejskim odkrywcą, o czym napomyka jeden z powieściowych infiltratorów, był Walt Whitman. Autor *Źdźbeł trawy* był reporterem „Brooklyn Standard” i opisał tam tunel pod Atlantic Avenue. Okrzyknięty podczas swojej budowy w roku 1844 pierwszym tunelem kolei podziemnej, został porzucony zaledwie siedemnaście

lat później. Zanim go zamknięto, Whitman przespacerował się nim. „Ciemno jak w grobie, zimno, mokro i cicho - napisał. - Jak pięknie wyglądają ziemia i niebo, kiedy wynurzamy się z mroku! Nie od rzeczy byłoby wysłać co jakiś czas nas śmiertelnych, a przynajmniej tych kwękających, których jest tak wielu, do jakiegoś tunelu na kilkudniową wędrówkę. Być może mniej wyrzekalibyśmy potem na boskie dzieło”.

Whitman nie rozumiał jednak dobrze sensu miejskiej eksploracji. Tunel budził w nim negatywne uczucia. Prawdziwego entuzjastę pociąga chłód, wilgoć, cisza i mrok tunelu, względnie opuszczonego bloku mieszkalnego lub porzuconej fabryki. Dreszcz emocji wywołany przeniesieniem się w upiorną przeszłość - podejrzewam, że coś takiego czuł o wiele później człowiek, który odkrywał ten sam tunel pod Atlantic Avenue sto dziewiętnaście lat po tym, jak go zabarykadowano i o nim zapomniano.

Z interesującym przykładem miejskiej eksploracji mieliśmy ostatnio do czynienia w paryskich katakumbach. Stanowią one część mającego sto siedemdziesiąt mil długości systemu tuneli, z których przez długie stulecia wydobywano materiały budowlane na potrzeby miasta. W osiemnastym wieku, kiedy zabrakło miejsca na paryskich cmentarzach, wykorzystano część tuneli do grzebania zwłok. We wrześniu 2004 roku oddział francuskiej policji odkrył podczas ćwiczeń w pełni wyposażone kino urządzone pośród ludzkich szkieletów. Siedzenia były wykute w skale. W niewielkiej sąsiedniej pieczarze znajdował się bar i restauracja, z wystawionymi butelkami whisky oraz profesjonalną instalacją elektryczną i telefoniczną. Kolejnym przykładem może być opanowanie moskiewskiego teatru przez czeczeńskich bojowników w październiku 2002 roku. Kiedy wojsko otoczyło

budynek, miejski odkrywca poprowadził żołnierzy zapomnianym tunelem.

W dużej części bierze się to ze zwyczajnego umiłowania przygód. Jestem jednak zdania, że istotne są również głębsze psychologiczne motywacje. Jak zauważam w *Infiltratorach*, nasz świat obfituje w tyle zagrożeń, że ucieczka w przeszłość wydaje się całkiem sensowna. Stare budynki mogą oferować schronienie, przenosić nas w czasy, które wyobrażamy sobie jako mniej skomplikowane i stresujące. Kiedy byłem młody, opuszczony kompleks mieszkaniowy zapewniał mi ucieczkę od rodzinnych konfliktów. Byłem podróżnikiem w czasie. Odnajdywałem azyl w przeszłości, która pobudzała moją wyobraźnię i w której nigdy nie dochodziło do żadnych awantur.

Kiedy byłem młody... Jako człowiek dorosły patrzę na to z innej perspektywy, która pociąga za sobą głębsze, mniej przyjemne implikacje. Stare budynki są dla mnie niczym stare fotografie. Przypominają mi, jak szybko mija czas. Przeszłość, którą przywołują, każe mi zastanowić się nad przyszłością. Skłania do refleksji.

Miałem ostatnio okazję odwiedzić szkołę średnią, do której uczęszczałem przed ponad czterdziestu laty. Jej część kompletnie spłonęła. Reszta pomieszczeń stała zamknięta przez dziesięć lat. Kiedy wszedłem do budynku, specjalna ekipa sprawdzała przed remontem, czy nie ma tam azbestu, ołowiowych farb lub pleśni. To zadziwiające, jak szybko niszczeje nieużywany budynek, zwłaszcza gdy przez wybite okna dostają się do środka deszcz i śnieg. W niepokojąco cichych korytarzach wypaczyła się podłoga z twardego drewna. Tynk poodpadał z sufitów. Płaty farby zwisały ze ścian. Jednak w mojej pamięci wszystko było czyste i w idealnym stanie. Wyobraziłem sobie nauczycieli i uczniów przemierzających hałaśliwe korytarze.

Problem polegał na tym, że wielu z tych nauczycieli i uczniów od dawna już nie żyło. Pośród zniszczeń i rozkładu moja wyobraźnia wyczarowała młodość i nadzieję, które odeszły w przeszłość, podobnie jak miała odejść w przeszłość ta szkoła.

Zastanawiam się, czy opuszczone budynki nie są miejscami, do których dzieci przychodzą ze swoją zdolnością do zachwyty, a dorośli ze swoimi nierozpoznanymi lękami. Czy ulegając impulsowi, który kazał mi wybrać się do tej sypiącej się w gruzy szkoły, stawiałem w niezamierzony sposób czoło własnej śmiertelności? Jednak w przeciwieństwie do miejskiej eksploracji moja wizyta nie wiązała się z żadnym zagrożeniem. Penetrując zakazane miejsca, badając, do jakiego stopnia przeszłość uległa rozkładowi, infiltratorzy igrają często z niebezpieczeństwem. W każdej chwili może się pod nimi zapaść podłoga, zawalić ściana albo schody. Infiltratorzy prowokują przeszłość, aby pokazała im swoje najgorsze oblicze. Z każdej udanej ekspedycji wracają z poczuciem triumfu, przekonaniem, że zwyciężyli w starciu ze starością i rozkładem. Przez kilka godzin żyli pełnią życia. Ogarnięci obsesją na punkcie przeszłości, mają zapewne nadzieję, że odroczą to, co w nieunikniony sposób czeka ich w przyszłości. A może dodaje im otuchy fakt, że przeszłość pozostawia ślad w teraźniejszości i że coś z ich własnej przyszłości przetrwa, kiedy odejdą.

„Nikt nie będzie mnie pamiętał”, skarżył się żałośnie mój piętnastoletni syn Matthew, umierając na raka kości. *Memento moñ*. Może o to właśnie chodzi miejskim odkrywcom. Może obsesja na punkcie przeszłości ma sprzyjać nadziei, że cos

z nas przetrwa, że po wielu latach ktoś będzie badał, jak żyliśmy, i odczuje naszą obecność. Ten album płytowy, który znalazłem... Szumy i trzaski, które słyszałem, podobnie jak słyszał je ktoś puszczający tę płytę kilkadziesiąt lat wcześniej. „Przez weselne dzwony rozpadła się moja stara paczka”. To piosenka o upływającym czasie, czyli o czymś, o czym w gruncie rzeczy opowiada każda historia. Młody człowiek skarży się tam, że prześladowa go samotność. Ale kiedy ja cofam się pamięcią do tego budynku i opuszczonych pokoi, po których się włóczyłem - porzuconych sof, krzeseł, lamp i garnków - nie czuję się samotny.

David Morrell Santa Fe, Nowy Meksyk

“KB”